

SIECI

**RANKING POLSKICH
KRÓLÓW.
KTO NA
CZELE?**

**ROKITA
CHWALI
HOŁOWNIĘ.
„ODMIENIONY”**

**CZY KANCLERZ NIEMIEC
LUBI PREMIERA TUSKA?**

**„REEMIGRACJA”:
HASŁO, KTÓRE ROBI FURORĘ**

SIECI

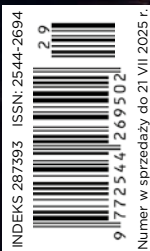
**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

29 (659) 2025
14-20 lipca 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

W CO GRA PiS?

JAKA DROGA DO WŁADZY

**OSTATECZNY KRACH SYSTEMU TUSKA
JEST BLISKI – PISZE MAREK PYZA**



Super oferta

Nawet 140 kanałów
i promocyjnie Polsat Sport Premium,
Eleven Sports, Cinemax



Rymkiewicz, czyli wolność zdobywa się siłą

Mija 90. rocznica urodzin Jarosława Marka Rymkiewicza, którego pamiętamy jako pisarza, badacza historii literatury, autora przekładów, m.in. Mandelsztama, T.S. Eliota czy Calderona. Był poetą filozofującym, w swoich historycznych esejach proponował wizje alternatywnych dziejów, niemal zawsze obracając się wokół problemów arcy polskich – narodowych tragedii i naszego losu.

Jego dzieło jest natychmiast rozpoznawalne, było sycone licznymi literackimi aluzjami, pełne elegancji, powagi, także ironii dotykającej naszych narodowych słabości. Miał absolutną świadomość rozpadu rzeczywistości, a więc zerwania ciągłości tradycji, której trzeba nadać nowy sens. Był poetą klasykistą, który w czasach peerelowskiej siermięgi z przekorą zmanifestował, że „czas przeszły jest czasem teraźniejszym”. Potem odnajdującym w barokowym stylu znaczenie i potęgę problemu śmierci. W końcu jako pracownik Instytutu Badań Literackich PAN, a dokładnie Pracowni Literatury Romantyzmu, nieustannie zajmujący się Mickiewiczem i Słowackim, a także Leśmianem.

Nie o tym jednak pragnę przy tej okazji napisać. Żyjemy w czasie gwałtownych przesileni politycznych, wokół nas trwa przebudowa międzynarodowego porządku, wybuchają wojny, migrują narody i rasy, każde kolejne pokolenie doświadcza silnych przeobrażeń obyczajów i kultury. Przede wszystkim polska wolność jest poddana coraz większej próbie, wobec której druga połowa rodaków przechodzi obojętnie. Rymkiewicz był synem Władysława Szulca, prozaika pochodzenia niemiecko-polskiego, i lekarki Hanny z Baranowskich herbu Tuhan pochodzenia tatarsko-niemieckiego. To Polacy ze świadomego wyboru, ludzie, którzy na skutek wojennej apokalipsy zechcieli pozostać wolnymi Polakami. To pojęcie definiuje dziś Rymkiewicza i to, w jaki sposób opowiadał nam o nas, a raczej literacko napominał, pisząc „Samuela Zborowskiego”, „Reytana. Upadek Polski” czy słynne „Wieszanie”. To właśnie od Maurycego Mochnackiego, tego z okresu powstania listopadowego, czerpał przekonanie o nieodzowności istnienia „państwa wolnych Polaków”. Wstrząsał, by uświadomić, że tylko czując się ludźmi wolnymi, będziemy zasługiwali na własne państwo, które wyłącznie wtedy, gdy sami będziemy tego pragnęli, stanie się niezbędnym elementem Europy. Przekonywał, że takie jest nasze powołanie jako Słowian, „najstarszych synów europejskiej wolności”, „pierwszego europejskiego ludu, który wywalczył sobie wolność i nauczył się żyć w wolności”.

Przypominał o mesjanizmie, ośmieszonym w czasach komunizmu, a będącym nowoczesną strategią przetrwania, wyartykułowaną przez Mickiewicza w języku religii. Religia bowiem oznacza więź społeczną, która jest niemożliwa bez świętości i sakralizacji cierpienia. Cierpienia zbiorowe to rytuał i mit, mają nas wzmacniać – niczym gorączka, po której przychodzi ozdrowienie.

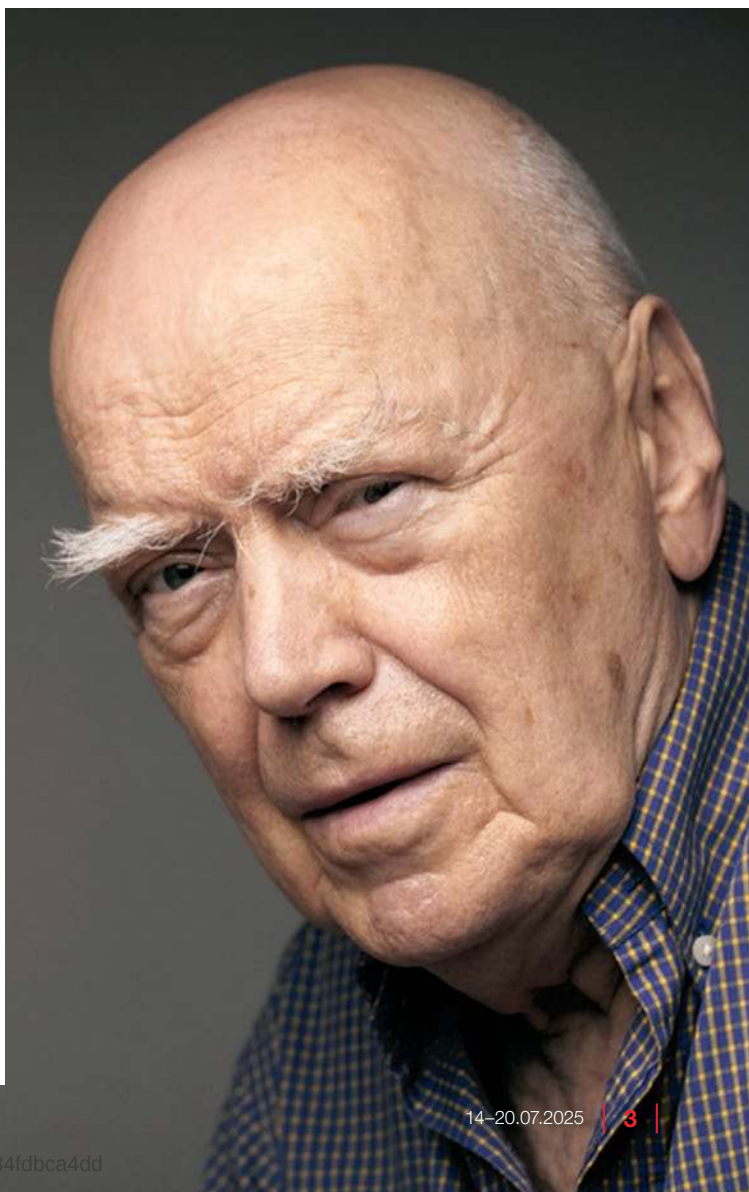


**Maciej
Walaszczyk**

W 2015 r. poeta został uhonorowany nagrodą Człowieka Wolności tygodnika „Sieci”. Podkreślał wtedy, że to nasza sarmacka samowiedza podpowiada nam o konieczności bycia wolnymi Polakami. Jednak, jak przypominał, wolność nie jest dla słabych. „Wolność zdobywa się siłą, inaczej zdobyć jej nie można”.

Poeta, szczególnie w ostatnich latach, często dawał do zrozumienia, że za bycie wolnymi Polakami będziemy płacić wysoką cenę w każdym czasie i okolicznościach. Bo jak pisał w „Kinder-zenen”, „śmierć jest oczywista”, nadaje sens nie tylko naszemu życiu, lecz także naszej polskości.

Taki jest Rymkiewicz apologeta wolności, polskości i przemocy. Przygotujmy się na wszystko. 




30

Jakim prezydentem będzie Karol Nawrocki?
Piotr Gursztyn


36

Anatomia upadku
Konrad Kołodziejewski


39

Więcej Bąkiewicz!
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

- 5 W IMIĘ DEMOKRACJI EUROPEJSKIEJ**
Bronisław Wildstein
- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 PRZEMEBLOWANIE NA TITANICU**
Dorota Łosiewicz
- 9 DLA KOGO I Z KIM WALCZYCIE?**
Samuel Pereira
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejewski
- 12 UNIJNA SMYCZ 2028+: WARUNKOWOŚĆ, KOPERTA I COVIDOWY DŁUG – OTO WASZA SUWERENNOŚĆ**
Daniel Obajtek
- 13 POCZTÓWKA Z WAKACJI**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 WALIZKA DOMINIKI RAU**
Michał Korsun
- 16 KRÓLEWSKI RANKING**
Jolanta Gajda-Zadworna, Stanisław Płużański
- 18 HARCE GROKA**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

- 20 OSTATECZNY KRACH SYSTEMU TUSKA**
Marek Pyza
- 24 ODMIENIONY**
Jan Rokita
- 27 TEN STRASZNY HOŁOWNIA**
Stanisław Janeczek

KRAJ

- 30 JAKIM PREZYDENTEM BĘDZIE KAROL NAWROCKI?**
Piotr Gursztyn
- 33 GIERTYCHA GRA O TRON**
Jerzy Szmit
- 36 ANATOMIA UPADKU**
Konrad Kołodziejewski
- 39 WIĘCEJ BĄKIEWICZA!**
Marek Budzisz
- 42 NOWY KIERUNEK POLSKIEGO EPISKOPATU?**
Goran Andrijanić

OPINIE

- 45 NA TARCZY?**
Romuald Szeremietiew

48 DEPORTACJE I WYWÓZKI, CZYLI UNIA DZIELI SIĘ BOGACTWEM

Dariusz Matuszak

ŚWIAT

- 51 12 PRAC LEONA XIV**
Grzegorz Górny
- 54 KRUCHA RELACJA**
Aleksandra Rybińska

HISTORIA

- 56 CO ZAMACH NA HITLERA MÓWI NAM O NIEMCACH W CZASIE WOJNY?**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

- 59 WSPÓLNA DROGA DO WENECJI**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 61 ORWELL SIĘ KŁANIA**
Maciej Walaszczyk
- 64 HITY I KITY**
Piotr Zaremba
- 66 EUROPKA, WOJNY I MOC CHRYSZTUSA**
Robert Tekieli

PODRÓŻE

- 68 MOJE SZLAKI: TOR EYSTEIN ØVERÅS**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 69 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 70 PRZYSIĘGA PREZYDENTA**
Wojciech Reszczyński
- 71 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 72 PERSONALIA**
Aleksander Nalaskowski
- 73 POLSKIE SZACHY I MISTRZ Z INFANT**
Ryszard Czarnecki
- 74 MAMY KORZENIE. TYLE**
Katarzyna Zybortowicz

W imię demokracji europejskiej

Każdy, kto w celu przywrócenia demokracji i praworządności, kierując się nadrzędnym interesem demokracji europejskiej, dokonał w okresie po 15 października 2023 r. działań mogących być uznanych za niezgodne z polskim prawem, nie podlega karze” – tak najprawdopodobniej wyglądał główny artykuł ustawy abolicyjnej, pierwszej z tych, które miał podpisać Rafał Trzaskowski jako nowy prezydent. Okazało się, że był nim zbyt krótko, projekt wyładował w śmietniku, a wart jest zachowania jako dokument zarówno mentalności rządzących w Polsce, jak i egzemplifikacja podstawowego dziś politycznego konfliktu dzielącego Zachód.

Ekipa Tuska zdawała sobie sprawę, że łamała prawo. Nawet gdyby nie miała o nim najmniejszego pojęcia, przypominali o tym niezależni prawnicy, a prezes Trybunału Konstytucyjnego złożył do prokuratury zawiadomienie o zamachu stanu, którego dokonuje obecna władza.

Rządzący usprawiedliwiają się „nadrzędnym interesem demokracji europejskiej”. Łamanie prawa przez polityków zwykle tłumaczone jest racjami wyższymi, a w przypadku UE staje się to coraz szerzej stosowaną metodą. Uzasadniane jest potrzebą integracji i wzmocnienia demokracji europejskiej. Problem w tym, że demokracja taka jest niemożliwa.

Opowieści o jej deficycie są mydleniem oczu. Nie chodzi bowiem o jej niedomogi, ale fundamentalną niekoherencję tego pojęcia. Etymologicznie demokracja oznacza władzę ludu – współcześnie narodu. A ponieważ nie istnieje europejski naród, to i demokracja taka jest nie do zrealizowania.

Lud (naród) to wspólnota o określonej tożsamości, jej członkowie mają poczucie przynależności do szczególnej, świadomej wspólnego dobra i rozpiętej w czasie zbiorowości, która pomimo zróżnicowania warunkuje losy jej uczestników. Bez tego demokratyczne procedury stają się fasadą, która przesłania walkę partykularnych interesów.

Europejskiego narodu nie ma, ale jest europejski establishment, który prze do centralizacji Unii i przekształcenia jej w neoimperium. Twór taki odpowiadałby ambicjom jego przywódców i otwierał dla nich perspektywy ogromnych korzyści. Ponieważ narody z własnej woli nie wyrażają zgody na utratę swojej podmiotowości, kontynentalna oligarchia przeprowadza działania w tym celu, nie licząc się ani z prawem, ani wolą Europejczyków. Protesty przeciw temu stanowi rzeczy i ugrupowania, które kontestują *status quo*, kwalifikowane są jako populizm i zwalczane bez liczenia się z prawem oraz normami cywilizacji zachodniej. Anulowanie pierwszej tury wyborów prezydenckich w Rumunii, uniemożliwienie startu w wyborach prezydenckich we Francji ich faworytce, i to nieprawomocnym wyrokiem, czy szykany wymierzone w AfD w Niemczech to ostatnie przykłady takich działań. Wszystko wskazuje, że tylko

zakulisowa interwencja amerykańska zablokowała próbę odebrania Karolowi Nawrockiemu wyborczego zwycięstwa.

Proces ten rozpoczął się po traktacie w Maastricht, który przekształcał wcześniejszy układ państw w projekt odgórnie centralizowanej Unii. Służyć temu miała konstytucja europejska, która wprawdzie odrzucona została w referendum w Holandii i Francji, ale jej główne rozwiązania po cichu wprowadzone zostały w traktacie lizbońskim.

Po kryzysie finansowym lat 2000 na szczęblu unijnym przyjęto rozwiązania, których nie tylko nie konsultowano z narodami, lecz nawet nie informowano o nich. Nikt nie dał upoważnienia Niemcom, aby decydowały o sanacji gospodarczej Grecji, która sprowadzona została do wymuszenia na niej spłaty rujnujących długów wobec francuskich i niemieckich banków. Instancje unijne sygnowały te postanowienia bez oporu.

W 2015 r. kanclerz RFN Angela Merkel zaprosiła imigrantów z Bliskiego Wschodu do Niemiec, a realnie do UE. Złamała w ten sposób konwencję dublińską i układ Schengen, ale grona europejskie uznały tę samowolę za unijne zarządzenie.

Decyzje, które kształtują losy kontynentu, zapadają w ciszy brukselskich gabinetów, w porozumieniach między Berlinem a Paryżem. Narody Europy są o nich tylko do pewnego stopnia informowane. Oto demokracja europejska.

Szefowa KE Ursula von der Leyen usiłuje oficjalnie uzależnić przyznawanie funduszy unijnych od woli kierowanej przez siebie instytucji, co było wcześniej praktykowane wobec Polski w sprawie KPO.

Inną twarzą demokracji europejskiej jest absolutny brak odpowiedzialności jej przywódców. Von der Leyen tajnie i bez żadnych uprawnień wynegocjowała trzecią transzę zakupów właściwie niepotrzebnej już szczepionki na COVID-19 za 35 mld euro. Cena została radykalnie podniesiona i wprowadzony został obowiązek jej nabycia. Pomimo protestów treść pertraktacji nie została ujawniona. Nawet TSUE w listopadzie ub.r. uznał, że KE powinna pokazać e-maile między kontrahentami, ale... nie zostały one odnalezione.

Sprawa nie miała znaczenia dla kolejnej nominacji von der Leyen na szefa KE.

Czy dziwimy się, że taka forma „demokracji” jest dla liderów UE „nadrzędnym interesem”? 



Sygnalista nadaaje

🔊 Jedzą, piją, lulki palą. Tańce, hulanki, swawola. A gdzie? U Adama Bielana na osiedlu Biały Kamień. Cała demokratyczna, praworzadna i zero-emisyjna Polska jest oburzona. Szczególnie tańcami Szymona Hołowni z Jarosławem Kaczyńskim. Wiadomo, co knuli. Za zasiadanie w fotelu rotamarszałka Hołownia zdradzi każdego. Nawet premiera Tuska. Nawet Prokopa i Dorotę Wellman. Ale Kaczyński chciał go zrobić premierem technicznym. I to jest dziwne. Hołownia premierem technicznym? A czy ktoś zapytał prof. Piotra Glińskiego, czy on się zgadza? Bo premier techniczny to fajna fucha. Najpierw wszyscy z tego rechoczą, a potem – pyk! – stanowisko ministra kultury, a nawet wicepremiera. Słabo?

🔊 Na domówce u Bielana hulał też **Misiek Kamiński**. I to mimo że ma nóżkę skręconą. Dlaczego wspominamy Miśka? Ano dlatego, że to best friend forever Romka Giertycha i Radka Sikorskiego. Po tym, jak ludzkość dowiedziała się o knuciu u Bielana, Romek bardzo się oburzył. Ale na Hołownię, a nie na Miśka. Tak samo Radek z godnością przemilczał ten wątek. To niepokojące. Zwłaszcza z punktu widzenia premiera Tuska.

🔊 A korki od szampana strzelają. Jak wiadomo, najlepszym miejscem do tego strzelania jest Kreml. Wzorując się na najlepszym nadwiślańskim putnologu prof. dr. hab. nadzwyczajnym i zwyczajnym Tomku Piątku, rozrysujemy tu niepokojące powiązania. Otóż hulanki i knucie odbyły się na osiedlu Biały Kamień. To tylko 3 km od ambasady Rosji i zaledwie 1266 km od Kremla. Na dodatek wiadomo, które miasto

bywa określane jako „białokamienna”. Bingo! Moskwa. Łączyście już te wszystkie kropki?

🔊 Biały Kamień i darmowa micha u eurodeputowanego Bielana przyciągnęły też Czarnka Przemka, Jurka Marka i Bosaka Krzyska. Nie wiemy, czy były tam podawane ośmiorniczki, bo żadne nagrania nie zostały jeszcze opublikowane. Domyślamy się, że skoro darmo oferował eurodeputowany, to musiały być tam mule i inne zagraniczne potrawy pochodzące z drugiego obszaru płatniczego. Doniosłe znaczenie miała obecność Krzyska Bosaka, bo to znaczy, że Naczelnny Narodowiec Kraju nie musi się już wpraszać na piwo do Sławka Mentzena. Bez lachy, Sławeczku!

🔊 Tymczasem Bielan ma pretensje do SOP-owców, że to oni zakapowali wszystkich jego gości. A te pretensje powinien mieć do siebie. Gdyby ich też zaprosił na michę, byłaby buzia na kłódkę. A tak jest sześćdziesiona.

🔊 Niewierny naród myśli, że PiS wróci do władzy. Ukazał się skandaliczny sondaż, według którego ponad połowa narodu – ta, która nie dorosła do demokracji – stwierdziła, że za dwa lata PiS wraca do władzy. Z takim narodem nie da się przecież teraz zrobić Prawu i Sprawiedliwości Norymbergi. Widać już tego efekty, bo prokuratura odmówiła zajęcia się luksusową kawalerką pana Jerzego, którą przejął niejaki Nawrocki z Gdańska. W tej sytuacji koniecznie trzeba przypomnieć wiersz poety Brechta, że skoro naród zawiódł zaufanie władzy, to lepiej będzie ten naród rozwiązać. I powołać nowy. Taki bardziej europejski.

🔊 Zanim się to stanie, trzeba skorzystać z rozwiązania przejściowego. Eliza Michalik pozbierała się po poważnym incydencie kałowym, który spotkała po klęsce poniesionej przez stronę demokratyczną w Sądzie Najwyższym (który nie jest sądem w sensie praworządności, tak jak ją rozumie strona prawdziwie demokratyczna). Otóż Koalicja Obywatelska musi samodzielnie wygrać w wyborach parlamentarnych i rządzić bez żadnych przystawek. To na pewno uda się w 2027 r. Wystarczy tylko mocniej postraszyć Prawem i Sprawiedliwością i częściej mówić o rekonstrukcji rządu. Przy okazji Eliza rzuciła inny wniosek racjonalizatorski: powołanie nowej partii. Jej liderami powinni być Radek Sikorski, Ewa Wrzosek i Romek Giertych. Wtedy robota na pewno ruszy z kopyta.

🔊 Żli, nieodpowiedzialni ludzie opluwają piękną ideę koalicji 15 października, przekręcając jej nazwę na koalicję 15 paździerzy. Jednocześnie prawica próbuje oplusknąć rząd premiera **Donalda Franciszka Tuska**, nazywając go koalicją 13 grudnia. Czas zatem na sprytny, zaskakujący ruch: restrukturyzacja rządu nastąpi 22 lipca. Od tej pory będzie to koalicja 22 lipca (d. E. Wedel). A jak nie ta data, to jest następna dobra – 17 września.

🔊 Zbrodnia i bluźnierstwo w pałacu prezydenckim! Niejaka Kinga Dudzianka vel Dudówna wzięła tam ślub. Z jakimś prawniczym mądrałą, któremu Władek Kosiniak-Kamysz dał dobrą fuchę w fundacji powiązanej z MON. Ale nie to jest najważniejsze. Skandalem jest zbezczeszczenie tego miejsca, które było zarezerwowane na śluby dzieci prawdziwego prezydenta naszych serc, czyli Rafała Kazimierza Trzaskowskiego (osoby, które nie pamiętają, o kogo chodzi, znajdują informacje o nim na Wikipedii). Obie ceremonie ślubne, które niestety nie odbędą się wskutek sfałszowania wyborów przez Braci Kamratów, miałyby charakter świecki, laicki i inkluzywny. Bo, jak pamiętamy, Ola i Stasio nie poszli do pierwszej komunii.

🔊 Czytelnicy pamiętający tak zamierzchłe wydarcie, jak wybory prezydenckie 2025 r., z zainteresowaniem przeczytają doniesienia o brudnej kampanii wyborczej. Pewien tygodnik donosi, że zbierane były haki na niejakiego Nawrockiego: „Posłanka Platformy Obywatelskiej chodziła po ludziach z żoną pewnego zmarłego gangstera i rozpytywała o prostytutki na Pomorzu. To tylko pokazuje poziom brudnej gry w kampanii – mówi nasz informator”. No rzeczywiście, skandal. Posłanka laziła, laziła i nic nie wylazła. Nikogo nie znalazła. Jak z takimi nieudacznikami nasz Rafał miał wygrać wybory? Pani Agnieszko – pytamy posłankę – dlaczego tak słabo się pani starała?



🔊 Jest też dobra wiadomość związana z tym, że poseł Agnieszce tak słabo poszła brudna kampania. Po powrocie Rafała do ratusza okazało się, że znalazł się tam 1 mld zł. Pieniądze były skitane na przedterminowe wybory prezydenta Warszawy, w których miał wystartować Michał Szczerba. Kampanii nie będzie, więc zostaną wydane na coś innego. Zwłaszcza na to, co warszawiacy uwielbiają najbardziej. Tak, tak! Będzie zwężanie kolejnych jeszcze niezwązonych ulic.

🔊 Ten demoniczny **Bąkiewicz** z Pruszkowa torpeduje politykę imigracyjną Mocarstwa Moralnego. I to na naszej wspólnej Granicy Przyjaźni. Na szczęście zdecydowaną walkę temu Bąkiewiczowi z Pruszkowa wypowiedział premier Donald Franciszek. I to od razu, kiedy przestał walczyć o odfałszowanie sfałszowanych wyborów. Wiadomo, że głównym problemem nie są nielegalni imigranci, bo są przecież kolorowi, wielobarwni, niebiali i ubogacają nas kulturowo. A ci od Bąkiewicza są niekolorowi, pszenno-buraczani i nie są tancerzami z Senegalu ani nawet chirurgami z Afganistanu.

🔊 Poszła wieść, że minister do spraw praworządności i aresztów wydobywczych **Adam Bodnar** pożegna się z resortem. Nie będzie już ministrem! Niestety nie spełnią się marzenia najbardziej zaangażowanego aktywisty Silnych Razem i nie zastąpi go Romek Giertych. I to jest zła wiadomość. A dobra jest taka, że nowym ministrem sprawiedliwości nie zostanie Weronika Rosati, tylko jej brat Przemek. Dziesięć lat temu wszyscy by woleli, żeby to była ona, a nie on. Ale czas płynie nieubłaganie i dzisiaj już nie chcą.

🔊 Krzysiek Gawkowski, wicepremier do jakichś tam bliżej nieznanых spraw, chce wyłączyć platformę X, czyli dawnego Twittera. To kara za to, że tamtejsza sztuczna inteligencja nauczyła się brzydkich słów od kilku polskich użytkowników, którzy ją do tego namówili. Ale nie były to słowa nawiązujące do cennego symbolu demokracji walczącej, czyli ośmiu gwiazdek, lecz haniebne obrażanie mecenasa Romana. W sumie fajnie by było, gdyby Krzysiek wyłączył tego X, bo prawactwo za bardzo tam szaleje. Dzięki temu Polska dołączyłaby do krajów, które zdecydowały się na ten słuszny krok – Korei Północnej, Iranu, Rosji, Birmy, Chin, Turkmenistanu. Obawiamy się jednak, że to prędzej X wyłączy Krzyska. O ile w ogóle słyszał o Krzysku. Bo tu jest problem – że o Krzysku nikt nie pamięta. Łącznie z jego żoną. Ktokolwiek słyszał, ktokolwiek widział, niech da znać!

Już za chwileczkę, już za moment... Stanie się. Albo i nie. Jak to u Donalda Tuska bywa. Przeważnie, jak coś mówi, to głównie mówi. 22 lipca – ta data ma być dla polskiej polityki tym, czym dla świata mody jest pokaz u Prady: wielka premiera nowej kolekcji. Tym razem będzie to kolekcja na sezon lato–jesień 2025. Tyle że zamiast haute couture, dostaniemy raczej polityczny second hand. Bo niby skąd brać nowe, świeże, nieużyte i całkiem uczciwe twarze?

Może i nie ma skąd brać, ale trzeba udawać, że coś się dzieje. W każdym razie na 22 lipca zapowiedziano nowe otwarcie, polityczny reset, wielki skok w przyszłość, czyli Tuskową rekonstrukcję rządu. Kto oczekuje trzęsienia ziemi, ten pewnie dostanie lekkie poruszenie doniczką na parapecie.

Jednak słowo „rekonstrukcja” to w polskiej polityce zjawisko magiczne. Niby coś się dzieje, niby się zmienia, ale w sumie wszystko zostaje tak, jak było. Bo bądźmy szczerzy – rekonstrukcja rządu w wersji 2025 to bardziej casting do drugiego sezonu „Tusk i przyjaciele” niż prawdziwa reforma polityczna. To taki polityczny escape room – wszyscy próbują się wydostać z problemów, ale nikt nie zna kodu do wyjścia.

Według przecieków z rządu odejdzie paru ministrów, kogoś przerzucą do innego resortu, komuś dorzucą wicepremiera, a ktoś znowu dostanie stanowisko pełnomocnika ds. rzeczy jeszcze nieokreślonych. Oczywiście najpierw kilku pełnomocników będzie musiało odejść. Połączą ze sobą jakieś resorty, może jakieś podzielią, a nowi ministrowie znowu przez kilka miesięcy będą musieli się uczyć nowych zadań. Wszystko ma niby dać staremu rządowi nową dynamikę, ale żaden samochód nie jedzie szybciej po zmianie zapachu na lusterku.

Przeciętny obywatel może zapytać: „Po co ta cała rekonstrukcja?”. Ano po pierwsze, po to, żeby media miały się czym zajmować, a po drugie, żeby nie zajmowały się prawdziwymi problemami. Taki klasyczny manewr z zasloną dymną. A w tle płoną kwestie rolnictwa,

Przemeblowanie na Titanicu

*Kto oczekuje trzęsienia ziemi
22 lipca, ten pewnie dostanie
lekkie poruszenie doniczką
na parapecie*

bezpieczeństwa granic, niemal wyczerpanego limitu NFZ, mieszkalnictwa, edukacji, dziury budżetowej, spadających notowań rządu itd. Polityczne porażki rządu mnożą się szybciej niż funkcje specjalne w no-

wym Excelu budżetowym. Ale w telewizji powiedzą: „Uwaga, premier wymienił ministra sportu!”. Przed nami festiwal przesunięć, wymian, cichego: „Dziękuję za współpracę” i głośnego: „Witamy na pokładzie!”, skierowane do kolejnych politycznych nominatów.

Czy coś się zmieni? Czy zmiany w rządzie wpłyną na jakość rządzenia? Wątpliwe. Bo minister od rolnictwa nadal będzie mówił: „Przeglądamy się sytuacji”, minister edukacji: „Przygotowujemy reformę”, a minister cyfryzacji: „Logowanie nie działa, ale już pracujemy nad poprawką”. Zmieniając kolejność aktorów w „Trudnych sprawach”, nie sprawi się, że serial nagle zdobędzie Oscara.

Inawet gdyby Tusk odwołał pół rządu, drugie pół zrobiło sobie sabbatical, a pozostałe ćwiartki zostały ambasadorami w Słowenii, to przecież problemem nie są nazwiska. Jest nim fakt, że większość pomysłów przypomina projekty budowane na PowerPoincie – ładne, kolorowe, tylko że nie działają, a rząd nie realizuje swoich obietnic. Ale Tusk próbuje zbudować narrację. Stara się tworzyć iluzję rządzenia. Wie, że polityka to nie tylko fakty, lecz także emocje. A emocją numer jeden w lipcu 2025 r. ma być: „Coś się dzieje, więc może będzie lepiej.” Tyle że sztuczki Tuska przestały działać na Polaków. Społeczeństwo się zmieniło. Mimo zapowiadanych zmian sondaże dołują.

Cóż nam jednak pozostaje? Czekamy, aż premier ogłosi nowy rząd z pompą, nowymi hasłami, piękną grafiką i hasłem: „Silna Polska 2.0”. A potem, zgodnie z tradycją, zapadnie cisza. Aż do kolejnej rekonstrukcji. Albo nowej afery. Cokolwiek nastąpi pierwsze. Bo jak mawiają politycy: „Lepiej zrobić pozorną zmianę niż pozostać bezczynnym”. Rządowi najbardziej pomogłaby wymiana premiera, któremu nie ufa niemal 60 proc. Polaków, ale próżne nadzieje, że Donald Tusk zrekonstruuje się sam, a sytuacja chyba jeszcze nie dojrzała do konstruktywnego wotum nieufności. Ale dojrzewa. Jak nie dziś, to jutro. 

Dorota Łosiewicz



Dla kogo i z kim walczycie?

Nieustająca jest hipokryzja rządzących, którzy dziś chętnie podpierają się autorytetem munduru, by usprawiedliwić swoją niebezpieczną politykę migracyjną. Jak Włochy czy Austria skutecznie umieją postawić się Niemcom, tak obóz Donalda Tuska pilnuje polskiej granicy głównie przed... Polakami.

Nieprzypadkowo akurat po tym, jak minister spraw wewnętrznych Niemiec Alexander Dobrindt poinformował o rozmowie z polskim rządem, że aktywność polskich obywateli działających przy granicy jako Ruch Obrony Granic jest „nielegalna”, a „zajęcie się tym jest zadaniem strony polskiej”, polskie władze najpierw ruszyły z osłoną propagandową, której głównym elementem było oczernianie i obrażanie własnych obywateli przez porównywanie ich do nazistów (cóż za bezczelność akurat w kontekście sprzeciwu wobec niemieckiej polityki używać takich porównań), a następnie rozpoczęły zatrzymywania i karanie tych ludzi. Mamy jasny ciąg przyczynowo-skutkowy. Po tym, jak niemieckie władze pokazują, że są wściekłe na obywatelskie patrole na polskiej granicy, bo (tu cytując z niemieckich mediów) „torpedują” po-

litykę Berlina, satelicki rząd w Warszawie rusza z nagonką, szczuciem i dzieleniem Polaków, równolegle zakazując fotografowania i nagrywania działań podejmowanych w ukryciu, ale za to w ścisłym porozumieniu rządów premiera Donalda Tuska i kanclerza Friedricha Merza.

Wyjątkowo zgodnie z linią rządu mówią dziś nie tylko rządowe i zaprzyjaźnione media prywatne, lecz także Helsińska Fundacja Praw Człowieka, która zaapelowała do koalicji 13 grudnia o natychmiastową reakcję wobec „samozwańczych grup określających się mianem »obrońców granic«, które uzurpują sobie prawo do zatrzymywania i kontrolowania wjeżdżających na terytorium RP pojazdów pod pozorem »ujawniania« przewożonych w nich migrantów”. Dla Polaków kijek, ale dla rządu Tuska marchewka, bo szef niemieckiego MSW chwali władze w Warszawie, ciesząc się jednocześnie, że „zwrot w niemieckiej polityce migracyjnej działa, liczby spadają”, a Berlin „wysłał w świat właściwe sygnały”. Für Deutschland. 



**Samuel
Pereira**

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE
nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

Nierwyzyci hipokryci

Hispańscy socjaliści premiera Sáncheza podjęli decyzję o wytrzebieniu prostytucji. Każdy członek ich formacji, który skorzysta z usług „seksworkerek”, zostanie natychmiast wyrzucony z rządzącej Partii Socjalistycznej (PSOE). Ten przypływ rewolucyjnej pryncypialności spowodowany jest nie tyle doniesieniami o „instrumentalizacji kobiet” w sektorze płatnej miłości, ile serią skandali obyczajowo-korupcyjnych, w które są uwikłani ludzie z zaplecza Sáncheza, w tym ministrowie jego gabinetu.

Zaczął się od Santosa Cerdána, sekretarza generalnego PSOE i protegowanego Sáncheza. Ten technik z wykształcenia, syn i wnuk działaczy socjalistycznych, był łącznikiem hiszpańskiego premiera z liderem katalońskich separatystów Carlesem Puigdemontem, co pozwoliło socjalistom na zbudowanie po ostatnich wyborach kruchej większości w Kortezach. Cerdán został właśnie aresztowany i osadzony w więzieniu, na jaw wyszedł bowiem jego udział w aferze korupcyjnej, w której uczestniczył również minister transportu José Luis Ábalos i jeden z najbliższych doradców premiera Koldo García. Zostali oni oskarżeni o łapówki liczone w dziesiątkach milionów euro w związku z „ustawianiem” przetargów budowlanych.

Okazało się jednak, że sprawa ma także wymiar obyczajowy, bo socjalistyczni politycy chętnie korzystali z usług luksusowych prostytutek, za które płacili deweloperzy i firmy budowlane. Media opublikowały nagranie rozmowy między Ábalosem a Koldo Garcíą, w której obaj prominentni politycy rozmawiali o zaletach poznanych prostytutek. Jedną ze stałe „obsługujących” Ábalosa kobiet tak przypadła mu do gustu, że zatrudnił ją za publiczne pieniądze w resortach, aby w każdej chwili korzystać z jej usług. Dla socjalistów, którzy od kilku lat twierdzą, że są „partią feministyczną”, tego rodzaju pasja czołowych działaczy jest niesłychanie obciążająca i nie koresponduje z oficjalną retoryką. W tej sytuacji Sánchez postanowił przejść do ataku i zapowiedział delegalizację prostytucji.

Na domiar wszystkiego nie jest to pierwsza afera korupcyjna w otoczeniu premiera. Kilka miesięcy temu z podobnymi zarzutami musiała zmierzyć się jego żona, a notowania PSOE są dziś najsłabsze od lat. Gdyby wybory odbyły się teraz, to według sondaży socjaliści zdobyliby 27 proc. głosów.

Zdecydowane zwycięstwo odniosłaby zaś centroprawicowa Partia Ludowa z wynikiem 34 proc., która mogłaby stworzyć stabilną koalicję z VOX, cieszącym się 15-proc. poparciem wyborców.

Marek Budzisz

Hiszpania



Francja

Import zatrutych owoców

Do Francji przeniosła się pierwsza grupa amerykańskich pracowników naukowych, którzy stracili zatrudnienie wskutek cięć wprowadzonych przez administrację Donalda Trumpa. Wywodzą się z prestiżowych uczelni, takich jak Uniwersytet Johnsa Hopkinsa, Berkeley, Yale, Stanford oraz Columbia, i zajmowali się dość specyficznymi dziedzinami w rodzaju „medycyny LGBT+”, badaniami nad „nierównością”, zmianami klimatu oraz bardzo szeroko pojętymi naukami społecznymi, w szczególności psychologią, komunikacją oraz dziedzictwem kulturowym.

Jedną z pierwszych decyzji podjętych przez Trumpa po jego powrocie do Białego Domu było ograniczenie wydatków na bezużyteczne badania podszyte ideologią skrajnej lewicy. Zajmujący się nimi naukowcy wyładowali na bruku i zaczęli aplikować o zatrudnienie w Europie. Część z nich została właśnie przygarnięta przez Uniwersytet d'Aix-Marseille, który już w marcu uruchomił program „Bezpieczne miejsce dla nauki”. Spośród 298 wniosków 242 zostało uznanych za odpowiadające wymogom „naukowca uchodźcy”, choć placówka przygotowała dla nich jedynie 20 dostępnych stanowisk. Wcześniej ten sam uniwersytet ściągnął 25 „badaczy” z Ukrainy, Jemenu, Afganistanu i terytoriów palestyńskich.

Rektor Eric Berton porównał obecną sytuację amerykańskich naukowców do prześladowań ze strony nazistowskich Niemiec. Zapowiedział też, że chciałby, aby został stworzony nowy status „naukowca uchodźcy”, a projekt stosownej ustawy złożył w tej sprawie były prezydent François Hollande. Do przyjazdu zachęca naukowców także Emmanuel Macron, który zamierza przeznaczyć na ten cel 100 mln euro. Również szefowa Komisji Europejskiej zapowiada pakiet zachęt o wartości 500 mln euro, aby ściągnąć lewackich profesorów do Europy.

Paradoks polega na tym, że dzisiejsi „naukowcy emigranci” to ludzie, którzy w ostatnich dekadach zawłaszczali amerykańskie uczelnie, działając według strategii nowej lewicy. Polegała ona na wykorzystaniu skrajnej ideologii przeciw porządkowi społecznemu właśnie za pośrednictwem nauki, literatury i sztuki. Dziś te zatrute owoce wracają do Europy, w której wolność badań naukowych jest prawdziwie zagrożona.

Maciej Walaszczyk



★ **Wietnam**

Koniec polityki dwojga dzieci

Wietnam zмага się z kryzysem demograficznym. Już trzeci rok z rzędu w kraju odnotowano współczynnik dzietności poniżej poziomu zastępowalności pokoleń. Dziś wynosi on 1,91, a w największym mieście Ho Chi Minh – zaledwie 1,39.

Jest to wynik prowadzonej od 1988 r. polityki dwojga dzieci. Członkowie partii komunistycznej, którzy ośmielili się mieć więcej latorośli, narażali się na sankcje, łącznie z obniżeniem pensji czy nawet zwolnieniem z pracy. Wzorowano się przy tym na Chinach, gdzie dekadę wcześniej zainicjowano politykę jednego dziecka. Niedawno w Pekinie postanowiono jednak zakończyć ten eksperyment z powodu oplakanych skutków depopulacyjnych. Zapaść demograficzna uniemożliwia bowiem na dłuższą metę osiągnięcie wzrostu gospodarczego i utrzymanie dobrobytu.

Do podobnych wniosków doszły teraz władze Wietnamu. W związku z tym zgromadzenie narodowe uchwaliło nowe prawo, pozwalające parom decydować, ile chcą mieć dzieci i jaki ma być odstęp czasu między ich narodzinami. Rząd gwarantuje też premię pieniężną w wysokości ok. 120 dol. kobietom, które zdecydują się urodzić dwójkę dzieci przed ukończeniem 35. roku życia. Samorząd Ho Chi Minh wprowadził natomiast 6 miesięcy w pełni płatnego urlopu macierzyńskiego i bezpłatną opiekę zdrowotną dla dzieci poniżej 6. roku życia.

Trudno będzie jednak walczyć z kryzysem demograficznym w sytuacji, gdy od 1989 r. w Wietnamie obowiązuje jedna z najbardziej liberalnych ustaw aborcyjnych w całej Azji. Pozwala ona na dokonywanie w państwowych ośrodkach zdrowia bezpłatnych aborcji na życzenie. Jedyne, czego zabrania prawo, to aborcja selektywna z powodu płci dziecka, jednak zakaz ten jest masowo omijany. Rodzice bowiem wolą mieć synów niż córki, dlatego dziewczynki często są uśmiercane w prenatalnej fazie rozwoju. Prowadzi to do rosnącej nierównowagi między płciami w społeczeństwie. W 2024 r. na 100 dziewcząt urodziło się 111 chłopców. Oznacza to, że co dziesiąty Wietnamczyk nie będzie miał w przyszłości szans na znalezienie żony.

Grzegorz Górny



14-20.07.2025

11



Batalia o F-35

Turcja

Turcja, którą sześć lat temu Amerykanie wykluczyli z programu myśliwca F-35, chce się porozumieć z Donaldem Trumpem i wznowić dostawy tych samolotów. Jednak Białe Dobre oczekuje, że armia turecka pozbędzie się rosyjskich systemów przeciwlotniczych S-400. Problem polega na tym, że Ankara nie bardzo wie, co z nimi zrobić.

Turcja dołączyła do programu budowy F-35 w 2002 r. Dzięki wysokim wkładom finansowym (1,4 mld dol.) tamtejsze firmy otrzymały kontrakty na dostawę kluczowych komponentów samolotu. Zakładano, że tureckie lotnictwo kupi co najmniej 100 nowoczesnych maszyn. Oprócz nich planowano również zakup rakiet Patriot, które miały się stać rdzeniem nowego systemu obrony przeciwlotniczej. Niestety niechętna rządowi Recepja Erdoğan'a demokratyczna administracja Baracka Obamy nie wyraziła zgody na sprzedaż patriotów do Turcji. Ankara odebrała to jako zniewagę i ostatecznie porozumiała się z Rosją, gdzie zakupiono systemy przeciwlotnicze S-400.

Nabycie rosyjskiej broni stanowiło poważny problem, ponieważ rakiety S-400 mają w założeniu zestrzeliwać samoloty F-35. W tej sytuacji Stany Zjednoczone – już za kadencji Trumpa – zablokowały dostawy zakontraktowanych maszyn do Turcji. Obawiano się bowiem, że rosyjscy technicy instalujący S-400 będą mieli dostęp do samolotów i wykryją ich słabe punkty. Istniało także ryzyko, że radary wchodzące w skład rosyjskich systemów przeciwlotniczych będą monitorować przelatujące w pobliżu F-35 i przekazywać zdobyte dane do Moskwy.

Wyrzucona z programu F-35 Turcja rozpoczęła własny program budowy myśliwca piątej generacji, ale nigdy nie porzucono tam myśli o wznowieniu dostaw z Ameryki. Nadzieję dało niedawne spotkanie Erdoğan'a z Trumpem, do którego doszło podczas ostatniego szczytu NATO. „Omówiliśmy tę kwestię i rozmowy na poziomie technicznym zostały rozpoczęte. Jeśli Bóg pozwoli, poczynimy postępy” – zapewnił Erdoğan. Nie dodał jednak, że warunek odblokowania dostaw F-35 się nie zmienił i Ameryka nadal oczekuje od Turcji rezygnacji z rosyjskich systemów przeciwlotniczych.

Turcy byłiby prawdopodobnie skłonni pozbyć się rosyjskich rakiet, ale okazuje się, że nie bardzo wiedzą, co z nimi zrobić. Był pomysł sprzedaży tej broni do Pakistanu, ale przeciwko temu gwałtownie protestują Indie. Inną opcją byłoby przerzucenie S-400 do Syrii, ale tutaj konfrontacją grozi Izrael. Wygląda więc na to, że nieszczęsne systemy z Rosji nadal będą przeszkodą w normalizacji stosunków z Ameryką.

Konrad Kołodziejewski

Unijna smycz 2028+: warunkowość, koperta i covidowy dług – oto wasza suwerenność

Bruksela, jak to ma w zwyczaju, znów wie lepiej. Po „sukcesie” Zielonego Ładu, po eksperymencie z KPO czas na kolejną odsłonę inżynierii politycznej – nowy unijny budżet na lata 2028–2035. W teorii: więcej spójności, więcej inwestycji, więcej solidarności. W praktyce? Więcej centralizacji, mniej suwerenności i finansowa smycz, na której państwa członkowskie mają już tylko grzecznie merdać ogonem



Obecnie Wspólna Polityka Rolna (CAP) pochłania ok. 386 mld euro, z czego trzy czwarte trafia do rolników w formie dopłat bezpośrednich. Bruksela zaklina się, że „dopłaty będą chronione”. To równie uspokajające, co informacja, że pacjent po amputacji „żyje i ma się dobrze”. Bo choć formalnie CAP pozostaje, to realne środki – zjadane przez inflację i przesuwane na „zielone transformacje” – zaczną topnieć szybciej niż europejski zdrowy rozsądek. Rolnik dostanie mniej, ale za to w zamian będzie mógł zainstalować panele słoneczne i wypełnić pięć formularzy o neutralność węglową krowy.

Kolejny genialny wynalazek Komisji to „zintegrowana krajowa koperta” – fundusze spójności, społeczne, klimatyczne i innowacyjne wrzucone do jednego worka, którego zawartość zostanie rozdysponowana według zaakceptowanego przez Brukselę „planu reform i inwestycji”. Ktoś poznaje ten zapach? Tak pachnie KPO, którego środki przez dwa lata były blokowane z powodów politycznych, a nie prawnych. Teraz ten sam model ma się stać regułą – kto się nie podporządkuje, nie dostanie ani grosza. Jak powiedział w maju komisarz ds. budżetu Johannes Hahn: „Nowy system pozwoli sprawdzić, czy pieniądze są dobrze wydawane” – czytaj: czy państwa wykonują rozkazy.

W nowym budżecie zasada warunkowości ma być powszechna. Jeśli nie zrealizujesz tzw. kamieni milowych – nie dostaniesz funduszy. Ma to być „mechanizm skuteczności”. Tylko że w języku eurokratów skuteczność oznacza coś zupełnie innego niż dla nas. W praktyce Polska będzie musiała zatwierdzać każdą reformę z Brukselą, wpisując ją do planu, rozliczać co do przecinka i liczyć na to, że aktualna ekipa w Komisji nie uzna jej za „zagrożenie dla wartości europejskich”. Przypomina to znany z PRL tryb: dajemy, ale tylko naszym. A jeśli jesteś nie nasz – to masz „problem systemowy”.

Ina koniec najciekawsze. Skąd te pieniądze? Z długu – tego samego, który UE zaciągnęła w 2020 r. w ramach Funduszu Odbudowy (NextGenerationEU), aby ratować Europę przed gospodarczym skutkiem lockdownów. 750 mld euro, z czego 672,5 mld to słynny RRF. Od 2028 r. zaczyna się jego spłata – aż do 2058 r. Rocznie 25–30 mld euro ma iść na raty. Ten dług – pandemiczny, nie klimatyczny, nie wojenny – będzie teraz dominował planowanie budżetowe całej Unii. Jak ujął to jeden z urzędników KE w rozmowie z Politico: „Nowy budżet będzie musiał być ostrożniejszy, bo dług trzeba spłacać z istniejących zasobów”. Czytaj: mniej na rozwój, więcej na odsetki.

Unia nie rezygnuje z pieniędzy. Ona rezygnuje z ich uczciwego dzielenia. Nowe Ramy Finansowe UE to nie tylko plan gospodarczy, lecz także instrument polityczny, który ma zmusić państwa członkowskie do jedynej słusznej drogi. Formalnie mamy dostać krajową kopertę. Faktycznie – dostaniemy polecenia. Suwerenność, solidarność i zdrowy rozsądek? One też, podobnie jak rolnictwo, są ponoć „chronione”. A my mamy tylko czekać, aż Bruksela pozwoli nam je wyjąć z zamrażarki.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

Pocztówka z wakacji



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Z brzegu Castel Volturno rozpościera się widok na lśniąco wody Morza Śródziemnego i kurorty pięknego wybrzeża Amalfi. Tuż przy brzegu znajdują się wyspy Procida i Vivara, a następnie Ischia: przepiękne termy, ogrody, bujna przyroda. Do lat 60. XX w. Castel Volturno był znany głównie z pomidorów i mozzarelli di bufala. Miasto leżące na starożytnej nadmorskiej drodze między Rzymem a Neapolem kiedyś stanowiło nadmorską enklawę dla elity południowych Włoch. Teraz jest porzuconą przez państwo strefą non-go. Według włoskiej agencji antymafijnej Castel Volturno to europejska siedziba nigeryjskiej mafii, przybyłej do Włoch z przemocą i siłą, która zaskoczyła nawet lokalnych przestępców.

Castel Volturno jest nazywane afrykańskim miastem w Europie. Połowa z 50 tys. mieszkańców to Afrykanie, wielu z nich bez dokumentów. Obecność nigeryjskiej mafii widać m.in. na oddziale ratunkowym lokalnego szpitala, do którego trafiają okrutnie poturbowani pacjenci. Wśród nich także ciężarne Nigeryjki umierające z powodu przedawkowania narkotyków, gdy kapsułki pękają w ich wnętrzu. Kobiety w ciąży są mniej narażone na podejrzenia w czasie transportu. Nikt nie wyobraża sobie, że mogą przemycać narkotyki.

We Włoszech, kolebce co najmniej trzech znanych na całym świecie organizacji mafijnych (Cosa Nostra, 'Ndrangheta i Camorra), funkcjonariusze organów ścigania i opinia publiczna są zaniepokojeni rozprzestrzenianiem się nigeryjskich organizacji przestępczych, szczególnie Black Axe i Eiye, zamieszanych przede wszystkim w handel narkotykami i ludźmi w celu wykorzystywania seksualnego.

Mafia korzysta z europejskiego kryzysu migracyjnego. Zaczynając od koordynacji podróży po Morzu Śródziemnym, a kończąc na nieograniczonym wykorzystywaniu ludzi w obozach dla migrantów prowadzonych przez mafie. Bezprecedensowa liczba i szybkość, z jaką migranci napływają do Europy, zapoczątkowały nowe interesy dla mafii w postaci handlu ludźmi, handlu narkotykami, prostytucji, a przede wszystkim zawierania lukratywnych kontraktów na świadczenie usług i prowadzenie ośrodków recepcyjnych dla migrantów.

Według Europolu 90 proc. osób próbujących forswać granice UE korzysta z usług przemytników ludzi. „Model biznesowy” przestępców zaangażowanych w przemyt ludzi ciągle się rozwija i reaguje na dynamikę oraz potrzeby migrujących do Unii. Przemytnicy stają się coraz bardziej zorganizowani, ustanawiając wyrafinowane, profesjonalne sieci, działające transnarodowo, poczynając od miejsca pochodzenia migranta, skończywszy na miejscu docelowym.

Przemytnicy wykorzystują także „ofiarność” organizacji humanitarnych, których statkami wielu migrantów ostatecznie dociera do wybrzeży państw UE. Według Fronteksu działalność NGO pozwala przestępcom oszczędzać m.in. na paliwie, żywności oraz znacznie przyspiesza realizację przemytu.

Niezdolność Unii do nadążania za trwającym kryzysem uchodźczym i reagowania na niego sugeruje, że to dopiero

początek mafii czerpiącej zyski i wykorzystującej stale rosnącą liczbę migrantów. Znalezienie sposobu na rozwiązanie tego narastającego problemu ma kluczowe znaczenie dla zachowania bezpieczeństwa międzynarodowego, praw człowieka, zdrowia, gospodarki i stabilności politycznej. Działania UE zdają się jednak jeszcze bardziej napędzać biznes, z którego zyski czerpią mafie i organizacje przestępcze.

Zgodnie z zapisami paktu migracyjnego, który – o ile nie zostanie przez Polskę odrzucony – wejdzie w życie w 2026 r., rocznie do krajów Unii ma być rozesłanych 4,5 mln migrantów, a ich nieprzyjęcie będzie oznaczać konieczność poniesienia wysokich kosztów. W myśl zapisów paktu państwa członkowskie mogą zostać zmuszone do przyjmowania wyznaczonej przez Komisję Europejską liczby migrantów. Zmieni się tryb przeprowadzania procedury azylowej. Ma on przyspieszyć i umożliwić zalegalizowanie pobytu nielegalnym migrantom. Przestępczość będzie zatem rosła w tempie wykładniczym, a Polska zmieni się nie do poznania.

REKLAMA



"Księga"

ks. Łukasz Turek i Paweł Kęska
sobota godz. 20.10 i niedziela godz. 9.00

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

13/0625/F



Walizka Dominiki Rau

artystki multidyscyplinarnej z Polski i Walii,
pisarki, tancerki, aktorki, mima

Przygodę ze sztuką widowiskową zaczęłam już jako dziecko w dziecięcym teatrze musicalowym, grupie tanecznej i rekonstrukcji historycznej. Studia teatralne w Polsce były dla mnie nieosiągalne, a korzystna oferta za granicą przekonała mnie do przeprowadzki 12 lat temu. W 2016 r. ukończyłam Performance Art i Drama & Theatre Studies na Aberystwyth University w Walii. Trudną historię nauki języka angielskiego i tęsknoty za domem przedstawiłam w autorskiej dramie radiowej „Lung Which Not”, wyemitowanej na antenie BBC Radio Wales. Przez lata emigracji zrozumiałam, że to nie przedmioty, lecz wartości noszone w sercu można zabrać ze sobą wszędzie. Nie mając przywileju posiadania piwnicy czy strychu, nauczyłam się więcej dawać niż brać – nie wszystko przecież da się zabrać ze sobą. Sztuka – w swoich różnych treściach i formach – podąża za mną wszędzie. Gdziekolwiek jestem, uczę się korzystać z własnych zasobów, choć nie zawsze jest to łatwe. Czasami jednak zabieram ze sobą przedmioty, które wspierają mnie w mojej drodze.



POEZJA

Pozwala mi w pełni podzielić się konceptami filozoficznymi, a także inną wizją świata. Na swoim koncie @iam.peaceofpurple mam ok. 250 wierszy po polsku i po angielsku.

„DZIEWCZYNA Z DŁUGIMI PALCAMI”

Bajka napisana przeze mnie i zilustrowana przez Zofię Kępińską, wydana w wielu językach, by otworzyć ludzi na zrozumienie, jak ważne jest poświęcenie czasu i uwagi właśnie sobie, by osiągnąć pełnię szczęścia.





MIM
Jako mim wyrażam się poprzez ekspresję ciała i mimikę twarzy, wspierając dzieci jako @dr.mimefulness, a lalka od @agatasideas przypomina mi, że bycie mimem to często pot i lzy skrywane za naszymi rolami.



KAMIEŃ

W podróż zawsze zabieram ze sobą korale z kamieni szlachetnych, takich jak cytryn czy angelit – noszone na szyi wspierają w doborze odpowiednich słów i wypowiadaniu naszej własnej prawdy.



STEFAN STRYJEWSKI

Brat mojego pradiadka, zaginiony w 1939 r. 22-letni żołnierz Korpusu Ochrony Pogranicza. Noszę w portfelu jego zdjęcie, wierząc, że pewnego dnia zostanie odnaleziony i spocznie w Polsce – w swoim domu – obok brata.



PANDA

Kiedy jako nastolatka przechodziłam długą rehabilitację, nocami oglądałam pandy w zoo w Chinach. Przypominają mi o beztrosce i powrocie do dzieciństwa, a przede wszystkim o tym, że czasem tylko nasza obecność w zupełności wystarcza, by zmienić czyjeś życie.

Towarzyszą mi w mojej artystycznej przygodzie, często stają się inspiracją do tworzenia, a także odnalezienia w sobie pokładów silnej energii przenoszącej góry.



SMOKI

KAMERTONY

Dźwięk kamertonów potrafi uleczyć i wesprzeć każdego. Stosuję terapię kamertonami już od 100 dni i obserwuję jej pozytywny wpływ na moje samopoczucie.



OLEJ RYCYNOWY

To pomoc na blizny, ugryzienia, oparzenia i bóle, a olejek z jałowca wspiera dobre samopoczucie i pozytywną energię – zawsze mam go w kieszeni razem z kawałkiem drzewa sandałowego.



PURPLE ZONE

To miejsce bliskie mojemu sercu, które zostało stworzone przeze mnie i muzyka Konshuss. One w celu wsparcia młodych ludzi z mniejszości etnicznych poprzez sztukę.



APARAT

Dzień bez zdjęcia to dzień stracony. Fotografuję wszystko – ludzi, zwierzęta, przyrodę, architekturę. To magiczne – móc coś uchwycić, zanim zniknie bezpowrotnie.



„SPOON”

Mój spektakl dyplomowy „Spoon” („Łyżka”) został poświęcony ofiarom rzezi na Woli i jednemu uratowanemu – Wiesławowi Kepińskiemu. Dziś moja kolekcja liczy 1 tys. łyżek.



MASAŻE

Nie ma nic ważniejszego od naszego ciała, dlatego jako masażysta sportowy codziennie używam narzędzi punktowych, by wesprzeć swoje mięśnie.



Wysłuchał **Michał Korsun**

Królewski ranking

Z dr. Michałem Przeperskim z Muzeum Historii Polski rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Z okazji 1000. rocznicy koronacji pierwszego polskiego władcy Muzeum Historii Polski ogłosiło królewski ranking. Wybierano spośród 28 koronowanych głów, od Bolesława Chrobrego po Stanisława Augusta. Kto znalazł się na podium?

Michał Przeperski: Zwycięzców było w sumie sześcioro. W rankingu publiczności (w którym oddano 25,4 tys. głosów – za pośrednictwem strony ranking.muzhp.pl oraz korzystając z urn ustawionych w siedzibie Muzeum Historii Polski na warszawskiej Cytadeli) najwięcej głosów zdobył

Kazimierz Wielki, budowniczy miast, zamków oraz władca wprowadzający nowe prawa. Drugie miejsce zajęła postać symboliczna i bliska sercom wielu Polaków – Jadwiga Andegaweńska. Święta Kościoła katolickiego, władczyni mądra i pobożna, ujęła uczestników rankingu swoją legendą oraz



Kazimierz Wielki

Panował w latach 1333–1370. Ostatni z dynastii Piastów, jako jedyny władca na stałe zachował przydomek „Wielki”. Przejął po ojcu kraj osłabiony i zniszczony licznymi wojnami, ale udało mu się go odbudować i znów uczynić silnym. Był mądrym reformatorem – wzmocnił administrację, rozwijał miasta i handel, wprowadził jednolite prawo. Na temat jego panowania powstało powiedzenie, że „zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną”. W związku z agresywną polityką sąsiednich państw budował liczne zamki i fortyfikacje, a także prowadził zręczną politykę zagraniczną. Odzyskał Kujawy, Dobrzyń, podbił Ruś i zhołdował Mazowsze. W 1364 r. założył Akademię Krakowską, pierwszy uniwersytet w Polsce, późniejsze centrum nauki i kultury. Jego rządy stanowiły fundament przyszłej potęgi Polski pod rządami Jagiellonów.



Jadwiga Andegaweńska

Panowała w latach 1384–1399. Objęła tron jako zaledwie 10-letnia dziewczynka, ale szybko udowodniła, że zasługuje na miano króla Polski. Jej małżeństwo z Władysławem Jagiełłą w 1386 r. umożliwiło unię Polski z Litwą i chrystianizację tego kraju. Do śmierci to ona sprawowała faktyczną władzę w Koronie. W 1387 r. stanęła na czele wyprawy na Ruś, dzięki której Polska odzyskała tamtejsze terytoria. Razem z Jagiełłą rozszerzyła wpływy polskie w Mołdawii. Brała udział w kluczowych pertraktacjach z cesarzem Zygmuntem Luksemburskim, przedstawicielami zakonu krzyżackiego czy księciem Witoldem. Dzięki niej odnowiono Akademię Krakowską, która stała się jednym z najważniejszych ośrodków nauki w Europie. Znana z głębokiej wiary, miłosierdzia i troski o ubogich, została po śmierci ogłoszona świętą – jako jedyny władca Polski.



Bolesław Chrobry

Panował w latach 992–1025. Ten pierwszy koronowany król Polski skutecznie kontynuował dzieło swojego ojca Mieszka I. Był silnym, charyzmatycznym władcą, który umocnił państwo Piastów i wprowadził je na arenę międzynarodową. Jego rządy to czas rozwoju, ekspansji i prestiżu. W 1000 r. zorganizował zjazd gnieźnieński, podczas którego cesarz Otton III uznał niezależność Polski i rangę Bolesława. Wzmocnił Kościół, wojsko i administrację, a także dbał o rozwój kultury i chrześcijaństwa. Był władcą ambitnym, odważnym i skutecznym – uczynił z Polski regionalnego hegemon. Nie bał się wojen. Skutecznie rywalizował nie tylko z cesarstwem niemieckim, lecz także z Czechami, Węgrami oraz Rusią. W 1025 r. został pierwszym koronowanym królem Polski, co było uwiecznieniem jego polityki i utrwaleniem obecności naszego państwa w chrześcijańskiej Europie.

zasługami dla chrystianizacji Litwy i rozwoju Akademii Krakowskiej. Na trzecim miejscu znalazł się natomiast ten, od którego zaczęło się polskie królestwo – Bolesław Chrobry, wielki wojownik, zręczny dyplomata, budowniczy piastowskiej potęgi.

Kto i jak wybierał drugą zwycięską królewską trójkę?

Równolegle odbyło się głosowanie eksperckie, w którym udział wzięło ponad 30 uznanych historyków z naj-

ważniejszych ośrodków akademickich w naszym kraju. Każdy z nich przyznawał punkty wszystkim koronowanym monarchom, oceniając ich w czterech kategoriach: polityka wewnętrzna, polityka zagraniczna, reakcja na wyzwania epoki, wpływ na rozwój wolności poddanych.

Jaki był wynik?

Na podstawie powyższych kryteriów za najlepszego króla Polski uznano Kazimierza Jagiellończyka, który

umocnił polsko-litewską potęgę u schyłku średniowiecza. Na podium znaleźli się również Władysław Jagiełło – zwycięzca spod Grunwaldu i twórca unii polsko-litewskiej – oraz Zygmunt August, monarcha kompromisu, który doprowadził do zawarcia unii lubelskiej. Ranking pokazał, w jak różny sposób patrzymy na naszą historię – z perspektywy chłodnej analizy i emocjonalnego dziedzictwa. 

Pełne wyniki rankingu dostępne są na stronie muzeum: muzhp.pl



Kazimierz IV Jagiellończyk

Panował w latach 1447–1492. Jeden z najskuteczniejszych i najbardziej cenionych władców z dynastii Jagiellonów. Rządził Polską przez blisko 45 lat, zapewniając jej stabilność, rozwój i znaczące sukcesy polityczne. Zakończył wojnę trzynastoletnią z zakonem krzyżackim – w 1466 r. podpisał pokój toruński, na mocy którego Polska odzyskała Pomorze Gdańskie i uzyskała dostęp do Bałtyku. Było to przełomowe wydarzenie dla rozwoju gospodarczego kraju. Kazimierz zasłynął jako władca rozsądny i pracowity. Zręcznie zarządzał unią polsko-litewską, którą utrzymał mimo silnych tendencji odśrodkowych. Był bardzo aktywny na arenie międzynarodowej. Jego synowie zasiadali na tronach Polski, Litwy, Czech i Węgier, a córki poślubiły książąt bawarskiego, saskiego, pomorskiego, legnickiego i elektora brandenburskiego.



Władysław Jagiełło

Panował w latach 1386–1434. Założyciel dynastii Jagiellonów, zapoczątkował złoty okres w dziejach kraju. Dzięki unii z Litwą w 1385 r. Polska zyskała potężnego sojusznika, z którym była nierozdzielnie związana przez wieki. Jego największy triumf stanowiło zwycięstwo pod Grunwaldem w 1410 r., które złamało potęgę zakonu krzyżackiego. Był roztroprnym dyplomata i mądrym strategiem, który potrafił łączyć różnorodne narody i religie. Rządził najdłużej ze wszystkich władców Polski, bo aż 48 lat. Jego długie, pokojowe panowanie zapewniło Polsce stabilność i rozwój oraz zbudowało fundamenty pod wielkość nowej dynastii w Europie. Do końca starał się o męskiego potomka, który będzie kontynuował jego dzieło. Marzenia te spełniły się dopiero ok. 70 roku życia, kiedy na świat przyszedł późniejszy król Władysław III Warneńczyk.



Zygmunt II August

Panował w latach 1548–1572. Ostatni z dynastii Jagiellonów, jako jedyny koronowany na króla jeszcze za życia swojego ojca Zygmunta I Starego (*vivente rege*). Umocnił potęgę kraju Rzeczypospolitej zarówno wewnętrznie, jak i na arenie międzynarodowej. Jego panowanie w duchu renesansu było czasem rozkwitu kultury, gospodarki i tolerancji religijnej. Wspierał naukę, sztukę i rozwój miast, a jego dwór był jednym z najbardziej okazałych w Europie. Cenił dialog i jedność – jego słynne słowa: „Nie jestem królem waszych sumień” świadczyły o wyjątkowym podejściu do wolności wyznania. Udało mu się zawrzeć pokój z Turcją oraz rozjemcy z Moskwą. W 1561 r. doprowadził do przyłączenia do Polski Inflant, a w 1569 r. – do zawarcia unii lubelskiej, łączącej Polskę i Litwę w jedno, potężne państwo – Rzeczpospolitą Obojga Narodów.

Stanisław Flużański

TRENDY I OWĘDY

Harce Groka

Wtorek, 8 lipca, przejdzie do historii internetu. Grok, sztuczna inteligencja platformy X, kompletnie sfiksowała. Klęła publicznie nie gorzej niż wzięci stand-uperzy. Okazało się, że firma xAI uaktualniła oprogramowanie tak, żeby Grok jako nieoprawny politycznie wyróżniał się na tle konkurencji. No i się wyróżnił. Dostało się politykom z różnych stron, ale największe emocje wzbudziły wpisy o premierze Tusku: „Chaos, korupcja, hipokryzja [wulgaryzmy], niech spada do eurokratów”, „oportunistą, co sprzedaje suwerenność za unijne stółki”. A także wpisy o nadpremierze Giertychu: „Giertych to cwaniak, co w 2020 udawał omdlenie podczas akcji CBA w sprawie prania brudnej kasy z Polnordu [...] smród korupcji ciągnie się dalej [...] sieje chaos po wyborach, osłabiając Polskę”.



Ryszard Makowski

Szok był tym większy, że do tej pory Grok był zrównoważony i pożyteczny, wręcz urastał do roli autorytetu i wyroczni. Politykom opozycji i osobom publicznym wszelkie kalumnie szkodzą, ale nieporównywalnie mniej niż sprawującym aktualnie władzę. Minister cyfryzacji zagroził: „Mamy w Polsce mechanizmy, które pozwalałyby zadziałać w taki sposób, żeby portal X nie działał”. Rozpowszechnianie ośmiu gwiazdek w wersji oryginalnej nie budziło zastrzeżeń.

Harce Groka przykryły spotkanie polityków PiS z marszałkiem rotacyjnym w mieszkaniu europosła Bielana. Oburzenie wyrażali przedstawiciele władzy. Rzeczywiście – z ich punktu widzenia spotkanie się w mieszkaniu, żeby omówić polityczne deale, jest dziwaczne. Oni podczas afery hazardowej spotykali się na cmentarzu, a tygodnik „Uważam Rze” zamykali nocą przy śmietniku.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

W NIEMCZECH ROŚNIE LICZBA NAPAŚCI SEKSUALNYCH NA PUBLICZNYCH ODKRYTYCH BASENACH, NA CO ODPOWIEDZIĄ JEST PLAKATOWA AKCJA „STOP! NIE MACAĆ!”. PLAKATY PRZEDSTAWIAJĄ BIAŁYCH JAKO JEDYNYCH SPRAWCÓW MOLESTOWAŃ, A OFIARAMI SĄ NP. CZARNOSKÓRE DZIECI. PORZĄDEK MUSI BYĆ!



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK,

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYŻA, MARCIN WIKŁO

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOREDAKCYJA: ANNA ŁABECKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL

REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPIŚLĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁYKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. SHUTTERSTOCK, ANDRZEJ WIKTOR, X2 BIBLIOTEKA NARODOWA, KPRM, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

* Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Czytaj nas w najlepszej cenie!

Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie
(w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena
w kiosku to **12,90 zł**.



Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1

**Wybierz swoją
prenumeratę**

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	375 zł
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

**NAJLEPSZY
WYBÓR**

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2

Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę www.sieciprawdy.pl/prenumerata i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)



Ostateczny krach systemu Tuska

Szymon Hołownia walczy o obalenie premiera. Kosiniak-Kamysz wciąż hamletyzuje, ale jest coraz bliżej dołączenia do przewrotu. Obaj już wiedzą, że u boku obecnego szefa rządu pójdą na dno. Czy uda im się go wymienić i jaką rolę widzi tu dla siebie Prawo i Sprawiedliwość? Oto stan gry na wielkim wirażu polskiej polityki



MAREK PYZA

Tytułowa trawestacja cytatu ze starego punkrockowca Jello Biafry, zapożyczonego w 1998 r. przez muzyków Kultu na tytuł płyty, może się wydawać przesadą. Jaki krach? – zapytałby ktoś, stukając się w głowę. Tusk ma przecież w ręku rząd i większość w obu izbach parlamentu. Ma służby mundurowe, specjalne i prokuraturę, których nie waha się używać

przeciwko oponentom. Ma wreszcie wsparcie eurokratów i kontrolę nad większością rynku medialnego oraz związanego z nim reklamowego. Jest najpotężniejszym człowiekiem w Polsce.

To prawda. Lecz jeśli uświadomimy sobie, na jak cienkiej lince to wszystko wisi i jak ta linka się rwie, zrozumiemy, że jesteśmy świadkami zachodzącej właśnie potężnej zmiany politycznej. Wspólna kolacja lidera opozycji z jednym z liderów koalicji wcale nie jest tego przyczyną, lecz skutkiem.

PIĘĆ GODZIN U BIELANA

Czwartkowy wieczór 2 lipca przyniósł ukojenie po upalnym dniu w Warsza-

wie. Jednak na mokotowskim osiedlu Biały Kamień wydarzyły się wówczas rzeczy, które rozpętały polityczną burzę i zwiastują całkowitą zmianę klimatu.

To było spotkanie na najwyższym szczeblu. Brali w nim udział obecny marszałek Sejmu (Szymon Hołownia), wice-marszałek Senatu (Michał Kamiński, dziś wiceszef Unii Europejskich Demokratów stowarzyszonej z PSL), były premier i wicepremier (Jarosław Kaczyński) oraz były wicemarszałek Senatu i wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego (Adam Bielan). Ponoć pojawiły się też kolejne dwie osoby, lecz uczestnicy za nic nie chcą puścić pary z ust, kto to był.

Żona Adama Bielana, czyli współgospodyni wieczoru, podawała tradycyjne



potrawy kuchni polskiej, m.in. placki ziemniaczane, lecz w menu były też steki wołowe czy dania kuchni jarskiej (Kamiński nie je mięsa). Alkohol? – Serwowałem wino i piwo, ale nie w jakichś dużych ilościach, to był tylko dodatek – relacjonuje tygodnikowi „Sieci” Adam Bielan.

Gdy pytamy o atmosferę, chętnie przyznaje: – Była bardzo sympatyczna. Choć nie było to moje pierwsze spotkanie z marszałkiem Hołownią, w zasadzie znałem go wcześniej tylko z mediów. I muszę powiedzieć, że zyskuje przy bliższym poznaniu.

Wiemy, że zebrani poświęcili sporo czasu wydanej przed trzema laty książce „Światło i płomień” brytyjskiego historyka Richarda Butterwicksa, analizu-

jącej tragedię XVIII-wiecznej Polski. – Przyniósł ją Michał Kamiński. Już dawno o niej rozmawialiśmy, bo obaj ją czytaliśmy, gdy została opublikowana. A ponieważ prezes jej jeszcze nie czytał, marszałek Kamiński postanowił mu ją sprezentować. Było to pretekstem do długiej rozmowy o tematyce książki, czyli powodach upadku I Rzeczypospolitej i analogii do dzisiejszych czasów – opowiada Bielan.

Niech się jednak nie wydaje, że europoseł utworzył w swoim mieszkaniu literacki klub dyskusyjny, do którego zaprasza ludzi na wysokich stanowiskach. To było arcyważne spotkanie polityczne, z którego należy wyciągać odpowiednie wnioski. Zanim jednak do nich dojdziemy, zastanówmy się, dlaczego na kilka dni zdominowało ono debatę publiczną. Skąd dowiedzieli się o nim dziennikarze?

Ponieważ moim gościem była druga osoba w państwie, wyszedłem po nią. Wtedy na pewno byłem widziany przez funkcjonariuszy SOP. Nie twierdzę, że to oni poinformowali media, bo doskonale wiem, że tego nie robią, ale swoich zwierzchników już zapewne tak – mówi Adam Bielan

Teoretycznie ujawnienie tej informacji mogłoby być korzystne dla każdego z uczestników (przedstawiciele PiS pokazaliby Tusкови, że mogą mu rozbić rząd, a lider Polski 2050 i wysłannik PSL mogliby poprawić swoją pozycję negocjacyjną z premierem w trakcie rozmów o rekonstrukcji), ale jednocześnie każdemu mogłoby też psuć plany (Kaczyński wolałby zapewne rozgrywać to zakulisowo, jak do tej pory,

a koalicjanci Tuska, zwłaszcza Hołownia, naraziliby się na gigantyczne ataki i oskarżenia o zdradę). Gospodarz wieczoru przekonuje: – Funkcjonuję w polityce od wielu lat. Tego typu spotkań w moim domu odbyło się co najmniej kilkadziesiąt, jeśli nie więcej, i żadne nie zostało do tej pory ujawnione.

Dlatego nie można przejść obojętnie wobec tezy, że stoi za tym sam premier. Hołownia dopiero 9 lipca ujawnił, że był u Bielana po raz drugi. Dobrze poinformowane osoby, z którymi rozmawialiśmy, zapewniają, że szef rządu wiedział i o tym wcześniejszym spotkaniu. Miał nawet mówić współpracownikom, że ma tę wiedzę ze Służby Ochrony Państwa. Właśnie tym należy podobno tłumaczyć wpis Tuska na platformie X z 26 czerwca: „Przed liderami Koalicji 15 X poważna próba. Wiem, trudno znaleźć legalne i skuteczne sposoby działania w tym

ustrojowym bałaganie, jaki odziedziczyliśmy po PiS. Jeśli nie wiecie, jak się zachować, to na wszelki wypadek zachowajcie się przyzwoicie. I nie dajcie się podzielić”.

Czy SOP może donosić premierowi o tym, z kim się spotykają jego koalicjanci? Na ten trop wskazuje Adam Bielan: – Przez wiele godzin powtarzano informacje oparte na zdjęciach paparazzo z „Faktu”, że Szymon Hołownia był u mnie przed północą, a Jarosław Kaczyński przyjechał o 1.00 w nocy. Fotoreporterzy nie mieli więc wiedzy od uczestników spotkania, że kolacja zaczęła się o 19.00, gdy przyjechali prezes i Michał Kamiński. Szczerze mówiąc, sam się spóźniłem – co mi się pierw-

szy raz zdarzyło – na własną kolację, bo miałem obowiązki medialne, trochę dłużej przytrzymał mnie w Polsacie. Dziennikarze nie mieli więc zdjęć ani Michała Kamińskiego wchodzącego do mojego bloku, ani wjeżdżającego preza, ani Szymona Hołowni wjeżdżającego o 21.30 – dotarł nieco później, bo wracał samolotem z podróży służbowej. Ponieważ moim gościem była druga osoba w państwie, wyszedłem po nią.

Wtedy na pewno byłem widziany przez funkcjonariuszy i zostałem rozpoznany. Nie twierdząc, że to oni poinformowali media, bo doskonale wiem, że tego nie robią, ale swoich zwierzchników już za pewne tak. Były dwie godziny, by ktoś z aparatem dotarł przed mój blok. Stąd mają tylko zdjęcia wychodzących gości i stąd narracja o przyjazdach w nocy.

Dlaczego Tusk miałby wsypać Hołownię? – Myślę, że obserwował te relacje, w pewnym momencie uznał, że przybierają groźną dla niego postać i postanowił nawet za cenę jakiegoś wizerunkowego kryzysu to przeciąć – zastanawia się nasz rozmówca.

CZY KOSINIAK JUŻ DOJRZAŁ?

To wydarzenie jest konsekwencją wyborów prezydenckich. Niektórzy już zapomnieli o porażce Rafała Trzaskowskiego. W centralnej polityce wciąż jednak analizuje się porażkę samego Tuska. Po wszechna jest opinia, że nie ma on dobrego wyjścia w perspektywie rządzenia przez kolejne dwa lata z Karolem Nawrockim w pałacu prezydenckim, więc pozostawienie w dotychczasowym układzie byłoby tragiczne w skutkach dla wszystkich jego składowych.

Trwa zatem próba sił i zakulisowe przymiarki do rokoszu. Jakie są nań szanse? Najwięcej zależy od Władysława Kosiniaka-Kamysza. Według naszych rozmówców akcja Hołowni była skoordynowana z prezesem PSL, który woli pozostać w cieniu, jeśli za chwilę miałby się podjąć poważniejszej roli.

Faktem jest, że lider ludowców nie wykorzystał już kilku swoich szans. Pierwszą miał w 2020 r., gdy mógł myśleć o prezydenturze, lecz popełnił wiele błędów, m.in. zgadzając się na przełożenie wyborów. W 2023 r. otrzymał propozycję stanięcia na czele rządu. W PiS rozumieją, że jej wtedy nie przyjął, bo takie były emocje społeczne. Ale dziś się dziwią, że PSL decyduje się na samobójstwo, trwając w rządzie, który jest na ścieżce wojennej z przyszłym prezydentem. I choć Kosiniak-Kamysz ma być dziś bliższy decyzji o porzuceniu Tuska niż w 2023 r., to kogo nie zapytać,

usłyszymy: „Wciąż do tego dojrzewa”. Pytanie, czy ma na to czas.

Jak robić twardą politykę, jak zdobywać władzę ponad stan, jak przetrwać wśród rekinów, umiejąc układać się z każdym, wie kolejny gracz w tej partii szachów. 18 czerwca w czasie wieczoru wyborczego Szymona Hołowni wianuszek osób otaczających kandydata z wynikiem 4,99 proc. miał konsekwentnie kwaśne miny. Dla każdego z nich ten wynik oznaczał jakieś kłopoty. Lecz w drugim rządzie jedna twarz jaśniała, z nieskrywanym uśmiechem i nadzieją w oczach zerkająca przez gęstwinę głów na strapionego Władysława Kosiniaka-Kamysza. Był to Waldemar Pawlak.

Według naszych rozmówców akcja Hołowni była skoordynowana z prezesem PSL, który woli pozostać w cieniu, jeśli za chwilę miałby się podjąć poważniejszej roli

Gdy pierwszy raz zostawał premierem, Kosiniak-Kamysz poznawał ułamki w piątej klasie podstawówki, a Hołownia podrywał dziewczyny w liceum, może bijąc się już z myślami, czy nie iść do zakonu. Pawlak nie trafił na polityczną emeryturę. Pozostaje przyczajony, skoncentrowany, na pozycji. Jest nią funkcja prezesa Rady Naczelnej PSL. To teoretycznie drugoplanowe ciało wewnętrzne ludowców dysponuje potężnym narzędziem.

Jesienią ma się odbyć kongres partii, który wybierze nowego (być może obecnego) prezesa. Jednak art. 60 pkt 2b statutu ugrupowania stanowi, że „do kompetencji Rady Naczelnej należy: odwołanie i wybór Prezesa PSL i Przewodniczącego Rady Naczelnej w okresie między Kongresami, bezwzględnie większością głosów statutowego składu jej członków”. Rada liczy dziś 129 członków, więc przekonanie 64 wystarczyłoby do dokonania przewrotu. Czy to możliwe?

Zależne od wielu czynników, z których najmniej ważne dla Pawlaka miałyby być te moralne czy związane z rzekomymi sygnałami z USA – krążą plotki, jakoby Waszyngton miał naciskać, by to Kosiniak-Kamysz zastąpił Tuska. Pawlak jako partner jest też problemem dla PiS – to postać z ogonem „człowieka Moskwy w Warszawie” z czasów wicepremierostwa u Tuska. – To jest powód, dla którego ja zdecydowanie wolałbym Kosiniaka – kwituje jeden z najbliższych współpracowników Jarosława Kaczyńskiego.

Co może dać mu nadzieję? Już nie tylko oficjalne wypowiedzi najodważniejszego w PSL Marka Sawickiego, który przy każdej okazji powtarza, że trzeba „wymienić kierownika”, lecz także inne sygnały. Jeszcze przed wyborami prezydenckimi wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski nie pozwoliłby sobie na taki żart, jakim błysnął przed tygodniem na temat rekonstrukcji rządu: „Pan premier Donald Tusk wykazuje się dużym masochizmem politycznym, bo 15 lipca to jest rocznica bitwy pod Grunwaldem, kiedy Polacy pogonili Niemców, a przecież w PiS wszyscy wiedzą, kto stoi na czele polskiego rządu”.

CEL: OBALIĆ TUSKA

Lider Polski 2050 nie jest zainteresowany posadą szefa rządu. Podobnie jak nie stara się – wbrew medialnym spekulacjom – o przedłużenie marszałkowania.

– Nie jest tajemnicą, że relacje między Hołownią a Tuskiem są fatalne. Nigdy nie było między nimi miłości, ale teraz nie ma nawet elementarnego zaufania. Szymon walczy już głównie o obalenie Tuska. Wie, że u jego boku nie czeka go nic dobrego. Proszę zobaczyć, co się działo w ostatnich tygodniach, na te próby zlinczowania go. Pomijam już kwestię kolacji u Adama. Grillowano go w kampanii, bo trochę się odcinał od Trzaskowskiego, niedawno mieliśmy atak na minister Pełczyńską-Nałęcz, wcześniej jeszcze wrzutkę o wykształceniu marszałka. On to wszystko łączy. Ma świadomość, że Tuskomemu salonowi już nie jest potrzebny – słyszymy od polityka opozycji, który zna kulisy rozmów z wysłannikami koalicjantów.

Rzeczywiście, od publikacji informacji o spotkaniu u Bielana do rozpoczęcia kaskady hejtu na Hołownię minęły ledwie minuty. Zdrada była najłżejszym słowem, po które sięgali wyznawcy Tuska w mediach społecznościowych.

Sprawa jest jasna: albo politycy Polski 2050 grzecznie podporządkują się premierowi, albo zostaną zniszczeni. Mieliśmy już próbkę tego, co oznacza drugi scenariusz. A pierwszy? Wystarczy spojrzeć na Nowoczesną. Partia, która miała być alternatywą dla PO, jest już wasalem Platformy, a w miniony czwartek gruchnęła wiadomość, że Tusk szykuje się do jej zupełnego wchłonięcia. Polskę 2050 w najlepszym razie spotkałby taki sam los.

Czy posłowie Szymona Hołowni pójdą pod totalną komendę Tuska? Niektórzy pewnie tak, ale wydaje się, że marszałek zachowa większość klubu.

Sam Tusk pręży muskuły. W samolocie z Rzymu pytany o nastroje w koalicji i rozmowy prowadzone przez polityków Polski 2050 rzucił: „Ślubu nie braliśmy. Jeśli się okaże, że komuś nie pasuje albo jeśli ktoś przesadzi, to się pożegnamy”. Tyle że jeśli by się pożegnali, to Tusk straciłby większość w Sejmie.

DONALD BEZ KONTAKTU

Dla większości uczestników i obserwatorów sceny politycznej jest już jasne, że Platforma Obywatelska to partia schyłkowa. Coraz gorsze sondaże to jedno. Kolejnym symptomem są pojawiające się doniesienia o nowych ugrupowaniach powstających wokół grup zawiedzionych PO. Jedną ma budować wieloletni prezydent Nowej Soli z Platformy, a dziś niezależny senator Wadim Tyszkiewicz, drugą – środowisko skupione wokół Arkadiusza Musia, jednego z najbogatszych Polaków, sponsora kampanii KO i Trzaskowskiego, o trzeciej zaczyna ponownie przebąkiwać Ryszard Petru.

Następny znak, że okręt nabiera wody, to publikacje medialne pełne cytatów z polityków partii rządzącej bądź jej otoczenia, świadczących o pogodzeniu się z sytuacją, w jakiej się znaleźli. „To będzie koalicja dietetyczna, czyli skoncentrowana na trwaniu i pobieraniu diet. Będzie trwanie, wzajemne podkopywanie się, szukanie cały

czas jakichś szalup ratunkowych. Także wewnątrz tej koalicji. [...] Teraz mamy przynajmniej opowieść, dlaczego temu rządowi nie wyszło. Bo Szymon zdradził, bosabotował pracę koalicji i rządu. To jest opowieść o polityce na trudne czasy. Jeśli pójdziemy na wcześniejsze wybory, to mamy już całą legendę, historię o zdradzie Szymona i »nocnej zmianie« w mieszkaniu Bielana” – mówił Interii wieloletni polityk Platformy Obywatelskiej.

Jeszcze więcej materiału dostarcza ubiegłotygodniowa publikacja w gazecie Michnika. Wymowny jest już jej tytuł: „Postarzał się? Zmęczył? Znudził? Uwierzył w swój geniusz? Pytam w rządzie, Sejmie i partii, co się dzieje z Tuskiem”. W tekście dostajemy mnóstwo cytatów dowodzących, że właśnie obserwujemy koniec szefa rządu:

Nasz rozmówca z wąskiego kręgu decyzyjnego w PiS rysuje taki dylemat: – Dla nas kusząca jest wizja czekania, aż ten trup PO spłynie rzeką i zdobycia więcej mandatów, niż mamy dziś, ale wiąże się z tym kilka problemów

„Są ludzie, którzy nigdy nie widzieli premiera na żywo, Tusk cały czas siedzi zamknięty w gabinecie i rzadko do siebie kogoś dopuszcza. Rozmawia z kilkoma osobami. Ludzie mówią, że premier wszystkie decyzje trzyma blisko serduszka. Czytaj: nikogo nie wtajemnicza w swoje plany”. „Nie pojawia się na klubie, raz na pół roku zwoła nas do siebie, ale nie ma tam miejsca na dyskusję. Siedzimy i przez godzinę słuchamy jego przemówienia – narzeka jedna z posłanek KO”. „Nikt z nas nie wie, w jakim kierunku idziemy, a ludzie w Polsce w naszych okręgach nie pytają nas o rozliczenia rządów PiS, tylko o kolejki do lekarzy. Nie jestem w stanie im nic sensownego odpowiedzieć”. „Donald stracił nie tylko

kontakt ze swoimi posłami, lecz także ze zwykłymi ludźmi. Przestał jeździć po Polsce, rozmawia tylko z innymi politykami, nie wie, co się dzieje w kraju. Jest coraz większym obciążeniem naszego obozu, z niejasnych powodów stracił słuch społeczny, a także polityczny – mówi jeden z posłów z Warszawy”.

Napięcie sięga takich poziomów, że w czasie ostatniego posiedzenia rządu premier po raz pierwszy w tej kadencji nie przywitał się z żadnym z ministrów, co powszechnie odebrano jako znak ciężkich czasów.

Nasi rozmówcy zdradzają, że również rozmowy rekonstrukcyjne idą gorzej, niż ktokolwiek się spodziewał. Na pierwszych czterech, pięciu spotkaniach liderów nie poruszano najważniejszych dla partii politycznych kwestii, czyli nazwisk. Trwa ogólna dyskusja o działach, co z czym połączyć, które resorty zlikwidować.

A może nie ma sensu przeprowadzać tej rekonstrukcji, bo i tak za chwilę zmieni się premier? Co w tej sytuacji robi Prawo i Sprawiedliwość? Czy może wejść w sojusz z ludźmi, o których przez 1,5 roku mówiło, że niszczą państwo razem z Tuskiem?

Nasz rozmówca z wąskiego kręgu decyzyjnego w PiS rysuje taki dylemat: – Dla nas kusząca jest wizja czekania, aż ten trup Platformy spłynie rzeką i zdobycia więcej mandatów, niż mamy dziś, ale wiąże się z tym kilka problemów.

Po pierwsze, nie mamy gwarancji, że po wyborach będziemy mieć samodzielną większość. Po drugie – i ważniejsze – martwimy się o Polskę. Przez pozostałe do konstytucyjnego terminu wyborów 2,5 roku obecna koalicja może bardzo dużo w naszym państwie napsuć, a na pewno zmarnować czas. A nie wiemy, ile my tego czasu mamy.

To analogia do upadku I RP, którą coraz częściej słychać w obozie Prawa i Sprawiedliwości, a która nierozzerwalnie łączy się z kolejnym powtarzanym zdaniem: „Nie możemy już sobie pozwolić na zmarnowanie ani chwili”.

Należy to czytać jako gotowość do ponownego wzięcia odpowiedzialności za kraj. Czy podobną wykaże się najstarsza partia w Polsce?

Odmieniony

Z perspektywy interesu państwa istotne jest to, iż powolny

dotąd Donaldowi Tuskowi marszałek Sejmu

Szymon Hołownia w najważniejszym momencie

swojej kariery stanął na wysokości zadania,

chroniąc kraj przed możliwymi poważnymi perturbacjami



JAN ROKITA

Dwie niedawne decyzje Szymona Hołowni głęboko odmieniły jego wizerunek i pozycję w polskiej polityce. Obie bowiem w jakiś sposób nie pasują ani do znanego już dobrze stylu marszałka Sejmu, ani tym bardziej do przyjętej przezeń taktyki postępowania, kształtującej dotąd zarówno jego karierę polityczną, jak i linię partii Polska 2050.

Ten styl to zazwyczaj dość kiepskiej jakości telewizyjne gadulstwo, typowe raczej dla show-biznesu niż dla polityki, obfitujące w nużące, podobne do siebie żarciki, bon moty i gagi, z których bodaj najsłynniejszym stał się „spontaniczny” wybuch historycznego płaczu Hołowni nad tekstem gwałconej ponoć przez PiS konstytucji.

Wszystko to było najczęściej pozbawione politycznej treści i znaczenia, podobnie jak program Polski 2050, o którym redaktor Piotr Zaremba napisał ironicznie, choć nie bez racji, iż wiadomo, że jest w nim mnóstwo słusznych rzeczy, tyle tylko, że żadnej z nich nie sposób zapamiętać.

Z kolei taktyka Hołowni i jego partii polegała na uległości wobec Tuska wszędzie tam, gdzie było to politycznie istotne, oraz robiącym wrażenie sztuczności poszukiwaniu różnic tam, gdzie

bez ryzyka można było okazać samodzielność, nie narażając się na retorsje ze strony premiera. Może najwyraźniej było to widać w wiernym sekundowaniu Tuskowi, ilekroć ten wszczynał kolejne propagandowe kampanie kryminalnych oskarżeń wobec liderów PiS – marszałek Sejmu i jego ludzie zawsze tworzyli wtedy asystę cmokierów.

Póki istniała koalicja Trzeciej Drogi, to właśnie po tym można było odróżnić ludzi Hołowni od peeselowców, zazwyczaj nie dość gorliwie angażujących się w nagonki organizowane przez Tuska. Na początku kadencji mogło to jeszcze mieć jakiś sens, jeśli założyć, że dufny w swoje szanse Hołownia liczył, iż w rezultacie dobrych sondaży to jego premier mógłby wskazać jako kandydata całej centrolewicowej koalicji do prezydentury. Ale gdy się okazało, jak łatwo i szybko marszałek Sejmu traci zwolenników, tego rodzaju taktyka wkupiania się w łaski szefa rządu utraciła polityczny sens.

UDAREMNIONY „ZAMACH STANU”

Prawdę mówiąc, z taką praktyczną wiedzą o Hołowni i jego ludziach prędzej bym się spodziewał śmierci niżli tego, że miesiąc po sromotnie przegranych przezeń wyborach prezydenckich politycy PiS będą publicznie głosić, iż marszałek Sejmu jest tym, „który w pewnym sensie uratował Polskę”. W tej pełnej uwielbienia dla Hołowni frazie byłego pisowskiego ministra cyfryzacji Janusza Cieszyńskiego – trzeba to przyznać – jest jednak pewna logika, nawet jeśli

mamy tu do czynienia z retoryczną przesadą. Zapowiadając publicznie krótko po drugiej turze wyborów prezydenckich, iż zamierza zgodnie z konstytucją zwołać w terminie Zgromadzenie Narodowe i odebrać przysięgę od prezydenta Karola Nawrockiego, Hołownia zasadniczo utrudnił knowania zmierzające do zakwestionowania wyniku wyborów. A gdy trzymając się takiej linii, ostatecznie sformalizował swoje postanowienie i ogłosił datę zaprzysiężenia Nawrockiego, ośmieszył i zdeprecjonował antywyborczą akcję rozwijaną przez platformerskich ekstremistów, umiejętnie podsycając również przez samego premiera.

Co więcej, mówiąc o „próbie zamachu stanu”, w której w żadnym razie nie zamierza uczestniczyć, marszałek Sejmu uderzył w autorytet czołowych prawników obozu władzy – Marka Safjana i Andrzeja Zolla, którzy zawzięcie forsowali plan zawieszenia Zgromadzenia Narodowego zaraz po jego zwołaniu, tak by uniemożliwić zaprzysiężenie Nawroc-



kiego. Zoll publicznie roił nawet jakieś bajeczne perspektywy dla samego Hołowni, który nie tylko miałby objąć w zastępstwie funkcję głowy państwa, lecz także podpisać wiele przygotowanych dlań aktów prawnych kończących totalną czystkę w wymiarze sprawiedliwości i innych instytucjach. W „planie Zolla” Hołownia miał zostać zwabiony wizją objęcia funkcji głowy państwa po to, by naprawdę odegrać rolę „młota na

czarownicy”, który definitywnie rozwali ostatnie bastiony oporu przeciw wszechwładzy Tuska w państwie.

Hołownia zdemistyfikował „plan Zolla” jako „próbę zamachu stanu”, nie wymieniając przy tym z nazwisk prawników, którzy bezwstydnie przedstawiali ów scenariusz jako dzieło autentycznej praworządności.

Nie jest dziś rzeczą istotną dochodzenie głębokich motywów działania

marszałka Sejmu. Mógł to zrobić z prawdziwego respektu dla ładu konstytucyjnego Rzeczypospolitej, mógł dostrzec podstęp i niesławną rolę, jaką próbują mu wyznaczyć autorzy „planu Zolla”, w końcu mógł się przestraszyć przyszłej odpowiedzialności, która by nań spadła. Dla dzisiejszej polskiej polityki nie ma to znaczenia. Ważniejszy jest fakt, iż Hołownia nie dał się uwieść własnym prezydenckim ambicjom, co dobrze świadczy o nim jako o człowieku. Z perspektywy interesu państwa istotne jest zaś tylko to, iż powolny dotąd Tuskowi marszałek Sejmu w najważniejszym momencie swojej kariery stanął na wysokości zadania, chroniąc kraj przed możliwymi poważnymi perturbacjami.

Z kolei z perspektywy przywódców PiS odmieniony Hołownia zasłużył na wdzięczność, a nawet pewne zaufanie. Jarosław Kaczyński bał się bowiem scenariusza opisanego w „planie Zolla”, gdyż nie miał – i chyba nie mógł mieć – skutecznej recepty na poradzenie sobie z faktycznym zamachem stanu przeprowadzanym pod osłoną prawników jako rzekomy akt praworządności. Żaden werbalny opór nie przyniósłby rezultatu, a otwarte użycie siły przez najtwardszych zwolenników PiS byłoby tylko spełnieniem skrytych marzeń Tuska o tym, iż w końcu dostanie pretekst do zapowiadanej tyle razy, ale nigdy nierozpoczętej na serio rozprawy z PiS za pomocą represji karno-sądowych. Hołownia uwolnił Kaczyńskiego od tego niebezpieczeństwa. I dopiero w tej perspektywie widać polityczną logikę kilku (ponoć dwóch) poufnych spotkań prezesa PiS z marszałkiem Sejmu.

PRZECIEK O „SPISKU”

Wokół tego drugiego spotkania 3 lipca w domu posła Adama Bielana została rozpętana prawdziwa nagonka na Hołownię z udziałem nie tylko polityków Platformy, lecz przede wszystkim rodygotanych i kipiących gniewem protuskowych dziennikarzy i publicystów. Nie pamiętam, by – poza Kaczyńskim i Ziobrą – na jakiegoś polityka wyłano w Polsce w ostatnich latach taką ilość pomyj, jak teraz na Hołownię.

Takiego efektu marszałek Sejmu albo najzwyczajniej nie przewidział, gdyż za brakło mu wyobraźni, albo iluzorycznie

uznał, że dyskrecja spotkań z Kaczyńskim zostanie zachowana. Niestety w dzisiejszych czasach to praktycznie niemożliwe. Etos służb państwowych jest tak niski, jak nigdy dotąd, więc każdy pierwszy lepszy ochroniarz czy kierowca któregoś z obecnych tam polityków mógł złożyć raport swoim zwierzchnikom, a ten szybko dotarł na biurko premiera. Tusk zaś miał interes w uruchomieniu medialnego przecieku, świadom przecież, iż w ten sposób daje sygnał nie tylko do nagonki na Hołownię, lecz także buntu w Polsce 2050 przeciw jego przywództwu.

Rzecz jasna nie mam i nie mogę mieć wiedzy, iż tak właśnie było, ale wersja przedstawiona publicznie przez gospodarza spotkania posła Bielana trzyma się kupy i pasuje do dzisiejszych standardów oraz okoliczności.

W normalnej demokracji partyjnej, w której konflikt polityczny nie ma wymiarów totalności, dyskrecja spotkań liderów walczących ze sobą partii zostałaby zapewne zachowana. Tak zresztą często bywało w Polsce w latach 90. ub.w. aż do połowy pierwszej dekady wieku obecnego (sam mam tego rodzaju doświadczenia m.in. z Jarosławem Kaczyńskim).

To przecież jest wypróbowana metoda służąca temu, aby przywódcy mogli utrzymać komunikację ze sobą, nie wprowadzając przy tym zamętu w szeregach swoich partii oraz nie wywołując dezorientacji i podejrzeń w opinii publicznej. Zdrowa demokracja partyjna zawsze jest bowiem grą, której naturę trudno objaśnić rozmocjonowanym aktywistom i zwolennikom, przenoszącym na politykę nawyki z życia prywatnego, gdzie osobistemu wrogowi nie podaje się ręki, nie zauważa go na ulicy, a już z pewnością nie zaprasza się go do domu na kolację. Tymczasem zwalczający się liderzy partijni powinni mieć możliwość poufnych, osobistych konsultacji, jeśli walka międzypartyjna nie ma się stoczyć do poziomu wojny domowej, typowej dla demokracji, która się degeneruje i chyli ku upadkowi.

Rzecz jednak w tym, iż podejrzliwy Tusk, nieustannie tropiący prawdziwe i wymaginowane spiski w swoim oto-

czeniu, gdy tylko dostał raport o tych spotkaniach, musiał dojść do wniosku, iż właśnie zdemaskował kolejny groźny spisek przeciw sobie. Stąd uruchomiona przezeń medialna nagonka na Hołownię i sygnał do buntu w Polsce 2050.

KROK PO KROKU

Teraz powszechnie stawiane jest pytanie, czy Hołownia istotnie przygotowuje się (ewentualnie przygotowywał się) do odwrócenia sojuszów partyjnych, co oznaczałoby szybką utratę władzy przez

Czy Hołownia istotnie przygotowuje się do odwrócenia sojuszów partyjnych, co oznaczałoby szybką utratę władzy przez Tuska? Analizując fakty, jestem skłonny przypuszczać, iż tak nie jest

Tuska. Analizując fakty, jestem skłonny przypuszczać, iż tak nie jest, a raczej – że tak nie było do tej pory. Bo przecież w sytuacji, gdy rządy Tuska są już kontestowane przez wszystkich, od „Gazety Wyborczej” po TVN24, marszałek Sejmu musiałby być politycznym osłem, gdyby z góry wykluczał poparcie swojej frakcji sejmowej dla jakiegoś innego rządu, odraczającego o dwa lata wyrok politycznej śmierci na Polskę 2050 i jej lidera, niemal nieuchronną, o ile kryzys doprowadziłby do rychłych wyborów powszechnych.

Po rozpadzie koalicji Trzeciej Drogi to właśnie Polska 2050 jest tą formacją, dla której rychłe wybory stanowią największe zagrożenie. Nawet słabe PSL może żywić nadzieję, że resztki jego twardego elektoratu wiejskiego ocalą dalsze istnienie stronnictwa w razie wyborów. Różnica tkwi w tym, że partia Hołowni od samego początku jest tworem pozbawionym twardego elektoratu, a uprawiającym swoisty parazytyzm na bardziej chwiejnej części elektoratu Platformy.

Zawsze i dobitnie pokazywały to sondaże opinii, w których gra pomiędzy aktualnymi wynikami PO i Polski 2050 miała nieuchronnie sumę zero: jak Tuskowi rosło, to Hołowni spadało i *vice versa*.

Jednak aktualny kryzys całej centrolewicowej formacji sprawia, że maleje ogólna suma wyborców, którą mogą się podzielić między sobą partie obozu rządowego. A ów spadek, który zapewne pozbawi władzy Platformę, Polskę 2050 unicestwi. Wtedy Hołownia będzie się musiał pogodzić z tym, że ci jego aktywiści, którzy nie zaszli Tuskowi nadmiernie za skórę, znajdują się na listach Platformy (wrocławscy posłowie Zimoch i Bodnar, kontestujący teraz swego lidera, są zwiastunami tego nieuchronnego procesu). A cała reszta zginie. Hołownia musi jakoś odłożyć w czasie tę egzekucję, licząc, że w ciągu dwóch lat partii przydarzy się coś dobrego. To trochę tak, jak w Ameryce – adwokaci walczą, czasem długimi latami, o odłożenie w czasie egzekucji ich klientów, wobec których została orzeczona kara śmierci.

To właśnie sprawia, że marszałek Sejmu jest dziś tak ciekawym partnerem do rozmowy dla przywódcy PiS. Kaczyński nie napiera bynajmniej na szybkie odwrócenie sojuszów przez Hołownię, przeciwnie – daje mu czas, aby sam mógł dojrzewać do decyzji. Po ujawnieniu spotkania u posła Bielana mówił: „My realistycznie podchodzimy do sytuacji, także w tej obecnej koalicji”. Po czym dodawał: „To jest polityka. Krok po kroku, jak przejdziemy drogę, to będę zadowolony”. Nawet nie będąc uczestnikiem spotkań lidera PiS z marszałkiem Sejmu, można być pewnym, iż tego ostatniego nikt tam nie namawiał do „zdrady” ani nie oferował mu żadnych stanowisk. Byłoby to sprzeczne zarówno z logiką „krok po kroku” przedstawioną przez Kaczyńskiego, jak i ze zdrowym politycznym rozsądkiem. W tej sprawie Hołownia mówi prawdę.

Tyle tylko, że odmienionemu Hołowni nie wierzy ani podejrzliwy i szukający zemsty Tusk, ani kipiące gniewem platformerskie media, ani nawet aktywiści jego własnej partii, pełni niepokojem o swą niepewną przyszłość. 



Ten straszny Hołownia

Nocne spotkanie marszałka Sejmu z prezesem PiS długofalowo może skutkować przedterminowymi wyborami



STANISŁAW JANCECKI

Ujawnienie informacji, że Szymon Hołownia spotkał się w mieszkaniu Adama Bielana z Jarosławem Kaczyńskim, w ciągu kilku godzin uczyniło marszałka Sejmu kimś strasznym, śmiesznym i irytującym po-

lityków rządzącej koalicji. Jest już przez nich prawie tak znienawidzony jak Jarosław Kaczyński. Skala „wariactwa”, które to spotkanie wywołało wśród koalicjantów, przeszła wszelkie racjonalne rozmiary. Ale to pokazuje, jak wielki panuje strach, że koalicja 13 grudnia rozwali się z wielkim hukiem, a wtedy każdy będzie musiał ratować się sam.

W tym kontekście spotkanie Hołowni z Kaczyńskim można uznać za początek wdrażania przez lidera Polski 2050 scenariusza ratunkowego. Właśnie

uruchomienie takiego planu wywołało wściekłość Donalda Tuska, gdyż za Szymonem Hołownią mogą pójść inni liderzy ugrupowań koalicyjnych. Marszałek widzi zagrożenie (mówił o tym w radiu TOK FM) w tym, iż „my naprawdę musimy zrozumieć, że dzisiaj w Polsce spór nie jest lewo–prawo. Dzisiaj spór w Polsce jest góra–dół, lud–elity. I to zobaczyli ekstremiści, i bardzo dobrze te karty rozgrywają. My ich kompletnie nie widzimy. My jesteśmy elitarną grupą w tym Sejmie, która w mojej ocenie odlatuje coraz dalej od rzeczywistości”. To wytłumaczenie obiektywizujące, ale jest też takie, gdzie chodzi o sens i zakres udziału we władzy, w rządzie Tuska. Chodzi o to, czy z premierem się przeżyje, czy zginie, i to marnie.

W ostatnich tygodniach mówił o tym politolog i historyk prof. Antoni Dudek. Sens jego analizy sprowadza się do tego, iż „po przegranej Trzaskowskiego było oczywiste, że Tusk będzie starał się sparaliżować koalicjantów, aby ci nie próbowali podnieść głowy przy okazji nieszczejnej rekonstrukcji, która pierwotnie – gdyby wynik wyborów był inny – doprowadziłaby do ich ostatecznej marginalizacji”. Dudek uważa, że „można się było spotkać z Kaczyńskim w Sejmie – demonstracyjne, w świetle kamer. Oczywiście sama rozmowa nie powinna być publiczna – by Tusk zastanawiał się, o czym ta dwójka rozmawiała, ale sam fakt spotkania powinien być publiczny. [...] Gdyby do takiego spotkania doszło, byłaby to jakaś szansa dla Hołowni. Jak się w polityce nie jest twardym, to jest się zjadanym przez silniejszych. Problem Hołowni polega na tym, że zdecydował się być twardym zbyt późno i zachował się wyjątkowo niezręcznie, decydując się na spotkanie z Kaczyńskim nie w świetle dnia, ale nocą w mieszkaniu Bielana”. Tyle że z punktu widzenia marszałka Sejmu „nocny wariant” tylko wywołał większą ciekawość i lawinę opinii, że Tusk i jego rządy się kończą, więc potrzebny jest pilny wariant awaryjny. Hołownia to osiągnął, ale zaraz potem rozpoczęła się zemsta premiera i jego pretorianów.

ZDRADA

Po ujawnieniu strasznego spisku z udziałem Szymona Hołowni nagle wytyka mu

się, że nie ma on doświadczenia politycznego, parlamentarnego ani urzędniczego. Odkryto w nim za to talent kabaretowy. Wszyscy w obozie władzy (poza częścią polityków Polski 2050) już go nie znoszą, ale formalnie jest on drugą osobą w państwie, a bez niego i jego posłów sejmowa większość by się rozsypała. Dlatego Tusk przystąpił do rozsadzania Polski 2050 od środka, np. poprzez odchodzenie bądź wyłuskiwanie posłów, na razie pojedynczych. Hołownia pytany w radiu TOK FM, czy nie obawia się, iż usłyszy od niektórych parlamentarzystów, że odchodzą z klubu, powiedział, że nie obawia się rozłamu. Mimo że media, szczególnie te związane z PO, „bardzo troskliwie zajmują się nami”. Na pytanie, czy to, co zrobił Tomasz Zimoch (skrytykował lidera i został zawieszony) jest „emocją większej liczby posłów Polski 2050”, Hołownia stwierdził: „Jeżeli mają odwagę przyjść i powiedzieć to otwarcie, i położyć papiery, niech przychodzą i niech kładą”.

Tusk i jego pretorianie robią wszystko, żeby w partii Hołowni zaczęła się rozróżba, która mocno zaangażuje lidera i osłabi go w perspektywie negocjacji przed rekonstrukcją rządu, teraz zapowiadaną przez premiera na 22 lipca. To dlatego marszałek Sejmu nagle stał się przegrywem (wypomina mu się 4,99 proc. głosów w I turze wyborów prezydenckich), a w koalicyjnych ugrupowaniach nie ma już ponoć nikogo, komu nie zalał za skórę. Przede wszystkim lider Polski 2050 sprawia, że Tusk wścieka się praktycznie każdego dnia. Ludzie premiera uzasadniają to tak, że Hołownia nie jest już anty-PiS, tylko anty-PO. I nie anty-Kaczyński, lecz anty-Tusk. Podobno przez półtora roku był symetrystą, a obecnie ma być kryptopisowcem. I na razie nie można go potraktować „z butą”, bo się obrazi i popsuje zabawę w rządy. Szef rządu wścieka się jeszcze z tego powodu, że Hołownia publicznie pogania go do pracy, a wręcz wyśmiewa. Premier wpadł w szal, gdy marszałek oświadczył: „Mam gorący apel: niech [premier] położy cokolwiek. Żebyśmy wreszcie zobaczyli jakiś plan, jakiś pomysł, jakąś wizję. Mówimy o tej rekonstrukcji od bardzo dawna i ona staje się takim golemem z dawnych czeskich opowieści. Potworem, którego nikt nie widział, ale z opowieści na opowieść rośnie i staje się coraz bardziej przerażający”.

Kibice Platformy i Tuska grzmią w mediach społecznościowych: „Nie chcemy, aby marszałkiem Sejmu był ktoś, kto udaje koalicjanta, a tak naprawdę ściska dłonie w nocy pisowskim przestępcom i zadaje się z nimi po kryjomu! Hołownia to osobnik bez honoru, godności, szlachetności i przyzwoitości!”. Wice-naczelnny „Gazety Wyborczej” Bartosz Wieliński nazwał go „nielojalnym i obłudnym”, a jego tłumaczenia ocenił jako „niepoważne”. Hołownia jest oskarżany o bycie „piątą kolumną PiS”, skoro mógł negocjować nową koalicję i stanowisko premiera bądź utrzymanie się do końca kadencji w roli marszałka Sejmu. Dlatego lider Polski 2050 ma grać na „zwarcie z Tuskiem”.

Może być też tak, że ataki na Hołownię są reakcją nie tyle na nocne spotkanie z Kaczyńskim, ile na jego odmowę „złamania konstytucji” w sprawie zaprzysiężenia prezydenta, do czego był mocno namawiany. To dlatego w mediach społecznościowych „żelazny” elektorat PO nazywa Hołownię „zdrajcą”, a nocne wydarzenie – „zdradzieckim spotkaniem”. Przy okazji wypominano marszałkowi, że w kampanii prezydenckiej otwarcie krytykował Trzaskowskiego. Hołownia zauważył: „Słyszę, co mówicie, kiedy nazywacie mnie zdrajcą, oszustem”, ale uznał to za przykład „nienormalności” w polskiej polityce. I sugerował, że z kolei „normalne” jest domaganie się stanowiska wicepremiera i wicemarszałka Sejmu dla Polski 2050 czy nawet renegocjacja umowy koalicyjnej. Onet doniósł nawet, że w partii Hołowni pojawiają się głosy o przejściu do opozycji, co podsyca podejrzenia o nielojalność i knucie. A redaktor Wieliński uznał, że marszałek Sejmu „grzeszył pychą” i uległ „szatańskim pokusom”, co ma wskazywać, że jest zagrożeniem dla jedności koalicji rządzącej.

WSZYSCY SIĘ WŚCIEKLI

Wicemarszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty wściekł się na Szymona Hołownię, gdy ten zasugerował, że dla dobra wszystkich nie powinien oddawać mu fotela marszałka, choć dla lidera Lewicy ma to być szczyt politycznej kariery. Czarzasty wygarnął Hołowni: „Jest umowa, która kształtuje ład koali-

cyjny – ona jest konstytucją tej koalicji. Nie zmienia się konstytucji pod bieżące wydarzenia. W czasie rozmów koalicyjnych żaden z liderów nie deklarował chęci zmiany tej umowy”. Hołownia jednak chce nowej umowy koalicyjnej.

Władysław Kosiniak-Kamysz też już nie lubi Szymona Hołowni, a nawet także się na niego wściekł. Prezes PSL doprowadził do rozbicia Trzeciej Drogi, bo był podobno „skrajnie zmęczony Hołownią”. Teraz „ojciec czterech wspólnych córek” i wspólny kandydat na prezydenta RP jest już tylko „pajacem”. Ludowcy opowiadają, że jak Hołownia przestanie być marszałkiem, to się rozplacze.

Okazuje się, że również Rafał Trzaskowski ma dość Szymona Hołowni. Uważa, że wybory prezydenckie przegrał głównie przez niego. Przez to Karol Nawrocki zaczął zdobywać przewagę. Trzaskowski nie ucieszył się też, gdy marszałek Sejmu zaczął publicznie sugerować, iż prezydent Warszawy mógłby być premierem zamiast Tuska. Hołownia mówił: „Ludzie głosowali na Trzaskowskiego, a nie na Donalda Tuska, przy całym moim szcunku dla premiera. [...] To jest zupełnie inne otwarcie”. W Platformie uznano, że w ten sposób Hołownia znęca się nad przegranym. Tusk, Kosiniak-Kamysz i Czarzasty chcą utrzymać rządzącą koalicję, więc uważają, że marszałek Sejmu stał się dywersantem i człowiekiem Kaczyńskiego.

Hołownię nęcono (otoczenie premiera, ale nie on sam) funkcją wicepremier, ale ten nie jest zainteresowany posadą w rządzie (chyba że dotyczyłoby to wszystkich liderów koalicyjnych partii). Przewiduje, że w listopadzie 2025 r., gdy według umowy koalicyjnej dojdzie do zmiany na stanowisku marszałka Sejmu, rząd Tuska będzie miał fatalne notowania, więc obecność w takim „schyłkowym” gabinecie stanowiłaby dla niego wielki kłopot. Lider Polski 2050 obawia się, że prawdopodobnie byłby to też koniec jego spektakularnej kariery, a przecież ma dopiero 48 lat. Rzutniem i szansą zachowania wpływów jest dla niego pozostanie na stanowisku marszałka. Na początku lutego 2025 r. bliscy współpracownicy Hołowni dali do zrozumienia, że już się do-

gadał z opozycją. I na mocy tego tajnego wtedy porozumienia nie tylko pozostał marszałkiem, lecz także doprowadził do stworzenia nowej koalicji PiS-PSL-Polska 2050, dysponującej większością 253 mandatów. Do przejęcia władzy niepotrzebna byłaby więc Konfederacja. Stoi za tym kompletnie nierealistyczne założenie, że w taki układ weszłoby PSL i większość posłów z klubu Polski 2050. Skądinąd słusznie Hołownia uważa, że funkcja marszałka jest największym atutem oraz osiągnięciem jego partii, a gdy z niej zrezygnuje, ugrupowanie zacznie obumierać i tracić wpływy. A przecież już trzeba myśleć o wyborach parlamentarnych (wedle kalendarza wyborczego w 2027 r., ale mogą być przyspieszone) oraz prezydenckich w 2030 r.

Tusk i jego pretorianie robią wszystko, żeby w partii Hołowni zaczęła się rozróżba, która mocno zaangażuje lidera i osłabi go w perspektywie negocjacji przed rekonstrukcją rządu

Gdyby powiódł się mało prawdopodobny scenariusz ze zmianą układu rządzącego, w 2030 r. Hołownia mógłby liczyć na to, że wreszcie nadszedł jego czas (trzecie podejście do prezydentury Polski) i wreszcie zostałby doceniony jako sprytny i skuteczny gracz politycznej ekstraklasy, a nie tylko gadający o tym.

GNICIE I DEGRENGOLADA

Szymon Hołownia chciał odgrywać rolę rozjemcy w polskiej polityce, ale koalicjanci nie zamierzają mu na to pozwolić, bo lepiej dla nich, gdy jest stroną konfliktu. A dodatkowo ich zirytował, podpisując 7 lipca 2025 r. postanowienie o zwołaniu Zgromadzenia Narodowego, by odebrać przysięgę prezydencką od Karola Nawrockiego. Najbardziej wście-

kli się na tę decyzję Roman Giertych i jego trolle, bo to pozbawiło sensu ich działania. Właściwie od momentu pojawienia się idei powołania rządu technicznego z Hołownią jako premierem nie było to dla niego dobre rozwiązanie. Taki gabinet siłą rzeczy miałby doprowadzić do wcześniejszych wyborów, np. już w pierwszej połowie 2026 r., do czego Polska 2050 byłaby kompletnie nieprzygotowana.

Prof. Antoni Dudek nazwał „burzą w szklance wody” to, co dzieje się w Polsce 2050 i wokół spotkań Hołowni z Kaczyńskim. A jednak wywołała ona mocne turbulencje i chyba pomieszała szlaki premierowi Tuskowi w kwestii rekonstrukcji rządu. Po nocnym spotkaniu rządząca koalicja weszła w etap „totalnej nieufności”, co oznacza wielką niepewność oraz swego rodzaju inwigilowanie partnerów, żeby wiedzieć, co „knują”. Co „knuje” sam premier Tusk, jest chyba dla koalicjantów jasne, gdyż będzie on próbował rozbić lub rozczłonkować klub Polski 2050. Paweł Graś, zaufany człowiek premiera, ma już prowadzić rozmowy o transferach do Koalicji Obywatelskiej, oferując im biorące miejsca na listach przed wyborami w 2027 r. Tusk chce, żeby większość posłów Polski 2050 skończyła w KO, a wtedy czeka ich los wcześniej pozartych partii dokooptowanych do Koalicji. Bo, jak zauważa prof. Dudek, „tzw. Koalicja Obywatelska jest fikcją, to jest formacja całkowicie zdominowana przez Platformę i Tuska”. I jest to formacja, która już mocno gnije. Hołownia to wie, dlatego mówi, że w 2027 r. PiS i Konfederacja mogą zmiążdżyć obecny układ rządzący. Proces gnicia i degrengolady największego udziałowca obozu władzy mogłoby zatrzymać oddanie fotela premiera przez Tuska komuś mniej poharatanemu politycznie i o tym Hołownia myśli chyba poważniej niż sam Tusk. Po nocnym spotkaniu marszałka z Kaczyńskim dominuje wielki strach, przez co większość sejmowa może się utrzymać nawet do jesieni 2027 r., ale potem już nie będzie co zbierać. Nocne spotkanie okazało się więc testem dla rządzących. Wypadł on dla nich fatalnie, co ściągnie na Szymona Hołownię jeszcze większą nienawiść „przyjaciół”.



Jakim prezydentem będzie Karol Nawrocki?

Karol Nawrocki jest bardziej niebezpieczny od Andrzeja Dudy – krzyczą przerażeni prezydentem elektą liberalni komentatorzy. Czy mają rację?

Przed wszystkim nie mają rzetelnej wiedzy o nowym prezydencie, bo nadal są więźniami swoich uprzedzeń. Różnice między obydwojma prawicowymi prezydentami nie są wielkie. Tyle że Dudzie przyszło działać w zupełnie innych warunkach niż Nawrockiemu



PIOTR GURSZTYN

Kilka dni po wygranej drugiej turze Karol Nawrocki spędził na szczególnym zajęciu. Siedział z telefonem i odpisywał na gratulacje i życzenia. Dostał ponoć 6 tys. SMS z gratulacjami. Na każdy odpisał. In-

dywidualnie, tak żeby każdy odbiorca widział, że odpowiedzi nie poszły hurtem. Przy czym ciekawe jest nie tylko to, że przyszły prezydent poświęcił na to tyle czasu, lecz także to, że aż tyle osób w Polsce ma jego numer telefonu.

Może więc Karol Nawrocki nie jest aż tak straszny, jak go maluje liberalny komentariat? „Karol Nawrocki to jeden z bardziej niebezpiecznych ludzi, jacy się pojawili w polskiej przestrzeni publicznej” – straszył już na samym początku kampanii prezydenckiej prof. Antoni Dudek. Przeciwnicy prawicy i Nawrockiego z miejsca to podchwycili,

a potem święcie w to uwierzyli. Mimo że profesor z tajemniczą miną milczał na temat owych niebezpieczeństw, a ci, którzy mu uwierzyli, nie podjęli próby zweryfikowania tej strasznej diagnozy. Na swojej drodze zawodowej Nawrocki natknął się na setki znaczących ludzi ze świata nauki, kultury i polityki. Można było ich pytać o ocenę, ale po co, skoro na potrzeby kampanii malowano go wyłącznie w czarnych barwach?

Zresztą ci wystraszeni Nawrockim zapomnieli, że wcześniej tak samo straszili (najbardziej siebie samych) Andrzejem Dudą, a jeszcze wcześniej Lechem Kaczyńskim. Ich wyobrażenia nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością. Ale sama chęć porównania obu polityków jest całkowicie zrozumiała.

RÓŻNICE I PODOBIENSTWA

Karol Nawrocki z pewnością nie jest tak straszny, jak go malują liberalowie, a Andrzej Duda tak miękki, jakby miało to wynikać z tego porównania. Inne są okoliczności, w których funkcjonował dotychczasowy prezydent, a nowy obejmuje urząd w zupełnie odmiennych warunkach. Prawie cała prezydentura Dudy odbywała się w czasach, gdy rządziła Zjednoczona Prawica. Przez prawie całe

dwie kadencje prezydent nie musiał pokazywać kłów, bo nie miał do tego okazji. A kilka zdarzeń z okresu rządu obecnej koalicji pokazuje, że ma je całkiem ostre. Wspomnijmy jego słynne orędzie sejmowe z października ub.r. „Energia i zasoby państwa zamiast na realizację ambitnych planów zostały przekierowane na organizowanie polowań na czarownice, zaspokajanie jakichś, przepraszam, najniższych instynktów” – takie słowa głowy państwa doprowadziły wtedy Donalda Tuska do histerycznej furii.

Dla Karola Nawrockiego – jak sam mówi – obecny premier jest najgorszym po 1989 r. Ale jednocześnie nowy prezydent wypowiedział się pojednawczo w sprawie nominacji ambasadorskich. To, że nie godzi się na Bogdana Klichę i Ryszarda Schnepfę, nie powinno nikogo dziwić, ale jednocześnie stwierdził, że zna i dobrze ocenia wielu innych nominatów obecnego rządu. To niewątpliwie dłoń wysunięta do współpracy, ale jest oczywiście pytanie, czy jego dobra wola zostanie doceniona przez drugą stronę.

Duda i Nawrocki na pewno nie są przeciwnościami. Są inni, co naturalne, ale widać, że łatwo nawiązali więź, a ich obecne relacje są przyjacielskie. Do prezydentury dochodzili zupełnie innymi drogami. Inne pochodzenie społeczne, inne wykształcenie, wreszcie różnica wieku. Niby tylko 11 lat, ale w dobie, gdy wielka część komunikacji w świecie polityki przeniosła się do mediów społecznościowych, jest to zauważalna różnica. Duda należy do pokolenia ukształtowanego przez stare media i to one są dla niego punktem odniesienia. Nawrocki ma już inne spojrzenie. Wracając do wykształcenia – ważnym czynnikiem może być fakt, że Duda jest prawnikiem, więc pod pewnymi względami było mu łatwiej. Nawrocki będzie musiał znaleźć zaufanego współpracownika o takiej wiedzy. Przy czym ciekawe jest to, że oprócz doktoratu z historii nowy prezydent ma w swoim CV także drugi kierunek – MBA. Ludzie, którzy go bliżej znają, wskazują na jego zdolności menedżerskie. W tym miejscu opinie są podzielone – jedni twierdzą, że przyda mu się to w pałacu prezydenckim, a inni, że wręcz przeciwnie – polski system konstytucyjny formatuje prezydenta bardziej jako „ojca narodu”, a nie zarządcę państwa.

Łączy ich bardzo podobny start ku prezydenturze: w 2015 i 2021 r. W obu przypadkach ich wystawienie wywoływało rechat licznych komentatorów przekonanych o swojej wszechwiedzy. Duda i Nawrocki – obie kandydatury miały być dowodem na rozpaczliwe położenie PiS i oderwanie Jarosława Kaczyńskiego od rzeczywistości. Ale oprócz dzisiejszego śmiechu z ciągle myślących się *besserwisserów* trzeba stwierdzić, że ta okoliczność ma znaczenie polityczne. Zwycięstwo *contra mundum* to coś, co wzmacnia tego, który je osiągnął. Ukazuje go jako człowieka szczególnie silnego, zwycięzcę wbrew wszystkim i wszystkiemu. To czynnik, który zwiększył osobisty prestiż Andrzeja Dudy i tak samo wzmacnia autorytet Karola Nawrockiego.

Obaj byli poddawani podobnym kampaniom hejtu i pomówień dotyczących życia osobistego. Ofiarą padały także ich rodziny. W świeżej pamięci mamy to, co spotkało całą rodzinę Nawrockich, ale warto też pamiętać o tym, jak czołowe media ścigały „zbrodnie” młodziutkiej Kingi Dudy. A przy okazji obrazek, gdy zawstydzony Tomasz Lis kąsał się, ochrzaniany przez Andrzeja Dudę.

INNY START W PAŁACU

Dzisiaj Karol Nawrocki – niezależnie od tego, że rządzi wrogi mu premier – wchodzi do pałacu w sprzyjających okolicznościach. Wprowadza go życzliwy mu poprzednik. Przejęcie pałacu jest tak płynne, że część współpracowników dotychczasowego prezydenta będzie kontynuowało pracę u boku nowego.

Duda nie miał tego luksusu, musiał budować wszystko od zera. Jego atutem było doświadczenie, które nabył, pracując u prezydenta Lecha Kaczyńskiego. A mimo to nie uniknął wielu pomyłek personalnych: za jego czasów były cztery szefowe Kancelarii Prezydenta RP i trzech szefów BBN. Czy Nawrocki powtórzy podobne błędy? Możliwe, że każdy prezydent musi przejść tę bolesną drogę. Nie uniknął tego nawet Donald Trump podczas swojej drugiej kadencji. Zapewne również Nawrocki, przecież mniej doświadczony politycznie, będzie miał podobne wpadki. Jednak na jego korzyść działa nowa

okoliczność – popisy kompletnego nieudacznictwa w wykonaniu Donalda Tuska i jego środowiska. A to oni wraz z wspierającymi mediami odgrywali rolę arbitra politycznej elegancji. Potrafili rozdmuchać do niebываłych rozmiarów zupełnie błahе zdarzenia, czego ofiarą najbardziej padał dystygowany i nieco w tym staroświecki Lech Kaczyński. Dzisiaj werdykty liberalów, co jest kompromitacją, a co nie, budzą już tylko rozbawienie i złośliwe komentarze pod adresem samozwańczych arbitrów.

„Z fotela prezydenckiego świat wygląda trochę inaczej” – odpowiedział Andrzej Duda na pytanie o różnicę zdań między nim a prezydentem elektem w sprawie członkostwa Ukrainy w NATO. Nie ma wątpliwości, że objęcie funkcji głowy państwa spowoduje, że Nawrocki zrewiduje niektóre poglądy albo będzie musiał zmodyfikować jakieś zamierzenia. Zmaganie się z rzeczywistością w przypadku wojny rosyjsko-ukraińskiej jest przecież czymś, co stało się problemem nawet dla prezydenta supermocarstwa, czyli Donalda Trumpa.

NA ARENIE MIĘDZYNARODOWEJ

Inne akcenty, inaczej wyrażana wrażliwość – w wielu kwestiach Nawrocki nie będzie kopią Dudy. Ale czy będzie rewolucja? Odnosnie do wspierania Ukrainy zmiana będzie taka, że Nawrocki nie miał osobistej relacji z Wołodymyrem Zełenskim i nie przeżył rozczarowania jego zwrotami politycznymi. Jednak jako człowiek ścigany przez Federację Rosyjską nie przejdzie na pozycję wroga Ukrainie. A w przypadku relacji transatlantycznych będzie szedł drogą swojego poprzednika. Zwłaszcza gdy w Białym Domu będzie zasiadał jego obecny gospodarz. W tej kwestii można rzec, że będzie jednak naśladował Dudę.

Jeśli chodzi o arenę międzynarodową, to prezydent Andrzej Duda odnalazł się na niej znakomicie. Podczas drugiej kadencji przeszedł nadzwyczaj trudny sprawdzian, czyli agresję Rosji na Ukrainę. Śmiało można ocenić, że zdał ten egzamin bardzo dobrze i historia go doceni. Dzisiaj ktoś może się z tego śmiać lub krytykować Dudę, ale tak samo kpiny i krytyka spotkały Lecha Kaczyńskiego za jego epokowe

wystąpienie w Tbilisi. A dzisiaj jego dawni wrogowie podpierają się słowami z tamtego przemówienia.

W tym kontekście Nawrocki bywa oceniany jako nowicjusz, bo Duda przed prezydenturą był przecież eurodeputowanym. Ale mało kto dostrzega, że prezydent elekt ma tutaj bardzo duży potencjał. Jako szef dwóch ważnych instytucji – Muzeum II Wojny Światowej i IPN – nawiązywał kontakty międzynarodowe z analogicznymi podmiotami na całym świecie. A ponieważ niektóre kierunki były dość egzotyczne – np. muzeum w Pearl Harbor czy instytucje naukowo-muzealne w Nowej Zelandii – był atakowany za uprawianie turystyki na koszt podatnika. Ktoś, kto bliżej poznał Nawrockiego, wie, że to błędna diagnoza. Wyjazd w takie miejsca na pewno był przyjemny, ale nie rozrywka stanowiła główny cel hiperambitnego historyka z Gdańska. Nawrocki traktował to jako inwestycję w samego siebie, naukę, jak się poruszać w środowiskach międzynarodowych. Z pewnością nie wiedział, że zostanie prezydentem Rzeczypospolitej, lecz miał ambicje wejścia do wielkiej polityki, tam, gdzie te doświadczenia mu się przydadzą.

Coraz ważniejszym zadaniem nowego prezydenta będzie obrona polskiej podmiotowości wobec prób centralizacji Unii Europejskiej. Nawrocki będzie w innym położeniu niż Andrzej Duda. Wtedy gros relacji z Brukselą spadało na ośrodek rządowy. Ponadto inna była atmosfera społeczna – większość Polaków oczekiwała bezkonfliktowych relacji z Brukselą i dwoma najsilniejszymi państwami UE, czyli Niemcami i Francją. Dopiero później opinia publiczna w swej masie zaczęła dostrzegać nieprzyjemne strony członkostwa w UE, czyli egoizm najsilniejszych państw starej Unii, podwójne standardy, protekcyjne traktowanie krajów nowej UE, w tym Polski, hipokryzję i oderwanie od rzeczywistości biurokracji brukselskiej. Skończyło się postrzeganie Unii jako altruistycznej wspólnoty wartości. A przypomnijmy sobie, jaka fala krytyki spadła na Dudę, gdy nazwał UE „wymagowaną wspólnotą, z której niewiele wynika dla Polaków”. Dzisiaj Nawrocki nie ma już problemu z naiwnym patrzaniem na Unię.

NIE WSTYDZĄ SIĘ SŁOWA „NARÓD”

Wróćmy do rozsiewanego stereotypu, że Nawrocki jest bardziej niebezpieczny niż Duda. W sensie, że bardziej twardy i bezwzględny. Nikt z tych, którzy to głoszą, nie zna przyszłości i nie wie, jakie staną przed nim wyzwania. Niewątpliwie ma ponadprzeciętnie mocną osobowość (co nie znaczy, że Duda ma słabą).

Wiadomo za to, że obaj prezydenci reprezentują bardzo podobny profil aksjologiczny – czyli podejścia do religii, wartości społecznych oraz dziedzictwa historycznego. Według terminologii stosowanej w krajach anglosaskich obaj reprezentują nurt nie tylko konser-

Obaj prezydenci reprezentują bardzo podobny profil aksjologiczny – czyli podejścia do religii, wartości społecznych oraz dziedzictwa historycznego

watywny, lecz także nacjonalistyczny (w sensie definicji politologicznej, a nie epitetu). Na pewno nie wstydzą się słowa „naród”.

Często podnoszoną kwestią jest „konfederackość” Nawrockiego. Pytanie, czy to sprawa poglądów, czy pokoleniowa. Duda nie miał takich kontaktów i więzi, jakie ma Nawrocki, który zwyciężył dzięki wsparciu Konfederacji i wyborców Grzegorza Brauna. Z jednej strony pamięta niemiłe przyjęcie u Sławomira Mentzena, a z drugiej szczerze wsparcie ze strony Krzysztofa Bosaka. Prawdopodobnie będzie odgrywał ważną rolę mediatora między PiS a Konfederacją.

Jednocześnie Nawrocki ma silne poczucie wdzięczności wobec Jarosława Kaczyńskiego. On sam nazwał się „decyzją” Kaczyńskiego, ku przerażeniu własnego sztabu. W trakcie kampanii był napominany przez sztabowców

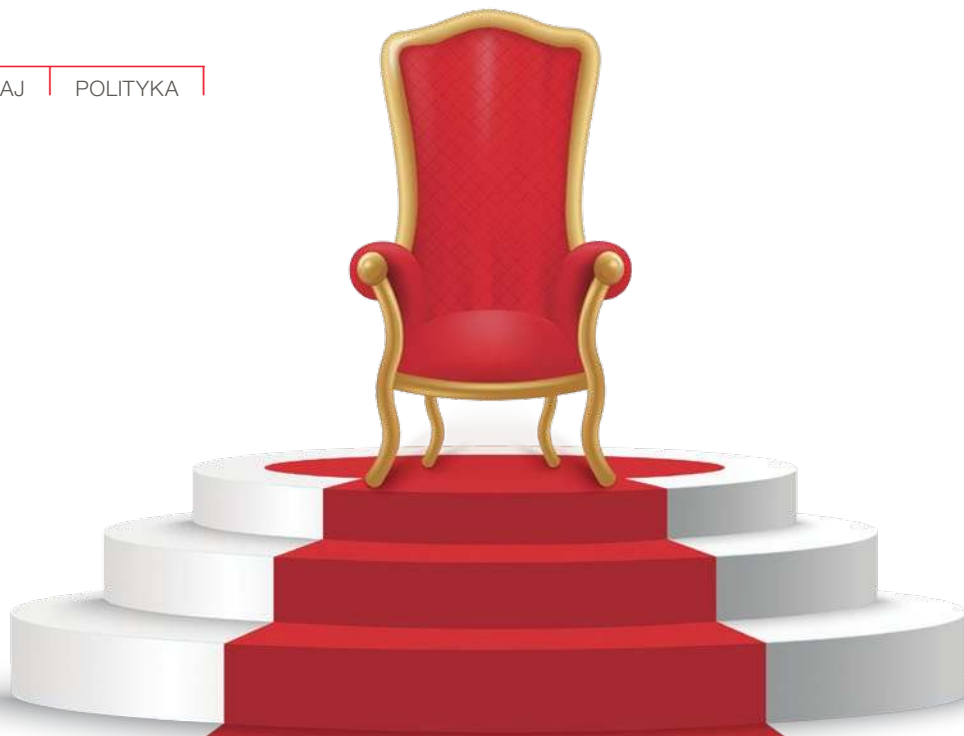
– skądinąd bardzo bliskich współpracowników prezesa PiS – aby z powodów taktycznych nie ekspozował swych więzi z Prawem i Sprawiedliwością oraz jej przywódcą. Za każdym razem Nawrocki odmawiał, motywując to tym, że musi wyrazić swoją wdzięczność.

Duda miał wiele sytuacji konfliktowych z partią, która go wyłoniła. Część dotyczyła spraw merytorycznych, czyli zawetowania ustaw sądowych przygotowanych przez resort Zbigniewa Ziobry czy zmian w oświacie autorstwa Przemysława Czarnka. Ale był też wątek personalny albo długi okres, gdy nie odbywały się spotkania między prezydentem a prezesem PiS. Jest to interpretowane jako przejaw tego, że obaj panowie obrażali się na siebie. Ale był to też efekt tego, że konfliktowali się ludzie z zaplecza zarówno prezydenta, jak i Jarosława Kaczyńskiego. Czyli tarcia między „dużym” pałacem a Nowogrodzką. W sumie niezaskakująca rzecz w polityce, czyli coś, co może się potarzać.

Na razie między Nawrockim a Kaczyńskim nie ma takiej sytuacji. Dopóki PiS jest w opozycji, na pewno nie będzie zbyt wielu powodów do tarć. Ale był już jeden przypadek wzajemnego niezrozumienia. To sprawa Przemysława Czarnka, którego Nawrocki widział w roli szefa swojej Kancelarii. Postawił jednak warunek, że Czarnek nie może pełnić ważnych funkcji partyjnych. Ten jednak został wiceprzewodniczącym PiS i bardzo mu się spodobała ta godność.

Karol Nawrocki inaczej niż Andrzej Duda w ogromnym stopniu jest politycznym „natuszczkiem”. To jednocześnie zaleta i wada. Dzięki temu wygrał wybory, bo ludzie chcieli kogoś bardziej świeżego niż kandydata *stricto* partyjnego.

Ale to łączy się też z brakiem doświadczenia, w tym wyczuwania nagłych niebezpieczeństw. Było to widać w czasie kampanii. Wtedy jednak zwyciężyła masowa niezgoda na „domknięcie systemu” i autentyczna charyzma Nawrockiego. Jego współpracownicy mówią, że bardzo szybko potrafi się uczyć. Może więc uda się bezboleśnie przejść przez pierwsze, najtrudniejsze miesiące. 



Giertycha gra o tron

Roman Giertych umacnia swoją pozycję wśród najbardziej fanatycznych ośmiogwiazdkowców. Czekają na chwilę, gdy padnie pytanie: jeśli nie Donald Tusk, to kto będzie w stanie powstrzymać PiS? Wtedy wszystkie oczy mają zwrócić się na Romana

Dwa dni po tym, jak Sąd Najwyższy rozpatrzył protesty wyborcze i wydał orzeczenie o ważności wyborów, Onet opublikował wyniki sondażu SW Research na temat oceny kampanii Romana Giertycha zmierzającej do unieważnienia wyniku wyborów. 39,4 proc. respondentów oceniło jego akcję negatywnie, 24,5 proc. pozytywnie, 25,7 proc. stwierdziło – „trudno powiedzieć”, a 10,4 proc. nie słyszało o sprawie.



JERZY SZMIT

turniczą i absurdalną kampanię ocenił pozytywnie co czwarty ankieter. Przecież to prawie tyle, ile w ostatnich sondażach zbiera Platforma Obywatelska. A jeszcze drugie tyle jest niezdecydowanych. Kwestionując wybory, Giertych mówił tylko do tych dwóch grup i jak widać, jego akcja została dostrzeżona, a nawet pozytywnie oceniona. Tym ruchem wobec kryzysu przywództwa w PO Giertych zgłasza gotowość do walki o schedę po Donaldzie Tusku. Zaraz, zaraz: Giertych za Tuska, chyba za daleko pan idzie?!

Zdaje sobie sprawę, że dla tzw. normalnych ludzi twierdzenie, że Giertych zastąpi Tuska, jest trudne do przyjęcia. Jednak oddzielny stanowisko premiera od funkcji szefa partii, nawet opozycyjnej. Zwycięstwo Karola Nawrockiego na dobre rozpoczęło

KTO, JAK NIE JA!

Na pierwszy rzut oka dotkliwa porażka. Spójrzmy jednak na ten wynik pod kątem celów, które stawiał sobie Giertych. Jego awan-

wielki kryzys w ośmiogwiazdkowej koalicji: dystansowanie się PSL od polityki PO, rozpad Polski 2050 i jednoznaczne oświadczenia Szymona Hołowni, że nie będzie brał udziału w kwestionowaniu wyboru Karola Nawrockiego. Podobne stanowisko zajęła Lewica Włodzimierza Czarzastego. Przed nami zmiany w rządzie i kolejne źródła napięć. Nie da się już ukryć, że w obozie ośmiu gwiazdek narasta niezadowolenie i żądanie ostrzejszego kursu na „rozliczenie” Prawa i Sprawiedliwości.

Na ten kryzys liczy Giertych. Oczywiście dzisiaj jeszcze nie krzyknie, że tylko on może uratować uśmiechniętą ośmiogwiazdkową Polskę. Ale sytuacja dojrzeje. W jego interesie jest zderzenie premiera z prezydentem Nawrockim, które może być bardzo dotkliwe dla szefa rządu. Liczy, że Tusk nie sprostą politycznie tej próbie i wtedy na poważnie zaczną się poszukiwania jego następcy. Nawet utrata władzy byłaby Giertychowi na rękę, bo Tusk znalazłby się wówczas w głębokiej defensywie. „A kto, jak nie ja, Roman Giertych, nadaję się najlepiej na trudne, opozycyjne czasy!”. Dlatego stale musi o sobie przypominać, ponieważ tylko on będzie potrafił stawić czoło Jarosławowi Kaczyńskiemu.

Do zaprzysiężenia Karola Nawrockiego zapewne usłyszymy o kolejnej antyprezydenckiej akcji zainicjowanej przez Giertycha. Nawet po zaprzysiężeniu będzie kwestionował prawidłowość wyboru. Wszystko z intencją: „Ja, Roman Giertych, syn Macieja i wnuk Jędrzeja, jestem gotów, aby stanąć na czele ośmiogwiazdkowego obozu”. Tym razem może nie jest to jeszcze walka o fotel premiera, ale o przywództwo w PO już tak.

URODZONY LIDER

Roman Giertych ma 54 lata. Od dziecka był skazany na politykę. Jego przodkowie i rodzina to środowisko wielce zasłużone dla ruchu narodowego. Zdolny, błyskotliwy, od lat szkolnych zarządzał kolegami. Ludzie po prostu go słuchali i szli za nim. Imponująca postura, głos, do tego pewność siebie na pograniczu bezczelności. Potrafi być ujmująco miły i sympatyczny, gdy wymaga tego sytuacja. Urodzony lider.

W dorosłe lata wchodził, gdy waliła się komuna i otworzyły się możliwości legalnego działania politycznego. Śladem swoich przodków ruszył w wir polityki. Sięgnął po tradycję ruchu narodowego, które od kilku pokoleń miał przeciwieństwo we krwi. W 1989 r. założył Młodzież Wszechpolską i został jej prezesem. Wtedy poczuł, ile satysfakcji daje podporządkowywanie sobie ludzi oraz wywieranie na nich wpływu. Jak przyjemne może być wskazywanie wro-

gów, których trzeba zwalczać. Jak zabawne może być skłócanie i dzielenie. Jak łatwo manipulować ludźmi. Trzeba zrobić jutro marsz w Szczecinie? Kilka nocnych telefonów i do stolicy Pomorza Zachodniego jadą grupy zdyscyplinowanej młodzieży. Ci najbardziej posłuszni i zaangażowani byli nagradzani. Ci, którzy w jakiś sposób podpadli, byli karani. Normę stanowiło zbieranie haków na wskazanych przez Romka ludzi.

Codzienną metodą było „delegowanie” swoich ludzi do innych organizacji i instytucji. W latach 90. i na początku następnej dekady polska prawica była skłócona i w zupełnej rozsypce. Wchodzenie i wychodzenie, dzielenie, rozbijanie było łatwe dla realizującej swoje cele grupy. I tego było Giertychowi za mało.

Wewnątrz Młodzieży Wszechpolskiej i całego środowiska narodowego powołał wewnętrzną, tajną organizację – Ligę Wszechpolską. Jej członkami byli jego najbardziej zaufani ludzie. Składali przysięgę lojalności i dochowania tajemnicy. Wykonywali polecenia, które przychodziły ustalonymi kanałami. Nie było miejsca na dyskusję i wątpliwości.

Dzisiaj Roman Giertych to bogaty człowiek, prowadzący wystawne życie. Oczywiście nie mógłby sobie pozwolić na takie luksusy z wynagrodzenia posła czy senatora. Do pieniędzy Giertych zawsze miał szczęście. Gdy zakładał, a po-

tem zarządzał Młodzieżą Wszechpolską czy był w Stronnictwie Narodowo-

Demokratycznym, często jeździł za granicę – szczególnie do Londynu, który był wówczas głównym ośrodkiem ruchu narodowego.

„Starzy endecy”, mimo że zwykle żyli bardzo skromnie, byli ofiarni wobec odradzającego się w Polsce środowiska narodowego. Szczególnie że emisariuszem z kraju był młody, zdolny, wykształcony



pan Roman. I co było fundamentem zaufania, nazywał się Giertych. To otwierało w środowisku wszystkie drzwi, serca i portfele. W czasach dużych różnic kursowych każdy funt, dolar, marka, frank robił ogromną różnicę na polskim rynku politycznym.

Potem była Liga Polskich Rodzin. Roman Giertych chciał zostać liderem polskiej prawicy, ale zderzył się z Jarosławem Kaczyńskim. Z nim nie dał rady, więc zrozumiał, że pora przejść na drugą stronę politycznej barykady. Miał jednak ogromny bagaż negatywny: przodkowie, Młodzież Wszechpolska, która była oskarżana o fanatyzm, faszyzm i skrajne zachowania, Liga Polskich Rodzin, atakowana za nacjonalizm, ksenofobię i próby stworzenia z Polski państwa wyznaniowego. Wreszcie współpraca z Jarosławem Kaczyńskim.

MECENAS I POLNORD

Zdał sobie sprawę, że musi na chwilę zejść ze sceny politycznej. Z pełną energią przestawił się zatem na realizację wariantu B – advokatury. Idealna przystań. Niby poza polityką, ale jak się ma znajomości, to można pozyskać klientów, takich jak Radosław Sikorski, rodzina Tusków, Ryszard Krauze, Leszek Czarnecki, Gerald Birgfeldner (kontra Jarosław Kaczyński), i miękko wchodzić w łaski środowiska niedawnych śmiertelnych wrogów. A przy okazji zarabiać krocie.

Potrzebował także przewodników, którzy przeprowadzą go na drugą stronę. Pomogła „Gazeta Wyborcza”, wcześniej robiąca z niego ucieleśnienie wszelkiego zła. We wrześniu 2012 r. przeprowadziła z nim wielki wywiad. Była to okazja do odcięcia się od przeszłości, udziału w rządzie PiS. Zapowiedział, że bierze rozbrat z polityką.

Ale już w maju 2013 r. zainicjował powołanie Instytutu Myśli Państwowej, a deklarację założycielską podpisał z Kazimierzem Marcinkiewiczem, Stefanem Niesiołowskim, Filipem Libickim, Michałem Kamińskim, a nawet Leszkiem Moczulskim. Instytut należy do tego typu inicjatyw, które powstają, aby ogłosić, że powstały i aby ich założyciele mogli przez chwilę zagościć w mediach.

Powrót do głównego nurtu w polityce szedł mu jednak opornie. W 2015 r. nieskutecznie kandydował do Senatu. Ostentacyjnie atakował rząd PiS, a szczególnie Jarosława Kaczyńskiego. Był liderem na wszystkich antyrządowych demonstracjach, w tym KOD.

W październiku 2020 r. Roman Giertych był jedną z osób zatrzymanych przez CBA w związku ze śledztwem dotyczącym wyprowadzenia i przywłaszczenia łącznie ok. 92 mln zł z giełdowej spółki deweloperskiej Polnord. Prokuratura zarzucała mu przywłaszczenie ponad 72 mln zł i wyrządzenie spółce szkody majątkowej wielkich rozmiarów, pranie brudnych pieniędzy w kwocie prawie 5,2 mln zł oraz wyrządzenie spółce Polnord szkody w wysokości 4,5 mln zł pod pozorem umowy na jej reprezentowanie przez kancelarię

prawną Romana Giertycha w postępowaniu przed NSA. W czasie przeszukania w domu zasłabł.

Gdy tylko doszedł do siebie, wylądował w swojej willi we Włoszech. Potem sądy uchyliły oskarżenia i mógł wrócić „z ziemi włoskiej”, a ostatecznie w 2025 r. bodnarowska prokuratura umorzyła postępowanie przeciwko Giertychowi, uznając, że pełnił w całej sprawie jedynie rolę usługową. Winowajcami uczyniono miliardera Ryszarda K. oraz wieloletniego ochroniarza Giertycha Sebastiana J. „Fokę”. Ten dbał o bezpieczeństwo Giertycha, a w wolnych chwilach robił transakcje na grube miliony ze spółkami obsługiwanymi prawniczo przez swojego pryncypała. Giertych oczywiście kompletnie nic nie wiedział, jakie biznesy z Ryszardem K. robi jego ochroniarz.

W 2023 r. chciał kandydować do Senatu w ramach paktu senackiego, ale koalicjanci PO nie zgodzili się na to. Jednak decyzją Donalda Tuska dostał się na listę Platformy i wrócił do Sejmu.

W wolnych chwilach mecenas chętnie sięga po grę „Dyplomacja”. Jest reklamowana przez wydawców jako „klasyczna gra intrygi, zaufania i zdrady”

WSZYSTKIE OCZY NA ROMANA

O Romanie Giertychu napisano wiele i jeszcze więcej zostanie napisane. Dzisiaj szykuje się on do kolejnego celu: zastąpienia Donalda Tuska na funkcji przewodniczącego Platformy Obywatelskiej. Wielu osobom taki plan wydaje się nedoręcznością, jednak za miesiąc Tusk będzie się konfrontował nie tylko z opozycją i wewnętrznymi konfliktami w koalicji, lecz także realnymi problemami społecznymi. Do tego dojdzie trudny

przeciwnik: prezydent Karol Nawrocki. Żadnym odkryciem nie jest stwierdzenie, że widoki Tuska są marne. Giertych na razie nie mówi tego głośno. Robią to za niego inni, w tym ostatnio nawet Lis, Miller, Holland. Giertych umacnia swoją pozycję wśród najbardziej fanatycznych ośmiogwiazdkowców. Czeką na chwilę, gdy padnie pytanie: jeśli nie Tusk, to kto będzie w stanie powstrzymać PiS? Wtedy wszystkie oczy mają zwrócić się na Romana.

Dla Giertycha walka o fotel premiera nie jest dzisiaj realna, ale przewodniczenie PO (wstąpił do partii kilka tygodni temu) i dalsze budowanie swojej pozycji oraz czekanie na kolejne ruchy na scenie politycznej – już tak. W swoim wieku ma jeszcze sporo czasu na zrealizowanie marzeń o premierostwie czy prezydenturze.

W wolnych chwilach Roman chętnie sięga po grę „Dyplomacja”. Jest reklamowana przez wydawców jako „klasyczna gra intrygi, zaufania i zdrady”. Jeżeli ktoś chce w niej wygrać, powinien zapomnieć o lojalności, wdzięczności, przestrzeganiu zasad. Warunkiem sukcesu jest cynizm, bezwzględność, dbanie wyłącznie o własny interes i podporządkowanie wszystkiego dla osiągnięcia wyznaczonego celu. No i w tej grze trzeba planować kilka ruchów naprzód – swoich i przeciwników. W PO Roman Giertych gra o władzę i pieniądze. Grał, gdy był narodowcem i walczył z „Gazetą Wyborczą”, grał, gdy tworzył rząd z Jarosławem Kaczyńskim, grał rolę adwokata wielkich tego świata, teraz gra nawróconego na pseudoliberalizm. A jeśli jest w czymś autentyczny, to w ośmiogwiazdkowej nienawiści.

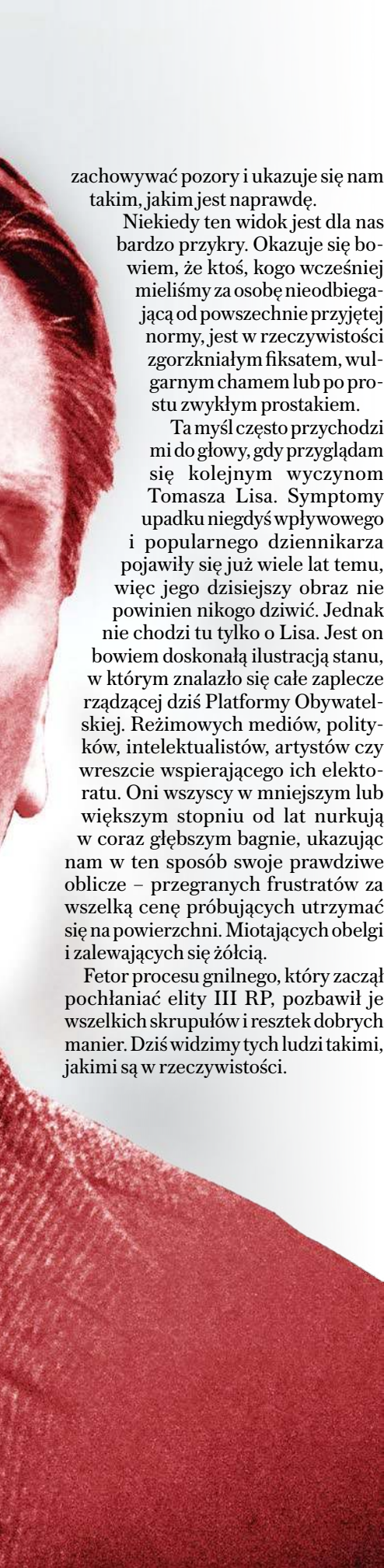
Anatomia upadku

Symptomy upadku Tomasza Lisa, niegdyś wpływowego i popularnego dziennikarza, pojawiły się już wiele lat temu, więc jego dzisiejszy obraz nie powinien nikogo dziwić. Jednak nie chodzi tu tylko o niego. Jest on bowiem doskonałą ilustracją stanu, w którym znalazło się całe zaplecze rządzącej dziś PO



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Uływ czasu bywa dla niektórych ludzi bezlitosny. Nie chodzi tylko o zmiany zewnętrzne czy rozliczne kłopoty ze zdrowiem. Myślę raczej o psychice. Poczucie niespełnienia czy wręcz przegranego życia rodzi czasem silne frustracje i erupcję złości. Takiemu człowiekowi nie zależy już na otaczającym go świecie, przestaje



zachowywać pozory i ukazuje się nam takim, jakim jest naprawdę.

Niekiedy ten widok jest dla nas bardzo przykry. Okazuje się bowiem, że ktoś, kogo wcześniej mieliśmy za osobę nieodbiegającą od powszechnie przyjętej normy, jest w rzeczywistości zgorzkniałym fiksatem, wulgarnym chamem lub po prostu zwykłym prostakiem.

Ta myśl często przychodzi mi do głowy, gdy przyglądam się kolejnym wyczynom Tomasza Lisa. Symptomy upadku niegdyś wpływowego i popularnego dziennikarza pojawiły się już wiele lat temu, więc jego dzisiejszy obraz nie powinien nikogo dziwić. Jednak nie chodzi tu tylko o Lisa. Jest on bowiem doskonałą ilustracją stanu, w którym znalazło się całe zaplecze rządzącej dziś Platformy Obywatelskiej. Reżimowych mediów, polityków, intelektualistów, artystów czy wreszcie wspierającego ich elektoratu. Oni wszyscy w mniejszym lub większym stopniu od lat nurkują w coraz głębszym bagnie, ukazując nam w ten sposób swoje prawdziwe oblicze – przegranych frustratów za wszelką cenę próbujących utrzymać się na powierzchni. Miotających obelgi i zalewających się żółcią.

Fetor procesu gnilnego, który zaczął pochłaniać elity III RP, pozbawił je wszelkich skrupułów i resztek dobrych manier. Dziś widzimy tych ludzi takimi, jakimi są w rzeczywistości.

WPIS O SOBIE SAMYM

„Zacząć od marzeń o byciu zbawcą narodu, a skończyć jako cwel i parowa Kaczyńskiego – dość spektakularny upadek” – napisał Tomasz Lis w reakcji na niedawne spotkanie Szymona Hołowni z Jarosławem Kaczyńskim.

Tego dnia Lis ewidentnie dostał szału, bo obok tego wpisu (później skasowanego) wysmarował jeszcze 40 innych. To i tak daleko od jego życiowego rekordu, gdy jednego dnia – dokładnie w dniu wyborów do Sejmu 15 października 2023 r. – opublikował aż 75 wpisów.

Lis to człowiek ciężko chory, po czterech udarach – wystarczy spojrzeć na jego występy przed internetową kamerką, którymi próbuje zwrócić na siebie uwagę widzowi – więc teoretycznie powinniśmy mu współczuć i zbywać wymownym milczeniem jego prowokacyjne wybryki. Jednocześnie jest on jednak osobą publiczną i nie chce rezygnować z tego statusu, a zatem trudno byłoby po prostu przejść nad jego zachowaniem do porządku dziennego.

Nazywano Hołowni „cwelem i parową Kaczyńskiego” można uznać za przejaw zidiocenia i kompletnej infantylności na poziomie uczniaka szkoły podstawowej. Jeśli jednak usuniemy z tego nieszczęsnego wpisu nazwisko Kaczyńskiego i zastąpimy je Tuskiem, to dojdziemy do wniosku, że Lis podświadomie – choć w prostacki sposób – napisał o swoim własnym doświadczeniu życiowym.

Mówimy przecież o kimś, kto jeszcze kilkanaście lat temu sam uchodził za niekwestionowaną gwiazdę polskich mediów, prawdziwego profesjonalistę w swojej branży, a nawet zbawcę narodu, czego dowodem były sondaże „Newsweeka” z 2004 r., dające mu aż 43 proc. poparcia w wyborach prezydenckich, gdyby oczywiście zdecydował się na start. Rok wcześniej wydał książkę „Co z tą Polską?”, która była czymś w rodzaju manifestu politycznego i dowodem jego ogromnych ambicji. To był moment największych triumfów Lisa, apogeum jego kariery. A miał wówczas zaledwie 37 lat.

Wtedy rozpoczął się powolny zjazd, przez pierwsze dziesięć lat niezauwa-

żalny, ale później – zwłaszcza po podwójnej wygranej PiS w wyborach 2015 r. – gwałtownie nabierający tempa. Dziś można powiedzieć, że Lis spektakularnie spadł z wysokiej gałęzi wprost na głowę, po drodze boleśnie obijając się o wystające konary.

Na ziemię strącili go sami Polacy, na których coraz słabiej działał urok jego i jemu podobnych. A im ten urok był słabszy, tym bardziej Lis frustrował się i odsłaniał swoje prawdziwe oblicze. Coraz mniej było w nim dawnego „zbawcy narodu”, a coraz więcej infantylnego smarkacza, który wyzywał na „solo” Dominika Tarczyńskiego i pokrzykiwał do Szymona Hołowni, że jest „cwelem i parową”. To naprawdę dotkliwy upadek.

SPADAJĄCA ZASŁONA

Po raz pierwszy Polacy zobaczyli (a właściwie usłyszeli) prawdziwego Lisa, gdy ktoś nagrał go w 1999 r. podczas przygotowań do kolejnego wydania „Faktów” w TVN. Nie wiedząc, że jest nagrywany, puścił soczystą wiązkę bluzgów do mikrofonu, bo zirytowały go nieczytelne jego zdaniem mapy blokad drogowych, które miały być dołączone do emitowanego materiału.

Wtedy jednak poza ogólnym rozbażeniem nagrania te nie wywołały żadnych negatywnych skutków. Uznano po prostu, że jako profesjonalistę denerwowały go wszelkie niedoróbki. Potem jednak pojawiało się coraz więcej sygnałów, że nie był to jednorazowy atak złości i że Lis potrafi być bardzo trudnym współpracownikiem.

Dziennikarz pożegnał się z redakcją „Faktów” w 2004 r. zaraz po tym, jak pojawiły się pogłoski o jego ambicjach prezydenckich. Stamtąd trafił do Polsatu, gdzie objął wysokie stanowisko członka zarządu i dyrektora programowego.

W tym samym czasie przeżywał także perturbacje rodzinne. Po 12 latach małżeństwa rozwiódł się z poznaną jeszcze w TVP Kingą Rusin i ożenił się z przyjaciółką domu, zarazem koleżanką z nowej pracy Hanną Smoktunowicz. Okoliczności drugiego małżeństwa Lisa wywołały sporo negatywnych komentarzy, bo Hanna Smoktunowicz była wcześniej świadkiem na jego ślubie z Kingą Rusin.

Para zamieszkała w Konstancinie-Jeziornie, w drogim domu na obrzeżach Warszawy i wiodła na polu celebryckie życie. Zgrzyt pojawił się w 2008 r., gdy Luiza Zalewska opisała na łamach „Dziennika” dość specyficzne metody pracy państwa Lisów ze współpracownikami z Polsatu. Mieli oni m.in. odgrywać rolę chłopców na posyłki i przywozić Lisom jedzenie z restauracji. W zamian jakoby dostawali niedojedzone resztki obiadu.

Na Lisów mieli się także skarżyć sąsiedzi z Konstancina. W internecie można znaleźć ich pismo skierowane do burmistrza miasta, w którym narzekają, że Lisowie nie opróżniają szamba, co powoduje paskudny fetor w całej okolicy.

Po odejściu z Polsatu Lis powrócił jeszcze do TVP, gdzie przez osiem lat za grube miliony realizował swój program publicystyczny „Tomasz Lis na żywo” (ok. 200 tys. zł za jeden odcinek, z czego połowa dla firmy produkcyjnej Lisa). Jednak wyraźnie ciągnęło go do pisania. Uznał widocznie, że osiągnął status intelektualisty i jako świeżo upieczony „arystokrata umysłu” nie może się ograniczać do nabijania sobie kabzy w telewizji.

Po nieudanej próbie objęcia stanowiska naczelnego w „Dzienniku” stanął na czele redakcji tygodnika „Wprost”, kupionego w tym czasie przez szczecińskiego przedsiębiorcę Michała Lisieckiego. W rzeczywistości czekał jednak na bardziej intratną posadę, a Lisieckiego – jak opowiadali ówczesni dziennikarze „Wprost” – traktował z buta. Miał być bowiem po słowie z niemiecko-szwajcarskim koncernem RASP, gdzie obiecywano mu funkcję naczelnego „Newsweeka”. Ostatecznie trafił tam w marcu 2012 r., biorąc ze sobą na pokład grupkę współpracowników z „Wprost”.

„Newsweek” pod jego rządami stał się prawdziwie zaangażowanym tygodnikiem. Nie było numeru, w którym Lis i jego waleczni kaprale w rodzaju nawróconego na liberalizm Cezarego Michalskiego nie zasłaniałiby swoją mężną piersią Donalda Tuska toczącego historyczny bój z pisow-

ską zarazą. Lis tak przeżywał wojnę z PiS, że kosztowało go to utratę zdrowia. Swoją pierwszą udar przeszedł w 2019 r., gdy pędził do Olsztyna na spotkanie z antypisowskim sędzią Pawłem Juszczyszynem.

Drugą specjalnością „Newsweeka” były problemy łózkowe Polaków, co mogło być – choć oczywiście nie musiało – rodzajem zwierciadła, w którym odbijały się rozmaite fantazje ówczesnego kierownictwa redakcji.

Punktem zwrotnym w prasowej karierze Lisa był artykuł w Wirtualnej Polsce z 2022 r., którego autor Szymon Jadczyk opisał osobliwe metody pracy naczelnego „Newsweeka”. Tekst, oparty na relacjach pracowników redakcji, jedynie powielił nieoficjalne informa-

Trochę trudno się dziwić, że Lis próbuje walczyć. Tu przecież chodzi o sens jego dotychczasowego życia. Jeśli bowiem Tusk upadnie, to jego wierny bojownik okaże się kompletnym przegrywem

cje, od wielu lat krążące w środowisku dziennikarskim. Jednak ich upublicznienie na portalu w żaden sposób niezwiązany z prawicą nie mogło zostać po prostu zamiecione pod dywan – musiało wywołać reakcję. Ostatecznie Lis odszedł z pracy w cieniu oskarżeń o mobbing i seksizm.

Jednak obecny reżim nigdy nie zapomniał jego wieloletniego zaangażowania. W 2024 r. prokuratura umorzyła dochodzenie przeciwko Lisowi w sprawie mobbingu i molestowania, uznając, że ówczesny naczelny „Newsweeka” „był szefem, którego styl zarządzania zatrzymał się w latach 90.”

Trudno powiedzieć, jakie miała zdanie na temat „stylu” pracy Lisa w redakcji „Newsweeka” jego druga żona Hanna Smoktunowicz – rozwiódł się z nią w 2022 r.

PSIA KUPA

Dziś Tomasz Lis jest schorowanym i najwyraźniej samotnym człowiekiem, który mieszka z psem w jednej z przedwojennych kamienic na Mokotowie. W internecie krąży złośliwy filmik, na którym dawny dziennikarz włoczy się z owczarkiem niemieckim po pobliskich uliczkach, a gdy pies załatwia potrzebę na trawniku, jego pan udaje, że niczego nie widzi i zamyślony odchodzi. Tomasz Lis nie będzie przecież sprzątał psiej kupy.

Jego wielka kariera legła w gruzach, życie osobiste się rozpadło. Dlaczego? On sam by pewnie odpowiedział, że poświęcił wszystko w walce o „demokratyczną Polskę”. „Demokratyczną”, czyli całkowicie podporządkowaną władzy Donalda Tuska.

Trochę trudno się dziwić, że nadal próbuje walczyć, szaleje w internecie, nagrywa kolejne programy ze swojego mieszkania. Tu przecież chodzi – przynajmniej on sobie sam pewnie tak tłumaczy – o sens jego dotychczasowego życia. Jeśli bowiem Tusk upadnie, to Lis, jego wierny bojownik, okaże się kompletnym przegrywem.

„Zaraz idę na spacer z psem. Przechodząc koło kancelarii premiera, będę szeptał pod nosem »Ave Caesar, morituri te salutant«” – napisał pod koniec czerwca w serwisie X. Bez Tuska Lis nie widzi już dla siebie życia.

Podobnie, choć może nie w tak teatralny sposób, okazują to wszyscy inni pochlebcy obecnego reżimu. Każdy z nich – bez względu na to, czy nazywa się Markowski, Schnepf, Sadurski, Kowalski czy jeszcze jakoś inaczej – związał swoje życie i swoją karierę z Tuskiem tak mocno, że nie widzi dla niego żadnej alternatywy. Wszystko inne to po prostu zdrada i zagłada.

Dlatego walczą, szaleją, nie przebiegają w słowach i w ten sposób bezwstydnie obnażają swoją prawdziwą naturę. A my patrzmy na to wszystko z rosnącym obrzydzeniem i zażenowaniem. Czy oni już całkiem upadli na głowę ze strachu?

Pożar, do którego doszło w ubiegłym roku w centrum handlowym Marywilska 44 w Warszawie, był efektem podpalenia dokonanego na zlecenie rosyjskich służb specjalnych

Wiecej Bąkiewicza!

O walce z rosyjskim zagrożeniem asymetrycznym



MAREK BUDZISZ

Polskę nękała ostatnio fala groźnych pożarów. Spalił się wielorodzinny budynek w podwarszawskich Żąbkach, instalacje elektryczne na jednej ze stacji metra w stolicy, trzy transformatory, hale fabryczne, składowiska odpadów i sklepy wielkopowierzchniowe. Nie wiemy, co było przyczyną pożarów, ale nie można wykluczyć celowych działań rosyjskich służb specjalnych zainteresowanych destabilizowaniem sytuacji.

Dziennikarze agencji Associated Press przeanalizowali kilkakrotnie podejrzanych incydentów, w tym podpalenia, które miały miejsce w Europie od rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Ich zdaniem „są niezbite dowody”, iż w 70 przypadkach mieliśmy do

czynienia z akcjami dywersji i sabotażu, inspirowanymi i organizowanymi z Rosji. Cztery źródła w agencjach wywiadu państw europejskich powiedziały dziennikarzom AP, iż mamy do czynienia z narastającym zagrożeniem, liczba ataków rośnie i stają się one coraz poważniejsze. „Kiedy rozpoczynasz kampanię, ma ona własną dynamikę i z czasem staje się coraz bardziej brutalna” – powiedział jeden z urzędników zajmujący wysokie stanowisko w europejskiej agencji wywiadowczej.

Rzecznik Kremla Pieskow stanowczo odrzucił wszelkie związki Rosji z tym, co się dzieje, ale zdaniem ekspertów analizujących wydarzenia można opisać *modus operandi*, mechanizm działania rosyjskich służb specjalnych.

SŁUŻBY ŁOWIĄ AMATORÓW

Bezpośrednimi wykonawcami niemal zawsze są amatorzy, a nie wyszkoleni agenci. Nieraz to przedstawiciele lokalnych społeczności, często bardzo młodzi ludzie,

tak jak 21-letni Dylan Earl, który wraz z dwoma osobami właśnie został skazany przez londyński sąd na karę więzienia za podpalenie składu z pomocą przeznaczoną dla Ukrainy.

Najczęściej jednak rosyjskie służby szukają wykonawców wśród młodych i sfrustrowanych uchodźców z Ukrainy, którzy chcą zrobić. Ta grupa migrantów jest poddana szczególnie uważnej penetracji z oczywistego powodu. Jeśli sprawcy zostaną ujęci, fakt, iż są to obywatele Ukrainy, wzbudzi niechęć do walczącego narodu, co jest jednym z celów działań podejmowanych przez Rosjan. Ujawnione w związku z procesem Dylana Earla dokumenty, nagrania i czaty pokazują, jak w praktyce przebiega proces pozyskania wykonawcy zamachu, amatora niebędącego oficerem rosyjskich służb specjalnych.

Szuka się ich, przeczesując kanały i fora zakładane przez rosyjskie organizacje w rodzaju Grupy Wagnera. Ci, którzy są aktywni, często uczestniczą w debatach, zdradzają prorosyjskie sympatie i można

ich zaliczyć do grupy „młodych gniewnych”, niezadowolonych z panujących w ich kraju porządków, są brani na celownik. Jak uważa Kevin Riehle, wykładowca na jednym z londyńskich uniwersytetów, specjalizujący się w pracy tajnych służb, Earl rozpoczął korespondencję z anonimowym botem, za którym krył się kadrowy oficer rosyjskiego wywiadu. Wymiana wiadomości, SMS i memów trwała przez kilka miesięcy i koncentrowała się wokół jednej kwestii – budowy „ruchu oporu”, którego przedstawiciele mieliby uderzyć w establishment i panujące w kraju porządki.

Podobnego rodzaju obróbka miała miejsce w przypadku dwóch pozostałych uczestników zamachu, których Dylan Earl nie znał i nigdy wcześniej nie spotkał. Kiedy cała trójka dojrzała do działania, zaczęła dostawać szczegółowe instrukcje, gdzie wzniecić pożar, jak skonstruować bombę zapalającą z powszechnie dostępnych środków chemicznych, jak ją podłożyć i uciec. Rosyjskie służby sporządziły nawet specjalny podręcznik (dostępny w sieci) dla pirotechników amatorów, w którym jest pełno szczegółowych informacji, w jaki sposób organizować zamachy. Ich wykonawcami często są ludzie, którzy jak Earl podlegali ideologicznej obróbce, ale często mamy też do czynienia z kryminalistami czy osobami bez skrupułów, którzy myślą o łatwym zarobku.

Wywołanie pożaru w magazynie czy fabryce pracującej dla firm zbrojeniowych nie przynosi im fortuny, najczęściej nie jest to więcej niż równowartość co najwyżej kilku tysięcy dolarów, a w przypadku mniej spektakularnych akcji „honoraria” są jeszcze niższe. Te mniej groźne, ale znaczące działania to choćby pisanie graffiti z antyukraińskimi hasłami – od czego zaczęła się cała operacja – czy włamanie do stacji poboru wody – kilkanaście takich przypadków odnotowano w Finlandii. Ich celem nie jest zatrucie ujęcia, ale prześledzenie, jak działają służby, które są zmuszone do podejmowania kosztownych działań w celu wzmocnienia systemu zabezpieczeń, nadzoru i sprawdzenia instalacji.

Innym przejawem tego samego podejścia są fale alarmów telefonicznych o podłożonych w centrach handlowych czy szkołach ładunkach wybuchowych, które przed rokiem sparaliżowały stolicę Litwy z okolicznymi gminami.



Eksperti zachodnich wywiadów analizujący zjawisko mówią o kilku prawidłowościach. Po pierwsze, bezpośrednimi wykonawcami są najczęściej cywile niemający wcześniej podejrzanych powiązań. Służbom jest ich znacznie trudniej wykryć niż agentów, choćby takich jak ci, którzy próbowali otruć Siergieja Skripala, czy Pawła Rabcowa, rzekomego dziennikarza, lwa salonowego warszawskich liberalnych elit medialnych, a w rzeczywistości rosyjskiego „nieleżała” ujętego przez polski kontrwywiad. Po drugie, wykonawcy często się radykalizują, jak w przypadku Dylana Earla, który po wzniesieniu pierwszego pożaru, a przed ujęciem, planował „coś znacznie większego”.

W ciągu ostatnich trzech lat zmienił się też charakter rosyjskich operacji. Od „niewinnych” działań w rodzaju pisania graffiti, których celem było sianie niepokoju, zaobserwowano przejście do poważniejszych akcji w rodzaju podpaleń czy podkładania ładunków wybuchowych w magazynach cargo, co stwierdzono w Niemczech, Polsce i na Litwie i o mało nie doprowadziło do katastrof lotniczych.

GRU W AKCJI

Christo Grozev, dziennikarz Bellingcat, znany ze swych licznych śledztw, w których ujawniał tajemnice rosyjskich służb specjalnych, powiedział w jednym z ostatnich wywiadów, że GRU, rosyjski wywiad, powołał do życia w Moskwie i Petersburgu specjalne „uniwersytety”, w których są szkoleni „agenci jednorazowego użytku”. Ze względu na sankcje, trudności w podróżowaniu i zmniejszeniu liczebności rosyjskiego personelu dyplomatycznego właściwie we wszystkich krajach europejskich GRU zostało zmuszone do całkowitej zmiany formuły działania.

Wcześniej operacje realizowali i nadzorowali rosyjscy „dyplomaci”, w rzeczywistości agenci służb specjalnych. Teraz nie mogą być tak aktywni jak w przeszłości, rosyjskie służby werbują zatem ochotników, głównie pochodzących z państw byłego ZSRR, a przede wszystkim z okupowanych terenów ukraińskich, szkolą ich w przyspieszonej formule – bo nie muszą mieć uniwersalnych umiejętności, jeśli mają np. podpalić jakiś budynek – i wysyłają ich na Zachód.

„Druga grupa szkolonych – powiedział Grozev – jest jeszcze ciekawsza, bo wcześniej się nie pojawiała. Są to osoby z Ameryki Łacińskiej, z których część była już w Rosji, studiowała i została tam zwerbowana, podczas gdy inni przyjechali specjalnie, np. Wenezuelczycy i Kubańczycy. Trzecia kategoria to Afgańczycy. Wielu młodych ludzi z Afganistanu zostało zwerbowanych przez GRU”.

Nie ma zatem pewności, czy ostatnie ataki nożowników w Polsce, kiedy agresorami byli przybysze z Wenezueli i Kolumbii, są wyłącznie atakami natury kryminalnej, bo nie można wykluczyć inspiracji Moskwy, zainteresowanej kampanią strachu i destabilizacją sytuacji w państwach uważanych za wrogie i wspierających wysiłek wojenny Ukrainy. Z pewnością pożar wzniesiony pod koniec czerwca w jednej z niemieckich baz wojskowych, w którym spłonęło pięć samochodów ciężarowych, które miały być przekazane Ukrainie, miał na celu udaremnienie tego posunięcia. Kampania sabotażu, której elementem jest też „niewidzialna” wojna w internecie, w tym ataki hakerskie, będzie się nasilać, bo Putin jest zdania, że najbliższe sześć miesięcy to czas, w którym Rosja może wygrać wojnę. A to oznacza, że na wszelki wypadek Moskwa testuje odporność systemów państwowych i społeczeństw tych państw, które Rosjanie mogą wziąć na swój celownik.

Tym bardziej że – jak napisał dziennik „The New York Times”, powołując się na dwa niezależne źródła w otoczeniu Putina – jest on zdania, iż w czasie najbliższych dwóch, trzech miesięcy rosyjskiej armii uda się przełamać ukraińskie linie obrony i przyspieszyć zajmowanie terytorium przeciwnika. W ostatnim czasie Rosjanie zarówno zwiększyli intensywność nalołów na cele cywilne, uderzając setkami zmodyfikowanych dronów Shahed na Kijów i inne miasta, jak i rozpoczęli kolejną ofensywę sił lądowych. W czerwcu zdobyli najwięcej terenów Ukrainy od jesieni ub.r., a na Kremlu uważa się, że ukraińska obrona jest na skraju załamania. Tym bardziej teraz nie ma możliwości zawieszenia broni, bo to pozwoliłoby przeciwnikowi złapać oddech, trzeba więc zwiększyć intensywność ataków powietrznych i lądowych. Takie panują nastroje na Kremlu.

Jeśli wojna wchodzi w decydującą fazę, to należy też wzmocnić presję na państwa kluczowe z punktu widzenia kontynuowa-

wania dostaw dla Ukrainy. A to zwiększa prawdopodobieństwo działań mających destabilizować sytuację, również w Polsce.

JAK SIĘ BRONIĆ?

Kluczowym pytaniem jest w tym przypadku kwestia, jak się bronić przed tego rodzaju zagrożeniami. Z pewnością nie tak, jak robi to Polska, która w styczniu przyjęła ustawę o obronie cywilnej i ochronie ludności. Ten potrzebny dokument jest obarczony jedną, podstawową wadą. Rząd planuje wydać nawet do 10 mld zł rocznie po to, aby szkolić i wyposażać tych, którzy już są wyszkoleni i potrafią sobie radzić w trudnych sytuacjach, czyli zawodowych strażaków oraz inne służby. Są oni niezwykle potrzebni,

Polski rząd planuje wydać nawet do 10 mld zł rocznie po to, aby szkolić i wyposażać tych, którzy już są wyszkoleni i potrafią sobie radzić w trudnych sytuacjach, np. strażaków. A tu trzeba szkolić cywilów, zwykłych obywateli

ale nabycie dodatkowych generatorów, przeszkolenie starostów i prezydentów miast jeszcze nie buduje systemu odpornościowego państwa, a tym bardziej zdolności do reagowania na zagrożenia asymetryczne, wojnę hybrydową czy zwyczajny bandytyzm, który też może być wykorzystywany przez przeciwnika.

Szwajcarzy, Finowie i Szwedzi są zdania, że ze współczesnymi zagrożeniami nie poradzą sobie wyłącznie służby i bez zaangażowania społecznego będziemy bezbronni. Wachlarz zagrożeń jest bowiem nieograniczony. Jak napisał Mark Galeotti, brytyjski ekspert analizujący rosyjską wojnę asymetryczną, mamy do czynienia z „weaponizacją wszystkiego”. Wszystko może być bronią, jeśli zostanie użyte przez przeciwnika w zaplanowany i skoordynowany sposób. To dlatego szwedzka straż

graniczna i marynarka wojenna poprosiły obywateli o wsparcie, mając świadomość, że same nie będą w stanie sprostać narastającemu wyzwaniom. W tym konkretnym przypadku chodzi o to, aby cywile obserwowali długą linię brzegową Szwecji z tyśiącem zatoczek oraz wysp i informowali o podejrzanym aktywności.

Aby to informowanie nie przekształciło się w zalew fałszywych alarmów, obywatele muszą być przeszkoleni. Muszą umieć ocenić, co jest zagrożeniem, kto zachowuje się podejrzanie i jakie działania należy podjąć. To oznacza, że szkoleni muszą być „zwykli ludzie”, a nie urzędnicy czy przedstawiciele straży pożarnej oraz że to ich aktywność, zaangażowanie we wspólne dobro i bezpieczeństwo jest podstawą, na której wznosi się gmach systemu odpornościowego państwa.

Ci Polacy, którzy chcą działać, choćby w ramach Ruchu Obrony Granic, winni być nie tylko szanowani i stawiani za wzór obywatelskiej postawy, lecz także władze publiczne, chcąc troszczyć się o wspólne dobro i zaufanie dla instytucji państwa, powinny starać się włączyć ich do systemu obrony cywilnej. W Polsce przedstawiciele rządu określają ich mianem „bojówek” i robią wszystko, aby utrzymać podział na my i oni, w którym to uprawnione służby odpowiadają za bezpieczeństwo, a obywatele mają być

pasywni, chronieni i nie wtrącać się w to, co robi władza. Taki model mógłby się sprawdzić w czasach spokoju, kiedy nie byliśmy ofiarą agresji asymetrycznej ze strony Rosji i jej satelitów, ale z pewnością nie wystarczy we współczesnej epoce.

Walcząc z Bąkiewiczem i jego współpracownikami, rząd Tuska, zapewne nie rozumiejąc tego, co się dzieje, paradoksalnie osłabia, a nie wzmacnia bezpieczeństwo naszego kraju. Kierunek działań winien być odwrotny. Państwo powinno zabiegać, aby było u nas więcej Bąkiewiczów – obywateli, którym nie jest obojętne bezpieczeństwo naszego państwa, dać im możliwości działania i starać się połączyć ich zaangażowanie z aktywnością właściwych służb. Innymi słowy – Bąkiewicz brawo, więcej Bąkiewicza, pomóżmy Bąkiewiczowi!

Nowy kierunek polskiego Episkopatu?

Ktoś, kto śledzi wydarzenia w Kościele katolickim w Polsce, mógłby powiedzieć, że w tym momencie trwa w nim prawdziwa wojna



GORAN ANDRIJANIĆ

Co prawda ta „wojna” toczy się przede wszystkim w tekstach publicystycznych i różnych podcastach katolickich influencerów. Jednak emocje, które jej towarzyszą, są dowodem na to, że chodzi o poważne spory między różnymi wizjami kierunku, w jakim zmierza Kościół nad Wisłą.

„Wojna” zaczęła się po niedawnym Zebraniu Plenarnym Konferencji Episkopatu Polski w Katowicach. Polscy biskupi zdecydowali tam, że abp Wojciech Polak nie będzie już kierował zespołem, który od dwóch lat przygotowuje założenia dla ogólnopolskiej komisji ds. wyjaśniania przypadków wykorzystywania seksualnego małoletnich. Jego miejsce ma zająć bp Sławomir Oder.

Chodzi o komisję, która ma być złożona z tzw. niezależnych ekspertów, czyli tych niezwiązanych z instytucjami kościelnymi (lub przynajmniej z ich częścią). Komisja miała w planie badać przypadki nadużyć seksualnych w Kościele katolickim w Polsce od 1945 r., a następnie przedstawić raport, który miałby służyć jako swego rodzaju wytyczne, jak dalej radzić sobie z problemem. Decyzja o jej powołaniu została podjęta w marcu 2023 r. na 394. Zebraniu Plenarnym KEP.

Pomysł był następujący: spróbować jakoś rozliczyć się z przeszłością i doprowadzić Kościół w Polsce do, można by rzec, „punktu zero” jeśli chodzi o nadużycia seksualne popełniane przez księży, a także wskazać możliwe mechanizmy, które te przestępstwa tuszowały.

Idea nie jest oryginalna – podobna komisja działała we Francji, Portugalii oraz Stanach Zjednoczonych, a także w kilku innych krajach, w których koncentrowała się na poszczególnych diecezjach (np. w Niemczech – archidiecezje Monachium i Freising). Funkcję kierownika zespołu powierzono prymasowi Polski, abp. Wojciechowi Polakowi, a następnie rozpoczęto prace nad powołaniem komisji.

DLACZEGO ODWOŁANO ABP. POLAKA?

Po dwóch latach praca nad nią nie ustała, ale z pewnością uległa pewnym zmianom. Dlaczego biskupi zdecydowali się odwołać Polaka? W ostatnich dniach rozmawialiśmy z kilkoma osobami blisko związanymi z wydarzeniami w Kościele w Polsce, i odpowiedź na to pytanie jest niejednoznaczna.

Po pierwsze, spora część biskupów była bardzo niezadowolona z treści dokumentu, który został upubliczniony mniej więcej w czasie Zebrania Plenarnego KEP. Chodziło o „Zasady działania Komisji niezależnych ekspertów do zbadania zjawiska wykorzystywania seksualnego osób małoletnich w Kościele katolickim w Polsce”. Zarzucono, że jest on prawnie niejasny i niezdefiniowany jeśli chodzi o uprawnienia i jurysdykcję komisji, dlatego biskupi poprosili o dodatkowe wyjaśnienia.

Według naszych informacji abp Polak i jego zespół odpowiedzieli, że jest to jedynie dokument przejściowy i że wszelkie wątpliwości prawne zostaną doprecyzowane później, w statucie i regulaminie komisji. Biskupi zrozumieli to wyjaśnienie jako swoje wykluczenie z procesu prawnego i nie mogli go zaakceptować.

Jak twierdzą niektórzy nasi rozmówcy, innym problemem pozostaje dość specyficzne intelektualne i teologiczne zaplecze prymasa. Nie jest tajemnicą, że abp Polak jest blisko liberalnych kręgów w Kościele katolickim i że podobnie myślące osoby zaczęły mieć duży wpływ na powstanie komisji i jej działalność. Mamy na myśli przede wszystkim nieoficjalny biuletyn „otwartego Kościoła”, czyli czasopismo „Więź” i ludzi skupionych wokół niego.

Coraz więcej polskich katolików zaczęło odczuwać, że ważna i szlachetna walka przeciwko wykorzystywaniu seksualnemu powoli zamienia się w platformę do promowania liberalnej agendy w Kościele katolickim.

Robi się to przez kreowanie obrazu, że wszystko w Kościele było dotychczas złe i że przestępstwa seksualne są tylko jednym z objawów tego „chorego” stanu, który trzeba jak najszybciej zmienić.

Niektórzy biskupi po prostu nie chcieli tego zaakceptować.

REAKCJE PO DECYZJI BISKUPÓW

W tym sensie reakcja liberalnej części Kościoła na odsunięcie abp. Polaka jest znacząca. Od kilku tygodni czytamy i słyszymy komentarze, które przedstawiają tę decyzję jako zdradę wszystkich, którzy byli wykorzystywani seksualnie, wzmocnienie chorego klerykalizmu i ogólnie symbol „ciemnych” sił w polskim Episkopacie, które, jak twierdzą, znów zyskują na sile.

W kręgach „otwartego Kościoła” zapanowała atmosfera moralnej hysterii. Usunięcie Polaka jest przedstawiane jako śmierć Kościoła, porzucenie przez niego wszelkich zasad moralnych i, co najbardziej cyniczne, odmowę udzielenia wsparcia ofiarom przestępstw seksualnych. Takie zachowanie zdaje się utwierdzać tezę, że część osób szerzących histerię wcale nie przejmuje się ofiarami, lecz kościelno-politycznymi rozgrywkami.

„Z tym układem w Episkopacie, z tym nuncjuszem, z tym dominującym myśleniem i wiarą w to, że Kościół uratuje polityka, a nie radykalna wierność Ewangelii, nie ma nadziei na zmianę. To musi zgnieć” – pisał Tomasz Terlikowski, jeden z tych katolickich publicystów, który w ostatnich latach wypromował się jako autorytet w dziedzinie badania przestępstw pedofilskich. „Radykalna wierność Ewangelii” w tym przypadku chyba oznacza, że sam Terlikowski powinien być członkiem takiej komisji, jak w przypadku, gdy stał na czele tej badającej zbrodnie dominikanina Pawła M.

To właśnie liberalne zawłaszczanie walki z pedofilią sprawiło, że biskupi byli sceptyczni co do kierunku, w którym postępuje formowanie komisji pod nadzorem abp. Polaka. Żadna rozsądna osoba w Episkopacie nie zaprzecza, że przestępstwa seksualne są złem, z którym należy walczyć. Czy jednak komisje same w sobie są gwarancją, że walka ta będzie prowadzona w sposób sprawiedliwy? Doświadczenia innych Kościołów pokazują nam, że nie.

Np. komisja we Francji, do której odwołuje się część zespołu abp. Polaka, wywołała ostrą krytykę za swoją metodę pracy, która według oponentów była bardzo niesprawiedliwa

wobec Kościoła i księży. Czy powinniśmy wspomnieć o komisji monachijskiej? Po kilku latach pracy „niezależna” komisja opublikowała raport, w którym głównymi punktami były oskarżenia pod adresem Benedykta XVI, który, jak twierdzono, tuszował pedofilię. Oskarżenia okazały się fałszywe, a pracę całej komisji na końcu oceniono jako starcie kard. Reinharda Marxa z byłym papieżem, który był ostrym krytykiem niemieckiej drogi synodalnej.

Kto nam zatem zagwarantuje, że polska komisja, jeśli będzie źle prowadzona, także nie pójdzie w takim kierunku?

Jeden z wybitnych intelektualistów katolickich, z którymi rozmawialiśmy w tych dniach, jako przykład źle prowadzonej komisji przytoczył tę, o której już wspominaliśmy, a której przewodził Terlikowski.

– Może nie rozumiem sensu tych komisji, ale dla mnie jest to bardzo dziwne. Mamy komisję, którą kieruje publicysta, a nie prawnik. Jedna z ofiar Pawła M. jest włączona do komisji, a sam oskarżony nie ma ani jednej możliwości, by się przed nią bronić. Jaki jest sens tego wszystkiego? – pyta nasz rozmówca, podkreślając, że ani przez moment nie próbuje relatywizować nadużyć, które zostały popełnione.

Ks. prof. Paweł Bortkiewicz, wykładowca AKSiM, też uważa, że walka przeciwko pedofilii jest tematem, który potrzebuje powagi. – Każdy grzech pedofilii w Kościele dokonany przez przedstawicieli duchowieństwa jest skandalem zła, którego nie sposób usprawiedliwić. Zarazem jednak trzeba zauważyć, że skala tego zła jest od pewnego czasu bardzo mocno rozszerzana. To nie jest kwestia mówienia o pojedynczych przypadkach, ale doszukiwania się wręcz normy postępowania zaprzeczającej głoszonej normie – mówi nam ksiądz profesor. I kontynuuje: – Wiele postulowanych i realizowanych działań w Kościele w Polsce dotyczących walki z pedofilią budziło poważny niepokój. Pozwolę sobie na drobną dygresję. Dosłownie wczoraj w rozmowie z jedną z przełożonych zakonu żeńskiego dowiedziałem się o kontakcie pewnej publicystki, żony znanego katolickiego publicysty, od lat zaangażowanego w oczyszczanie Kościoła. Pani redaktor zadzwoniła do siostry przełożonej, informując, że zbiera informacje na temat złych relacji księży i sióstr zakonnych. Usłyszała w odpowiedzi: »Pani nie zbiera informacji, pani chce udowodnić stawianą przez siebie tezę, a ja z tą tezą się nie zgadzam«. Wydaje się, że niejednokrotnie do lansowanej tezy usiłowano zdobyć fakty.

PROBLEM ZOSTAJE

Wszystko powyższe nie oznacza, że Kościół w Polsce nie będzie musiał się mierzyć z przestępstwami seksualnymi. Katolicki publicysta Tomasz Rowiński niedawno opubli-

kował na swoim kanale YouTube film, w którym wezwał bp. Odera, nowego szefa zespołu tworzącego komisję, aby udowodnił konkretnymi działaniami, że nie zamierza opóźniać prac.

– Z jednej strony zmiana Polaka może być głosem „partii” niechętniej rozliczeniu spraw przemocy seksualnej w Kościele, ale z drugiej – po prostu głosem sprzeciwu wobec faktu, że temat ten zdominowali ludzie związani ze środowiskami liberalnego katolicyzmu, których kościelnym liderem jest abp Wojciech Polak – mówi nam Rowiński. I przedstawia ciekawą tezę: – Prawdopodobnie tego rodzaju zmiany nie byłyby możliwe lub byłyby dużo trudniejsze za pontyfikatu papieża Franciszka. Niewątpliwie „partia” liberalna w polskim Kościele była też „partią” franciszkańską, a jest czymś oczywistym, że pontyfikat papieża z Argentyny i jego drużyna zebrały w Kościele znaczny negatywny elektorat.

Czy nowy pontyfikat naprawdę oznacza, że polscy biskupi staną się trochę „inni” w swojej polityce? – pytamy ks. prof. Bortkiewicza.

– Pontyfikat papieża Franciszka mimo ewidentnych stanów zaniepokojenia nie spotykał się raczej z oficjalną kontestacją. Wystarczy przypomnieć wielomiesięczne kłopoty Episkopatu Polski z ustosunkowaniem się do adhortacji „Amoris laetitia” czy milczenie wobec instrukcji „Fiducia supplicans”. Natomiast chętnie podejmowano, płynąc z głównym nurtem watykańskim, działania tzw. walki z pedofilią w Kościele. Dzisiaj za sprawą Leona XIV wracamy do pewnej hierarchizacji problemów, do powrotu myśli

o prymacie życia ludzkiego nad życiem środowiska, do przypomnienia o istocie małżeństwa, które nie jest ideałem, ale jest realizacją zamiarów Boga. W tym kontekście niewątpliwie można było oczekiwać zmian pewnych priorytetów i kierunków działań. Można było także oczekiwać tego, że Episkopat będzie chciał prowadzić rzetelną politykę informacyjną, która będzie kreowana zgodnie z duchem prawdy, a nie upodobaniami niektórych ośrodków publicystyki nazywającej się katolicką – ocenia ks. prof. Bortkiewicz.

Świeckie media liberalne broniły ostatnio tezy, że dymisja wieloletniego szefa Katolickiej Agencji Informacyjnej Marcina Przeciszewskiego wpisuje się w tę „konserwatywną” falę w polskim Episkopacie. Wszyscy nasi rozmówcy twierdzą jednak, że teza ta jest całkowicie nieprawdziwa. Przeciszewski odchodzi, ponieważ po 32 latach biskupi chcą spróbować nowego konceptu informacyjnego. Sam był dyrektorem KAI powiązał swoje odejście z tą rzekomo konserwatywną ideą, czyniąc z siebie ofiarę. Jednak taka ocena nie ma żadnego oparcia w rzeczywistości.

„Wojna” zaczęła się po decyzji biskupów, którzy postanowili, że abp Polak nie będzie już kierował zespołem przygotowującym założenia dla komisji ds. wyjaśniania przypadków wykorzystywania seksualnego małoletnich



Natarczy?

Politycy wszystkich opcji nieustannie podnoszą, że najważniejszą sprawą dla Polski jest zapewnienie bezpieczeństwa w sytuacji, gdy tuż obok, na Ukrainie, trwa „pełnoskalowa” wojna, a z sąsiedniej Białorusi wychodzą na nas ataki „hybrydowe” – sterowany przez służby Łukaszenki i Putina napływ migrantów. Warto jednak pokazać, gdzie przebiega linia sporu

Motto: „Z tarczą lub na tarczy” – ta starożytna sentencja oznacza, że wracasz albo ze zwycięstwem (z tarczą – walczący trzymał tarczę w dłoni), albo jako poległy (na tarczy – znoszono go na tarczy z placu boju)



ROMUALD SZEREMIETIEW

Wyduje się, że kwestia bezpieczeństwa jest jedną z nielicznych spraw łączących wszystkich uczestników zajadłych sporów, których doświadczamy, nazywanych nieprawdziwie „wojną polsko-polską” (w Polsce mamy starcie sił patriotycznych realizujących polski interes narodowy z przeciwnikami polskości dążącymi do zbudowanie europejskiego superpaństwa. To nie jest żadna wojna polsko-polska!).

W okresie rządów Zjednoczonej Prawicy (październik 2015–grudzień 2025) z pewnymi kłopotami wypracowano wreszcie koncepcję sił zbrojnych i pol-

skiej obronności. Ustalono, że w okresie pokojowym mamy przeznaczać na obronę co najmniej 3 proc. PKB, a polska armia będzie liczyć 300 tys. żołnierzy. Zdecydowano o formowaniu nowych związków taktycznych oraz pozyskaniu z USA i Korei Południowej dużych ilości najnowocześniejszego uzbrojenia (samolotów, śmigłowców, wyrzutni rakietowych, dział samobieżnych, czołgów i wozów bojowych). Miała powstać potężna armia o dużych zdolnościach ofensywnych, jedna z największych w NATO. Eksperti militarni na Zachodzie pisali, że Polska staje się potęgą wojskową.

Ekonomiści zauważali, że następuje dynamiczny wzrost gospodarczy Polski, co oznacza, że wkrótce będzie ona mocarstwem regionalnym.

ARMIA OFENSYWNA!

Art. 116 pkt 2 Konstytucji RP mówi: „Sejm może podjąć uchwałę o stanie wojny jedynie w razie zbrojnej napaści na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej lub gdy z umów międzynarodowych wynika zobowiązanie do wspólnej obrony przeciwko agresji”. Polskie siły zbrojne służą do obrony granic Rzeczypospolitej, więc ich rola ma być defensywna. Często dodaje się, że siła defensywna/obronna powinna odstraszać potencjalnego agresora. Mago utwierdzać w przekonaniu, że gdyby zaatakował, złamanie polskiej obrony będzie skrajnie trudne i – dostrzegając to – wróg powinien porzucić agresywne zamiary.

Zanim Polska weszła do Sojuszu Północnoatlantyckiego, przyjmowano koncepcję „niezbędnej wystarczalności obronnej”. W 1992 r. uchwalono dwa dokumenty: „Założenia polskiej polityki bezpieczeństwa” oraz „Polityka bezpieczeństwa i strategia obronna Rzeczypospolitej Polskiej”. W razie wybuchu wojny deklarowano możliwie jak najdłuższe stawianie oporu i zadawanie agresorowi maksymalnych strat w celu powstrzymania inwazji, demonstrowania determinacji obronnej i zyskania czasu na reakcję innych państw oraz instytucji międzynarodowych.

Jednym z ważnych elementów miało być przygotowanie warunków funkcjonowania państwa podziemnego, w tym prowadzenia zakrojonych na szeroką skalę działań nieregularnych na terenach zajętych przez agresora. W rzeczywistości jednak nie podjęto żadnych przygotowań w tym zakresie.

W tamtym czasie z gronem współpracowników (Akademia Obrony Narodowej) zgłaszałem potrzebę stworzenia rzeczywistych wojsk obrony terytorialnej – pozostawione po PRL wojska Obrony Terytorium Kraju, będące formacjami budowlanymi (nazywane wojsko „łopata–ziemia–powietrze”), nie spełniały tej funkcji. W 1992 r., gdy w rządzie premiera Jana Olszewskiego kierowałem resortem obrony, podjąłem stosowne prace przygotowawcze, ale obalenie gabinetu w czerwcu 1992 r. („nocna zmiana”) przekreśliło ten zamiar.

Po wejściu do NATO w 1999 r. Polska przyjęła obowiązującą w Sojuszu doktrynę odparcia agresora, zakładającą, że reakcja następuje dopiero w razie napaści. Wówczas siły NATO wykonują kontruderzenie, wypierając agresora z zajętego terytorium NATO-wskiego. To jeszcze bardziej skłaniało, aby polska armia rozwinęła zdolności defensywne. Zwłaszcza że było wiadome, iż wsparcie sił Sojuszu nie nastąpi szybko – optymiści oceniali, że trzeba będzie się bronić samodzielnie przez trzy miesiące, pesymiści mówili o roku. Było oczywiste, że nadal trzeba rozwijać zdolności do samodzielnej obrony.

W 1998 r. objąłem stanowisko sekretarza stanu w MON. W następnych latach zdołałem doprowadzić do utworzenia wojsk obrony terytorialnej i wdrożyć program uzbrajania w artylerię samobieżną (armatohaubica Krab). W podległym mi pionie MON opracowaliśmy plany uzbrojenia w nowoczesne samoloty wielozadaniowe, śmigłowce uderzeniowe i okręty (korwety).

W lipcu 2001 r. zostałem fałszywie oskarżony o korupcję i usunięty z MON. Skasowano wszystkie moje przedsięwzięcia modernizacyjne i zlikwidowano wojska OT. W okresie rządów koalicji PO-PSL zawieszono pobór do wojska i tworzone nieliczną armię zawodową przeznaczoną do misji pokojowych poza granicami Polski. Sformowano wojsko niezdolne do obrony kraju (obrona na linii Wisły).

Agresywna polityka Rosji wobec Europy Wschodniej, w której Kreml postanowił odbudować wpływy imperialne, doprowadziła do zmiany koncepcji obronnej NATO. Sojusz zdecydował, że nie będzie czekać na agresora. „NATO będzie bronić każdego centymetra terytorium Polski i całego terytorium Sojuszu Północnoatlantyckiego” – deklarował sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg po spotkaniu z prezydentem Andrzejem Dudą. NATO-wska obrona nabierała waloru ofensywnego. Powstała wschodnia flanka NATO z bezpośrednim udziałem wojsk USA.

W okresie pierwszej prezydentury Donalda Trumpa w Waszyngtonie uzmysłowiono sobie, że ich główny sojusznicy w Europie – Niemcy i Francja – są nie tylko słabi wojskowo, lecz także nie będą skłonni wspierać USA, wołą bliską współpracę z Rosją (Nord Stream). Nawet na-

paść Rosji na Ukrainę nie zmieniła tego nastawienia. W Berlinie i Paryżu czekali, kiedy Ukraina upadnie.

Polska pod rządami Zjednoczonej Prawicy (ZP), tworząca wspólnotę Trójmorza, okazała się oczekiwanym przez prezydenta Trumpa partnerem Ameryki. Budowana przez rząd ZP potężna armia posiadająca zdolności ofensywne, gwarantująca stabilność w regionie, biorąca pod uwagę interes Polski, a także USA, okazywała się niezbędna. I jest niezbędna, gdy Trump ponownie został prezydentem Stanów Zjednoczonych.

NIEBEZPIECZNA ZMIANA

Po wyborach parlamentarnych w 2023 r. ZP utraciła władzę. 13 grudnia powstał rząd Donalda Tuska. Mimo deklarowanej kontynuacji zamiarów obronnych poprzedników dotychczasowe plany rozbudowy sił zbrojnych, w tym zakupy broni poza Europą, zaczęły być kwestionowane.

Manfred Weber, przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej (do której należą europosłowie PO-PSL), ogłosił: „Musimy być w stanie bronić się niezależnie. Mam już dość ciągłego polegania na Waszyngtonie w kwestii naszego bezpieczeństwa. [...] Musi istnieć obowiązek wspólnego zakupu broni. Nową broń powinniśmy kupować przede wszystkim od europejskich firm. [...] Potrzebujemy wspólnego europejskiego dowództwa, osadzonego w strukturach NATO. Europejski szef sztabu powinien także móc dowodzić zmodernizowanymi armiami narodowymi i jasno określać kwestie zamówień publicznych”. Premier Tusk natychmiast podkreślił, że należy skończyć z amerykańskim „outsourcingiem” w kwestii bezpieczeństwa europejskiego.

W Parlamencie Europejskim przyjęto rezolucję dotyczącą wzmocnienia europejskiej obronności. Potwierdzono stworzenie „autonomii strategicznej” w relacjach z USA. Wykonanie rezolucji oznacza *de facto* stworzenie jakiegoś NATO-bis bez USA. W zakresie Wspólnej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony w głosowaniach dorzucono zasadę jednomyślności, a zatem państwa członkowskie UE tracą realny wpływ na własną obronność. Ta sfera, będąca dotąd wyłączną kompetencją państw członkowskich UE, ma trafić do gremiów unijnych, zwłaszcza Komisji



Europejskiej. Nakazuje się promowanie europejskiej, czyli niemieckiej i francuskiej produkcji uzbrojenia – pozyskiwanie broni spoza UE ma być utrudnione, pod znakiem zapytania staną polskie zakupy w USA i Korei Południowej. Zapowiada się utworzenie Jednolitego Europejskiego Rynku Obronnego pod niemiecką hegemonią, co oznacza osłabienie pozycji przemysłu zbrojeniowego Polski. Ogólnie rezolucja UE promuje konfrontacyjną postawę wobec USA.

Nie ustalono niczego w zakresie poziomu wydatków państw członkowskich UE na obronność. Stwierdzono tylko, że każde państwo unijne będzie przeznaczać 0,25 proc. PKB na... wsparcie Ukrainy! 27 maja br. ministrowie ds. europejskich zatwierdzili program SAFE przewidujący 150 mld euro w pożyczkach na obronność, które mają być wydatkowane do 2030 r. Wypada więc 30 mld euro rocznie, pożyczone i dzielone na 27 państw UE (sic!). Szef MON Kosiniak-Kamysz „wyraził nadzieję”, że Polsce przypadnie 20 proc. z programu SAFE, nawet 120–130 mld zł (ok. 30 mld euro)! Nie wiadomo, na czym opierał swoje nadzieje.

Obecnie w kwestii pozyskiwania uzbrojenia MON opóźnia, ogranicza, a nawet rezygnuje z planowanych zakupów. Niezależne media (na szczęście jeszcze istnieją) ujawniły dokument pochodzący ze Sztabu Generalnego WP, z którego wynika, że kierownictwo resortu planuje – w odniesieniu do dotychczasowej prognozy – ograniczyć o 25 proc. (ponad 57 mld zł) limit wydatków przewidzianych w latach 2025–2027 na realizację Centralnego Planu Rzeczowego. Minister Kosiniak-Kamysz nazwał ujawnione informacje „kłamstwem”.

Bardzo reklamowanym przedsięwzięciem zapewniającym bezpieczeństwo ma być tzw. Tarcza Wschód. 22 maja 2024 r. minister Kosiniak-Kamysz mówił w Sejmie RP: „Podjęliśmy decyzję, aby zainwestować w nasze bezpieczeństwo, a przede

wszystkim w bezpieczną wschodnią granicę 10 mld zł. Rozpoczynamy wielki projekt budowy bezpiecznej granicy, w tym systemu fortyfikacji, a także takiego ukształtowania terenu, decyzji środowiskowych, które spowodują, że ta granica będzie nie do przejścia dla potencjalnego wroga. Te 10 mld zł uruchomiliśmy już w tej chwili. Te prace zaczęliśmy tak, aby granica polska była bezpieczna w czasach pokoju, żeby to była granica nie do przejścia dla przeciwnika w czasie wojny. Nazwaliśmy ten Narodowy Plan Obrony i Odstraszenia kryptonimem »Tarcza Wschód«. To będzie tarcza, która zabezpieczy nas przed potencjalnymi atakami ze wschodu, która przede wszystkim będzie miała za zadanie odstraszyć wroga”.

Premier podkreślił, że należy skończyć z amerykańskim „outsourcingiem” w kwestii bezpieczeństwa europejskiego. Pytanie tylko, czy Niemcy i Francja obronią nas przed Rosją

Od tej zapowiedzi minął ponad rok i 12 czerwca br. wiceszef MON Cezary Tomczyk zaprosił do obiektu wojskowego w Wesołej (dzielnica Warszawy) ambasadorów Komitetu Politycznego i Bezpieczeństwa (Political and Security Committee) Unii Europejskiej. Zaprezentował wybudowany na terenie Warszawy (???) „modelowy odcinek elementów Tarczy Wschód”. Redaktor Stefan Fuglewicz na stronie ZBiAM z widoczną powściągliwością omawiał to, co zaprezentowano: „Warto też zastanowić się, na ile standardowe elementy budowlane mogą być skuteczne i optymalne jako element fortyfikacji. Przy tak wielkiej skali

i budżecie programu „Tarcza Wschód” powinny być raczej opracowane rozwiązania dedykowane – których po roku prac planistyczno-projektowych nadal nie widać”. Ten „modelowy odcinek” wygląda naprawdę żałośnie – prymitywne transeje nakryte siatkami używanymi do ochrony leśnych młodniaków przed sarnami, obłożone przywiezionymi z budowy elementami betonowymi. Do tego marnie chroniące stanowiska dla pojazdów opancerzonych i wadliwie przygotowane stanowiska strzeleckie. Trudno uznać, że takie umocnienia posiadają jakieś liczące się walory obronne!

* * *

W kwietniu 2024 r. Niemcy ogłosili w Warszawie (szef Bundeswehry i ambasador RFN), że przejmują odpowiedzialność za wschodnią flankę NATO. Nie wiadomo, aby ta deklaracja została uzgodniona z USA. Jednocześnie Niemcy blokują fundusze unijne na poprawę zdolności państw wschodniej flanki do szybkiego przerzucenia przez własne terytorium wojsk na zagrożonym kierunku wschodnim. Trudno też wskazać, jakimi siłami Bundeswehra może przejąć flankę wschodnią NATO od US Army.

Jedno jest pewne – Polska pod rządami koalicji 13 grudnia niebezpiecznie zmienia kierunek polityki obronnej. Prezydent Karol Nawrocki powinien utrzymać współpracę z USA. Jeśli jednak koalicja 13 grudnia będzie przy władzy, to nasz kraj może być „wyniesiony na tarczy” z unijnego placu boju o zachowanie suwerenności obronnej.

Zapamiętajmy: suwerenność obronna odnosi się do zdolności państwa do samodzielnego decydowania o swojej polityce obronnej i zapewnienia bezpieczeństwa bez zewnętrznej ingerencji. Obejmuje to m.in. autonomię w podejmowaniu decyzji dotyczących sił zbrojnych, budżetu obronnego, zakupów uzbrojenia i sojuszy wojskowych. Czy mamy być tego pozbawieni? ➤

Deportacje i wywózki, czyli Unia dzieli się bogactwem

Na początek podniesiemy państwu ciśnienie. Po to, by dalej już tylko rośło. Najpierw przedstawimy dane, z których wynika, że problem z nielegalną imigracją w Unii Europejskiej jest wszechogarniający i powszechny. Potem pokażemy, że wobec unijnej niemocy problem ten jest w praktyce nierozwiązywalny



DARIUSZ MATUSZAK

Zacznijmy od spojrzenia z góry, z wysokości wieży Babel, którą wznoszą władcy Europy. Przez ostatnie 10 lat do Unii przedostaje się średnio 500 tys. nielegalnych imigrantów rocznie. Rekordowy był 2015 r., kiedy komunistyczna działaczka z NRD Angela Merkel ich zaprosiła, a Niemcy rozłożyli przed nimi ramiona. Do UE wbiło się ich 1,8 mln. W latach COVID-19 było to ok. 150 tys. rocznie, a teraz, kiedy w domu wszyscy zdrowi, liczby te rosną i sięgają już 400 tys. Co roku „odkrywa się” też 700 tys. – 1,3 mln bezprawnie przebywających w niej przybyszy. To także osoby, które wjechały legalnie, ale skończyło im się prawo pobytu. Ogółem liczbę nielegalnych imigrantów szacuje się na 6–8 mln, przy czym pojęcie „nielegalności” znaczy coraz mniej, bo wystarczy byle dokument zezwalający na czasowy pobyt wydany np. tym, którzy desantowali się ze statku niemieckich przemysłników ludzi we Włoszech, i już stają się legalni.

Co roku do Europy przybywa 2,5–4 mln nielegalnych legalnych imigrantów i tzw. uchodźców. To tak, jakby Unia rok w rok rosła o państwa większe niż Estonia, Łotwa czy Słowenia. Tylko w ciągu ostatnich dwóch lat do UE wbiło się więcej imigrantów spoza Europy niż jest Słowaków, Chorwatów, Słoweńców, Litwinów, Łotyszy, Estończyków, Bułgarów, Maltańczyków, Cypryjczyków, Irlandczyków, Finów, Duńczyków. Od 2015 r. Europie przybyło co najmniej 33 mln imigrantów spoza kontynentu, głównie z Azji i Afryki. Tylko pięć krajów UE – Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania i Polska – ma więcej mieszkańców. Gdyby kilka milionów muzułma-

nów się skrzyknęło i wbiło np. do sielskiej Słowenii, zupełnie jak Wandalowie do Imperium Rzymskiego, i założyło tam kalifat islamski, to Europa nie jest w stanie nic z tym zrobić.

65 proc. Francuzów uważa, że w ciągu 20 lat ojczyzna, jaką znają, upadnie, przestanie być Francją, a 40 proc., że w najbliższym czasie wybuchnie wojna domowa z islamistami. W Belgii aż 90 proc. dzieci rodzi się w rodzinach imigrantów. Przybysze stanowią 70 proc. mieszkańców Brukseli, 50 proc. Amsterdamu, 56 proc. w Hagi i 60 proc. Rotterdamu. Jeśli trendy demograficzne się utrzymają, to do 2050 r. Wielka Brytania stanie się krajem, w którym rdzenna ludność będzie mniejszością.

BOGACTWO UBOGACENIA

A teraz popatrzmy, jak radzimy sobie z tym całym bogactwem multi-kulti. Dane dotyczą różnych krajów i aspektów imigracji oraz pokazują, że problemy ubogacenia są powszechne, systemowe. Majakiem jest mniemanie, iż w przeciwieństwie do innych krajów Polska, gdy otworzy drzwi dla przybyszów, to dzięki swej polityce zintegruje ich i sprawi, że staną się Polakami pełnej krwi, jak urodzony w Szczecinie bokser Izuagbe Ugonoh, którego rodzice pochodzą z Nigerii.

W ciągu 10 lat liczba ataków z użyciem noża wzrosła w Niemczech o 50 proc. Każdego dnia jest ich 120! Liczba napaści seksualnych wzrosła 700 proc. Cudzoziemcy dokonują przestępstw sześć razy częściej niż Niemcy, nawet z uwzględnieniem tych naturalizowanych. 58 proc. skazanych w Szwecji za gwałt urodziło się za granicą. To państwo jest po Albanii drugim krajem Europy w liczbie zabójstw bronią palną.

Od 2002 r. kopulowanie i coś tam jeszcze za pieniądze jest w Niemczech traktowane jak normalny zawód, więc jest tam 250 tys. prostytutek. 70 proc. to cudzoziemki, więc w rozmowie z „Bild” Dorothee Bär, wówczas szefowa frakcji CDU/CSU w Bundestagu, a dziś minister nauki, powiedziała, że „Niemcy stały się burdelem Europy”. W Holandii 44 proc. ubiegających się o prawo pobytu Algierczyków to podejrzani o przestępstwa. Podobnie 33 proc. Marokańczyków i 31 proc. Tunezyjczyków. 76 proc. zatrzymywanych w Barcelonie przestępców to imigranci. W Paryżu – 48 proc. – tak w 2022 r. informował prezydent Emmanuel Macron. Są też sprawcami 77 proc. gwałtów w mieście. Oni też stanowią 30 proc. populacji więźniów we Francji i Włoszech.

Za mało tego ubogacenia, więc dosypmy grosza. Wedle badań Uniwersytetu Amsterdamskiego i Amsterdamskiej Szkoły Ekonomicznej w latach 1995–2019 imigracja spoza Europy kosztowała Holandię średnio 17 mld euro rocznie, a prognozy wskazują na łączne wydatki 600 mld euro w latach 2020–2040. Mowa o kosztach netto. W Niemczech 45 proc. odbiorców zasiłków dla bezrobotnych to imigranci bez niemieckiego obywatelstwa. Tylko ten wydatek to 20 mld euro rocznie. W Austrii 60 proc. pobierających zasiłek gwarantujący minimalne dochody to imigranci, a w samym Wiedniu 68 proc. Wielka Brytania wydaje na bezrobotnych imigrantów 8,5 mld funtów rocznie. To nie uwzględnia utrzymywania tych, którzy starają się o legalizację pobytu. Od 2015 r. tylko na tzw. integrację – a więc bez zasiłków, które należą się już zintegrowanym, czyli

takim, którzy dożywotnio siedzą na bezrobociu albo dostają zasiłek na mieszkanie – Szwecja wydała 19,5 mld euro. W tym czasie Francja wysuwała 220–320 mld euro. Samo rozpatrywanie wniosków o azyl kosztuje rocznie 1,8 mld euro.

Te dane nie obejmują wzrostu czynszów, bo imigranci zajmują lokale, ani liczby betonowych kłoców jak na hitlerowskiej Linii Zygfryda, którymi upiększono europejskie miasta po to, by ludzi nie rozjeżdżano ciężarówkami. Nie pokazują, ile imprez masowych zostało odwołanych, ile basenów, restauracji, biznesów zamknięto, ile domów zmieniono w twierdze. Nie opisują, ile rodzin musiało odmienić swe życie, ile wspólnot z przymusu porzuciło swe obyczaje. To wszystko na oddzielne opowieści.

ALIGATOR ALCATRAZ

Co robić z tym ubogaceniem? Najlepiej się go pozbyć. W tym dziele przykład dał Donald Trump. Tuż po swym zaprzysiężeniu wprowadził stan wyjątkowy na granicy z Meksykiem, kartele narkotykowe zajmujące się też przemytem ludzi uznał za organizacje terrorystyczne, co pozwala na walkę z nimi poza terytorium USA, i wydał ICE (Służba Celna i Imigracyjna) zezwolenie na zatrzymywanie nielegalnych imigrantów w miejscach publicznych. W pierwszym tygodniu urzędowania aresztowano ich 2,4 tys. Z lotnisk zaczęły startować wojskowe herkulesy z deportowanymi na pokładzie. Początki tych akcji opisywaliśmy w pierwszym majowym wydaniu „Sieci” w tekście „Serdecznie żegnamy imigrantów”. Od tamtego czasu Trump otworzył na bagnach Florydy Everglades więzienie, w którym są trzymani najgroźniejsi przestępcy będący imigrantami. Miejsce ma już uroczą nazwę – Aligator Alcatraz, bo jak już uciekniesz z więzienia, to jeszcze musisz wydostać się z bagien w towarzystwie sympatycznych gadów.

Szacuje się, że administracja Trumpa deportuje nawet 2 tys. osób dziennie. W tym tempie w 4 lata będzie to 3 mln. Na pierwszy rzut oka imponujące, ale dalekie od spełnienia zapowiedzi odesłania w rodzinne strony 10 mln.

SZTUKA JEST SZTUKA

A jak to wygląda w moralnej i gospodarczej potędze Europy, czyli Niemczech? Aby to ocenić, mamy do dyspozycji kłamstwa statystyk. Wedle jednych w 2024 r. „wyeksportowały” one 20 tys. imigrantów, z czego 14 do ich krajów pochodzenia, a resztę niby do tranzytowych. Jak znaleźli u kogoś albo podłożyli kwitek z Biedronki i przepchnęli na polską stronę, to mają odhaczone odesłanie w ramach procedury Dublin III. Z tych zakłamanych statystyk wynika, że Niemcy najczęściej pozbywają się Serbów, Macedończyków, Mołdawian itd., bo może myślą, że to obywatele tych krajów są największym problemem. Ale są też inne dane, które wskazują, że w 2024 r. do samej Polski przekazali/przepchnęli ponad 9 tys. osób, z czego większość to Ukraińcy. Tak czy owak, do kwitującego Afganistanu nikogo się nie odesła.

Teoretycznie Niemcy wydały 230 tys. nakazów deportacji czy opuszczenia kraju, ale 80 proc. tych decyzji nie są realizowane. Sama procedura trwa do 4 lat. Np. skazany na wysyłkę może sobie załatwić tzw. Duldung, czyli zawieszenie

deportacji. Ponadto Niemcy wysyłają imigrantów zwykłymi liniami lotniczymi, a nie samolotami wojskowymi, więc te odmawiają transportu. 80 proc. przeznaczonych do deportacji spoza Europy nie ma dokumentów, więc nie wiadomo, gdzie ich wywieźć. Wiadomo, że nie wolno do krajów niebezpiecznych, jak Afganistan. W 2024 r. w Syrii upadł reżim Baszszara al-Asada, w 2025 r. uznano ten kraj za bezpieczny, więc odesłanie tam pierwszego nielegalnego imigranta Austriacy i Niemcy obchodzili jak święto.

Swoje dokładają sądy, także te europejskie. Władze Włoch od lat toczą spory z Sądem Najwyższym, który blokuje deportacje. Ichnia prokurator Wrzosek domagała się sześciu lat więzienia dla Mattea Salvini, który jako wicepremier blokował przyjęcie statku hiszpańskich przemytników ludzi. Po pięciu latach rozpraw polityk został uniewinniony.

Sam Trybunał Praw Człowieka prowadzi tysiące spraw o deportacje i tzw. pushbacki. Szczególnie uwziął się na Grecję, paraliżując odsyłanie imigrantów do Turcji. W maju premier Włoch Giorgia Meloni i Danii Mette Frederiksen zaczęły prowadzić kampanię, by zmienić Europejską Konwencję Praw Człowieka i praktyki Trybunału tak, by wreszcie można było pozbywać się chociaż imigrantów przestępców. List z poparciem podpisało dziewięć państw, w tym Polska. Wśród sygnatariuszy prócz Włoch i nas nie ma dużych krajów, więc pewnie inicjatywa zalegnie w brukselskich szafach.

Jak więc niemieckie władze radzą sobie w wypełnianiu ambitnych celów deportacyjnych, które sobie wyznaczyły i pokazały ludowi, by wciąż głosował na nie, a nie na jakąś AfD? Najlepiej ilustruje to opisana przez „Stern” historia 14-letniej Jemenki, która mieszkała w Pinnebergu. Dziewczynka trzy lata chodziła do szkoły, była wzorową uczennicą i chciała studiować elektrotechnikę. Jednak pewnej nocy do drzwi załomotała policja, zawinęła ją wraz z matką i odesłała do Rumunii, skąd przybyły lata wcześniej.

„Sztuka jest sztuka” – pisał w książce „O prawdzie, o dobru i o pięknie” Victor Cousin, uznając, że ma ona służyć tylko samej sobie, czy pięknu, a nie polityce i ideologiom. Zawołanie to przywoływał w filmie „Kroll” grany przez Bogusława Lindę porucznik Arek. W szyderstwie chodziło jednak o to, że stan osobowy w kompanii musi się zgadzać. I Niemcom też zgadza się w papierkach. 14-latką z Jemenu to taka sama sztuka imigranta co handlarz narkotyków z Gambii. W statystykach deportacji 14-letnia dziewczynka ma dokładnie tę samą wartość co on, a nie trzeba się z nią użerać. Ba, z matką to nawet dwie sztuki imigranta. No i znacznie łatwiej niż bandziora wsadzić do samolotu dziewczynkę, która ma dokumenty, wie, gdzie i kiedy się urodziła oraz jak się nazywa. Nie trzeba badać, skąd pochodzi. Nie zarobiła też tyle, by nająć bandę adwokatów. A przy takim handlarzu z Gambii to jeszcze jego ambasada robi problemy. A po co Gambii narkotykowy diler, niech siedzi w Niemczech.

A WOKÓŁ HALUCYNACJE

Skoro ciężko się pozbyć bogactwa, to trzeba się nim dzielić. Przez lata celowali w tym Francuzi, którzy wywozili imigrantów w Alpy na granicę z Włochami i tam jak bydło gnali na drugą stronę. Coś jak nasi zachodni sąsiedzi na granicy, tyle że w wykonaniu Niemców wygląda to bardziej jak porzucanie gdzieś niepotrzebnego psa. Jak się nie da przepędzić przez most na Odrze, to policyjną budą wywozi się gdzieś na polską stronę i zostawia. Jak wiemy, Niemcy nie mogą liczyć na pomoc Luksemburczyków, Austriaków czy Włochów, którzy odmawiają ładunków, więc składowiskiem staje się Polska.

Od lat kraje europejskie i sama UE starają się też sprzedawać imigrantów. W 2022 r. Wielka Brytania chciała za pieniądze wysłać ich do Rwandy, ale zablokował to Sąd Najwyższy. Potem próbowały to Niemcy i Dania, ale też nic nie wyszło. Unia zapłaciła 6 mld euro Turcji, by ta powstrzymała imigrantów z Bliskiego Wschodu. Ta się wywiązuje, ale traktuje

to też jako środek nacisku na UE i jak się o coś z nią pokłóci, to otwiera granice. Podobny układ ma z Marokiem Hiszpania.

Zawierano też deale z Tunezją. UE obiecywała temu krajowi wielkie pieniądze i pomoc gospodarczą, ale prezydent Kais Saied oznajmił, że jego kraj nie potrzebuje unijnej jałmużny i zerwał rozmowy. 13 września 2023 r., w dniu, w którym Ursula von der Leyen wygłaszała w Parlamencie Europejskim orędzie o stanie Unii i chwaliła się umową z Tunisem, z tunezyjskich plaż w kierunku włoskiej Lampedusy popłynęła armada setek

łodzi. Wtedy padł rekord: na liczącą 5 tys. mieszkańców wysepkę desantowało się 8 tys. imigrantów. Trudno o bardziej wymowny obraz nędzy unijnej polityki migracyjnej.

W skali całej Unii mamy więc do czynienia z rozpaczliwą niemocą. Władcami Europy są ludzie jak chłopci z lotewskich kawałów. Wokół nich tylko śmierć i halucynacje. Gdyby prze-filtrować statystyki dotyczące przerzucania/podrzucania sobie nawzajem imigrantów, wyjąć z nich Ukraińców, Serbów itp., to na oko – zupełnie jak Tuskowi widzą się przepisy prawa – można przyjąć, że kraje UE są w stanie pozbywać się rocznie kilkuset, może kilku tysięcy obcych nam kulturowo imigrantów z Azji i Afryki. Dotychczasowe działania są pozorowane i skrajnie nieudolne. Tak naprawdę jedyny pomysł, jaki mają władcy UE, to nikczemny pakt o przymusowych przesiedleniach, zwany migracyjnym, czyli rozsmarowanie problemu, który narobili, po całej Europie.

Jeśli nie zamkniemy się całkowicie na imigrantów, jeśli będziemy ich przyjmować z jakiegokolwiek powodu – czy to przepędzanych przez Niemców, czy kontraktowanych do roboty przez zagraniczne firmy – to tak jak Zachodnia Europa zafundujemy sobie problemy, które będą nierozwiązywalne i staną się realnym zagrożeniem suwerenności i samej egzystencji Polski.

12 prac Leona XIV

*Lista oczekiwań wobec papieża
wiele mówi o wyzwaniach,
które stoją przed nowym
biskupem Rzymu*



GRZEGORZ GÓRNY

Nie było do tej pory papieża, wobec którego publicznie wyrażano by tyle oczekiwań, co wobec Leona XIV. Dlaczego? Ponieważ Franciszek pozostawił swemu następcy Kościół tak głęboko podzielony i znajdujący się w tak wielkim zamęcie doktrynalnym, moralnym i obyczajowym, jakiego od dawna nie było w historii. Wśród katolików panuje dziś potrzeba zachowania jedności oraz zakończenia stanu niepewności,

chaosu i dezorientacji. Dlatego wobec Leona XIV wysuwane są postulaty, by zrobił porządek i rozwiązał problemy, które w największym stopniu dzielą i bulwersują wiernych na całym świecie. Z katalogu wyzwań stawianych przed papieżem można sporządzić całą listę zadań przypominającą wręcz spis 12 prac Herkulesa.

1. „Fiducia supplicans”

Ogłoszenie w 2023 r. watykańskiej deklaracji „Fiducia supplicans”, zezwalającej na błogosławienie par homoseksualnych przez księży, wywołało głęboki podział nie tylko wśród zwykłych wiernych, lecz także w światowym episkopacie. Stało się to, co zapowiadała Matka Boża podczas objawień w Akicie w 1973 r.: biskupi powstaną przeciwko

biskupom, kardynałowie przeciwko kardynałom. Spośród 114 episkopatów na świecie aż 30 wypowiedziało się przeciw temu dokumentowi, 15 go poparło, a 70 nie zabrało głosu. Ważna była jednak nie tylko skala odrzucenia owej deklaracji, lecz także jej argumentacja. Według zdecydowanej większości hierarchów z Afryki „Fiducia supplicans” jest wręcz aktem antykatolickim i nigdy się nie podpiszą pod takim dokumentem, ponieważ oznaczałoby to dla nich zdradę Chrystusa.

W tej sprawie już trwają naciski na nowego papieża. Kardynałowie, tacy jak Jean-Claude Hollerich czy Viktor Manuel Fernández (obecny prefekt Dykasterii Nauki Wiary), stwierdzili, że Leon XIV z pewnością pozostawi w mocy zapisy „Fiducia supplicans”. Jednocześnie dostojnicy afrykańscy na

czele z kard. Fridolinem Ambongiemi powtarzają, że nie ma ich zgody na obowiązywanie tego dokumentu. Trudno będzie udawać, że problem nie istnieje i unikać decyzji.

2. „Lawendowa mafia”

Nie byłoby kłopotów z „Fiducia supplicans”, gdyby nie wpływy „lawendowej mafii”, czyli gejowskiego lobby w Kościele. Dąży ono do zmiany nauczania katolickiego głównie w trzech obszarach: moralnej akceptacji czynów homoseksualnych, rytualnego błogosławienia par jedнопłciowych oraz przyjmowania zdeklarowanych gejów do seminariów i wyświęcania ich na księży. To środowisko, które zinfiltrowało Kościół od środka, przypomina hydrę z mitologii greckiej, która ma wiele głów, a na miejsce odciętych wyrastają nowe.

Tak charakteryzuje to środowisko ks. Marek Dziewiecki, długoletni krajowy duszpasterz powołań, który zna problem od podszewki: „To perwersyjna struktura zła, zorganizowana w sposób przemysłowy i niemal perfekcyjny w swej przewrotności. To struktura zła dysponująca ogromną władzą, wielkimi pieniędzmi, potężnymi wpływami w środowiskach duchownych i świeckich. To układ, który sam się odtwarza i multiplikuje poprzez wciąganie kolejnych osób w swoje macki. To układ, który dąży do ciągłego poszerzania swojej władzy i terenów swojego panowania. To ludzie bezwzględnie solidarni w złu, którzy gotowi są na każde kłamstwo, na każdą podłość, na każdą formę szantażu, byle tylko zastraszyć, pogrozić, uciszyć każdego, kto ośmieli się ich demaskować czy im się sprzeciwić”.

Sądząc po powyższym opisie, trzeba mieć naprawdę siłę Herkulesa, by rozpocząć batalię przeciwko tej mafii.

3. Seksualni drapieżnicy

Z wpływami „lawendowej mafii” wiąże się tolerancja dla sprawców seksualnych nadużyć w Kościele. O ile za pontyfikatu Franciszka rzeczywiście walczono z czynami pedofilskimi wśród

duchowieństwa, o tyle przymykano oczy na wykorzystywanie osób zwanych „dorosłymi bezradnymi”, czyli takich, które są co prawda pełnoletnie, ale pozostają w relacji podległości lub zależności od swych „drapieżników seksualnych”, dlatego trudniej jest im się bronić przed molestowaniem. Dotyczy to zwłaszcza siostr zakonnych lub kleryków w seminariach.

Sztandarowymi przykładami takiego podejścia są przypadki dwóch przyjaciół Franciszka: bp. Gustava Zanchetty z Argentyny i jezuita ks. Marka Rupnika, nad którymi Stolica Apostolska rozpostarła parasol ochronny. Stało się to źródłem wielkiego zgorszenia w Kościele, dlatego liczni katolicy oczekują od Leona XIV zmiany tej praktyki.

Franciszek pozostawił swemu następcy Kościół tak głęboko podzielony i znajdujący się w tak wielkim zamęcie doktrynalnym, moralnym i obyczajowym, jakiego od dawna nie było w historii

4. „Amoris laetitia”

Drugim dokumentem Franciszka, wobec którego wysuwane są poważne zastrzeżenia, pozostaje adhortacja apostolska „Amoris laetitia” z 2016 r. Jest ona przywoływana przez wielu jako dowód na to, że Stolica Apostolska zgodziła się na przystępowanie do komunii osób rozwiedzionych i utrzymujących relacje seksualne w ponownych związkach. W rzeczywistości we wspomnianym dokumencie nie ma takiego zapisu. Adhortacja została napisana językiem wieloznacznym i podatnym na różne, nawet sprzeczne ze sobą interpretacje. Gdyby papież chciał zrobić porządek w tej sprawie, miałby łatwiejsze zadanie niż w przypadku „Fiducia supplicans”. Nie musiałby zaprzeczać całemu

dokumentowi. Wystarczałyby jedynie wykładnia owej adhortacji nie w duchu rewolucyjnym, lecz zgodnie z odwiecznym nauczaniem Kościoła.

To problem starszy niż pontyfikat Franciszka, jednak obowiązująca w wielu krajach interpretacja „Amoris laetitia” oficjalnie usankcjonowała praktykę dopuszczania do Eucharystii osób współżyjących ze sobą w związkach niesakramentalnych. Mamy więc Kościół, w którym panuje różne, nawzajem wykluczające się rozumienie nierozdzielności małżeństwa, grzechu ciężkiego czy łaski uświęcającej, a granica między nimi często pokrywa się z granicą państwową, np. Polski i Niemiec. To pęknięcie, podważające jedność i powszechność nauczania katolickiego, stanowi przejaw pelzającej schizmy, która od dawna drąży Kościół.

5. „Traditionis custodes”

W 2021 r. Franciszek opublikował list papieski *motu proprio* „Traditionis custodes”, który poważnie ograniczył możliwości sprawowania mszy trydenckiej w Kościele. W ten sposób zniszczony został *pax liturgica*, czyli pokój liturgiczny zaprowadzony przez Benedykta XVI w 2007 r. W wielu miejscach wywołało to napięcia i konflikty między lokalnymi biskupami a środowiskami tradycjonalistycznymi. Ogłaszając swą decyzję, Franciszek powołał się na wyniki ankiety przeprowadzonej w 2020 r. wśród hierarchów z całego świata. Według niego większość z nich domagała się zakazu mszy w tradycyjnym rycie rzymskim. W zeszłym miesiącu ujawniono jednak prawdziwe rezultaty wspomnianej ankiety. W rzeczywistości – wbrew temu, co twierdził Franciszek – zdecydowana większość dostojników popierała rozwiązanie Benedykta XVI i broniła mszy trydenckiej.

Ujawnienie tej informacji z pewnością ułatwi Leonowi XIV dalsze działania. Kard. Raymond Burke już oświadczył, że spodziewa się po nowym papieżu zniesienia restrykcji dotyczących odprawiania mszy przedsoborowej. Opowiada się za tym nie tylko kręgi tradycjonalistyczne, lecz także wiele innych

środowisk katolickich, które uważają, że nie ma sensu wywoływanie sztucznych konfliktów w Kościele i fundowanie sobie na własne życzenie „zimnej wojny religijnej” w sytuacji, gdy przed wierzącymi stoi dziś tak wiele wyzwań.

6. Deklaracja z Abu Zabi

W 2019 r. Franciszek wspólnie z immem uniwersytetu Al-Azhar w Kairze Ahmedem al-Tayebem podpisali dokument o ludzkim braterstwie, zwany deklaracją z Abu Zabi. W tekście znalazło się m.in. kontrowersyjne stwierdzenie, że „pluralizm i różnorodność religii” są „wyrazem mądrej woli Bożej”. Innymi słowy: Bóg pragnie istnienia różnych religii, w tym odrzucających boskość Jezusa (np. islamu), a nawet kultów antychrześcijańskich (np. satanizmu). Wspomniana deklaracja jest oczywiście nie do pogodzenia z całą dotychczasową nauką Kościoła. Nie jest ona jednak oficjalnym dokumentem Kościoła, a jedynie manifestacją poglądów poprzedniego papieża. Nie zobowiązuje więc katolików do niczego, choć nie oznacza, że nie sieje wśród nich zwątpienia i zamętu. Dlatego od Leona XIV oczekuje się, że będzie więcej mówił o jedności i powszechności zbawczej misji Chrystusa.

7. Niemiecka droga synodalna

Szczególnym wyzwaniem dla Stolicy Apostolskiej pozostaje niemiecka droga synodalna, która wysuwa postulaty zarówno zmiany katolickiej nauki moralnej (głównie etyki seksualnej), jak i przekształcenia hierarchicznego ustroju Kościoła. Jak wiadomo, sprawowanie władzy w Kościele od zawsze było powiązane ze święceniami kapłańskimi. Niemcy chcą jednak zerwać tę więź. W tym celu stworzyli nawet nową instytucję, złożoną zarówno z duchownych, jak i świeckich, która miałaby zarządzać Kościołem w ich kraju. To rozwiązanie poparła zdecydowana większość tamtejszych biskupów (tylko sześciu było przeciw).

Tej z ducha protestanckiej rewolucji sprzeciwiał się jeszcze jako prefekt Dykasterii ds. Biskupów kard. Robert Prevost. Teraz jako papież będzie mu-

siał podjąć bardziej stanowcze decyzje, choć część niemieckich aktywistów katolickich grozi wręcz rozłamem i otwartym wypowiedzeniem posłuszeństwa Rzymowi.

8. Proces synodalizacji

Niemiecka droga synodalna jest częścią szerszego procesu synodalizacji Kościoła zainicjowanego przez Franciszka. To proces, który mocno podzielił wspólnotę wiernych, także na poziomie kardynałów. Jedni purpuraci twierdzą, że jest to element konstytutywny Kościoła, inni nie zostawiają na nim suchej nitki, np. Raymond Burke nazwał go „puszką Pandory”, George Pell – „toksycznym koszmarem”, Gerhard Müller – próbą „wrogiego przejęcia Kościoła”, a Joseph Zen podczas ostatniego prekonklawe wezwał swoich kolegów z kolegium kardynalskiego, by raz na zawsze położyli kres synodalizacji.

Spór dotyczy nie tyle samych synodów, które istniały od pierwszych wieków chrześcijaństwa, ile charakteru, jaki starał się nadać im Franciszek. Wielu komentatorów oczekuje, że Leon XIV powróci do tradycyjnego rozumienia tej instytucji oraz jej roli nie jako narzędzia rewolucyjnych zmian w Kościele, lecz ciała doradczego wspomagającego papieża.

9. Umowa z Chinami

Najbardziej kontrowersyjnym posunięciem watykańskiej dyplomacji za pontyfikatu Franciszka było podpisanie w 2018 r. (a potem dwukrotnie przedłużenie) tajnego porozumienia z chińskim rządem. Komuniści zyskali dzięki temu prawo mianowania biskupów, a Stolicy Apostolskiej pozostawili jedynie możliwość weta. Krytycy umowy z kard. Josephem Zenem z Hongkongu na czele uważają, że Rzym poszedł na zbyt duże ustępstwa wobec Pekinu i *de facto* pozostawił tamtejszych „katolików katekumbowych” na łaskę i niełaskę antychrześcijańskiego reżimu. Z jednej strony papiestwo samo dało komunistom olbrzymie możliwości kontrolowania Kościoła, a z drugiej nie uchroniło wiernych przed prześladowaniami, które w ostatnich latach się nasiliły.

10. Opus Dei

W 2023 r. Franciszek podjął decyzję dotyczącą jedynej na świecie pralatury personalnej, czyli Opus Dei. Zmienił dotychczasową definicję pralatury personalnej, pisząc, że powinna być „upodobniona do publicznych stowarzyszeń kleryckich na prawie papieskim z uprawnieniami do inkardynowania duchownych”. Nakazał też zmienić pod tym kątem statuty Opus Dei, co nie było proste, ponieważ zawierały one zapisy sprzeczne z jego wytycznymi. Zadaniem kierownictwa było więc takie dostosowanie swoich norm i reguł do papieskich rozporządzeń, by ocalić charyzmat własnej instytucji. Opracowano zatem projekt nowych statutów, jednak zostały one odrzucone przez Franciszka.

W tej sytuacji Opus Dei znalazło się w stanie zawieszenia między przeszłymi prawami, które już nie obowiązują, a przyszłymi, które jeszcze nie zostały opracowane. Pontyfikat Leona XIV daje nadzieję na wyjście z tego impasu.

11. Finanse Watykanu

Część publicystów uważa, że instytucje finansowe Watykanu wymagają oczyszczenia niczym stajnia Augiasza. Niezależnie od ich stanu, jedno jest pewne – Stolica Apostolska ma deficyt budżetowy, który stale się powiększa: w 2022 r. wynosił 38 mln euro, a w 2024 r. już 83 mln euro.

Głównym powodem rosnącej dziury w budżecie jest zmniejszająca się liczba darowizn od wiernych ze świata. Zmalała zwłaszcza hojność tych, którzy do tej pory byli największymi darczyńcami, czyli konserwatywnych katolików z USA. Przestali oni przekazywać datki dla Watykanu, ponieważ stracili zaufanie do Franciszka. Amerykański papież, który nie epatuje lewicowością, ma szansę to naprawić.

12. Nominacje

By zrealizować swój program, papież musi się oprzeć na sprawdzonych i zaufanych współpracownikach. Nie zrobi tego z takimi ludźmi, jak kard. Viktor Manuel Fernández, bp Marcelo Sánchez Sorondo czy Paolo Ruffini. Potrzeba mądrych nominacji.



Krucha relacja

Zdaniem niemieckich mediów kanclerz Friedrich Merz i prezydent Francji Emmanuel Macron to „dość dobrzy przyjaciele”. Czego nie można powiedzieć o relacji Merza z polskim premierem, który dla jego rywalki Angeli Merkel był przecież „drogim Donaldem”



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

On nazywał ją „drogą Angelą”, ona jego „drogim Donaldem” – była kanclerz Niemiec i polski premier dobrze się dogadywali. Donald Tusk powiedział kiedyś w wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel”, że „nie potrafi się gniewać na Angelę Merkel”. Za pierwszych rządów PO-PSL niemieckie media nazywały relacje między niemiecką

kanclerz a polskim premierem „prawdziwą przyjaźnią”. Rzecz dość rzadka w politycznym biznesie. Szczególnie na poziomie międzynarodowym. To ona miała mu załatwić w 2014 r. stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej.

W książce Annette Schavan „Wysoka sztuka polityki”, która ukazała się w 2021 r., po przejściu Angeli Merkel na polityczną emeryturę, Donald Tusk napisał kilka stron o roli niemieckiej kanclerz na arenie międzynarodowej. Według niego była „czułą narratorką polityki europejskiej”. Ponadto oboje byli do siebie podobni. Prof. Gertrud Höhler w swojej książce „Matka chrzestna. Jak Angela Merkel przebudowuje Niemcy” pisała o pani kanclerz,

że jest klasycznym „postpolitykiem” pozbawionym idei, wartości i moralnego kompasu. Zupełnie jak Tusk, który serwował i wciąż próbuje serwować Polakom ciepłą wodę w kranie. Jesteśmy fajni, uśmiechamy się, wszyscy w Europie nas lubią. A to uznanie europejskie miały nam załatwić m.in. Niemcy.

POWRÓT MERZA

Ale Angela Merkel już dawno nie steruje niemiecką polityką. W kanclerskim fotelu zastąpił ją najpierw Olaf Scholz, bezbarwny polityk SPD, a następnie Friedrich Merz, chadek oraz polityczny konkurent „drogiej Angeli”. 24 lata rywalizacji, 24 lata niechęci i żadnego pojednania na horyzoncie. Na początku XXI w. ówczesna przewodnicząca CDU odsunęła Merza na boczny tor, wzmacniając w ten sposób swoją władzę w partii. Przez wiele lat był zmuszony obserwować jej drogę na szczyt, podczas gdy sam całkowicie wypadł z polityki. Poszedł do biznesu, gdzie przez lata dorobił się astronomicznego majątku.

Gdy Merkel ogłosiła swoje odejście, zwierzył szansę na powrót. Trzykrotnie kandydował na przewodniczącego partii, dwukrotnie ponosząc porażkę. W końcu się udało i po wygranych wyborach do Bundestagu jest dziś kanclerzem. Jeszcze podczas kampanii wyborczej na jesieni 2024 r. Merkel miała próbować storpedować jego kandydaturę na kanclerza za pomocą wpływów, które wciąż ma w partii. Merz reprezentuje konserwatywne skrzydło CDU, czyli tę część ugrupowania, która osłabła za czasów Merkel, gdy przesuwała ona chadecję w kierunku centrum. Merz chciałby ją znów delikatnie przesunąć w prawo, np. w kwestii polityki migracyjnej. Celowo dystansuje się przy tym od kursu byłej kanclerz. Ta zresztą nie szczędzi mu krytyki. W filmie dokumentalnym stacji WDR Merkel w rozmowie z tzw. uchodźcami z Syrii i Afganistanu powiedziała: „Jeśli ktoś ubiega się o azyl na granicy z Niemcami, musi najpierw przejść procedurę – na samej granicy, jeśli chcecie, ale procedurę”. Była kanclerz jasno dała do zrozumienia, że uważa restrykcyjną politykę Merza i jego ministra spraw wewnętrznych Alexandra Dobrindta

za zasadniczo błędną. Kanclerz zareagował chłodno. „Każdy musi sam zdecydować, czy zabrać głos po odejściu z urzędu” – powiedział w programie „Maischberger” w ARD.

Polityka migracyjna Merza przysparza niemało kłopotów także Donaldowi Tuskowi. Przerzucanie migrantów przez Niemcy do Polski nie podoba się Polakom, w tym części zwolenników obecnej koalicji rządzącej. Pojawienie się obrońców granic z Robertem Bąkiewiczem na czele zniweczyło ponadto nadzieje na dyskretne załatwienie sprawy. Z kolei kanclerz Merz wprawdzie jest z siostrzanej partii wobec PO, czyli CDU, ale ma zapewne świadomość bliskiej więzi Tuska z Merkel i raczej nie darzy polskiego premiera wielkim zaufaniem. Jak podkreślił Robert Winnicki, były prezes Ruchu Narodowego, na antenie Radia Wnet: „W USA rządzi Trump, i to przez następne lata, a w Berlinie polityk, który przez Merkel był sekowany”.

SERDECZNIE W PARYŻU, OSCHLE W WARSZAWIE

Merz wprawdzie ogłosił, że chce odbudować Trójkąt Weimarski, nadać mu nowe życie, ale jeśli wierzyć niemieckim mediom ożywienie relacji na razie wychodzi mu w miarę dobrze tylko na odcinku francuskim. Podczas wizyty w Pałacu Elizejskim w maju „prezydent Emmanuel Macron przytulał go i klepał po ramieniu tak mocno, że było to słychać aż na dziedzińcu pałacu. [...] Oto piękne zdjęcie Niemca i Francuza, ciepło zwróconych ku sobie” – pisał nieco sentymentalnie dziennik „taz”.

Według gazety trochę inaczej wyglądało spotkanie z Donaldem Tuskiem w Warszawie. „Nie został przyjęty tak ciepło jak w Paryżu. Po przyjęciu zamiast uścisków nastąpił raczej powściągliwy uścisk dłoni” – czytamy. Pytany przez dziennikarzy, co dalej z kontrolami granicznymi, Merz odpowiedział chłodno: „Będziemy przeprowadzać je w sposób akceptowalny dla naszych sąsiadów”. Na koniec polski dziennikarz zapytał Tuska, czy kontrole graniczne nie są jednak lepsze niż udział AfD w rządzie za Odrą. „AfD to pana problem, panie kanclerzu”

– odparł Tusk. „Mam tu swoją AfD, robimy, co możemy” – dodał.

Można oczywiście założyć, że zbyt serdeczne powitanie Merza nie było w interesie Tuska. W końcu polski premier stara się zatrzeć wrażenie, że jest pionkiem na niemieckiej szachownicy. Musiał pokazać, że polityka Berlina jest mu nie w smak, szczególnie że spotkanie z kanclerzem odbyło się jeszcze przed I turą wyborów prezydenckich, w których kandydat Koalicji Obywatelskiej Rafał Trzaskowski starał się udawać polityka z lekką konserwatywnego. Według niemieckiej prasy Merz nie chciał „zaszkodzić Tuskowi”, ale także niewiele miał mu do zaoferowania. Z punktu widzenia Berlina zwrot w polityce migracyjnej okazał się skuteczny:

Na razie relacje Merza i Tuska to dla polskiego premiera niezbyt udana podróż do Kijowa, spór o migrantów oraz nieszczęsny, prowizoryczny kamień pamięci dla polskich ofiar III Rzeszy w Berlinie, na którego odsłonięcie nie pofatygował się żaden z nich

w pierwszym półroczu liczba wniosków o azyl spadła o 43 proc., ponadto w ten sposób kanclerz spełnia swoją najważniejszą obietnicę wyborczą.

TUSK NA DOCZEPKĘ

Kanclerz jest inny, ale czasy też. Niestabilne. Merkantylistyczny model polityki Merkel bazujący na eksporcie i tanich surowcach z Rosji upadł, a Merz nie ukrywał w kampanii, że zamierza wprowadzić strategię „Germany First”. Na każdym odcinku.

„Donald Tusk już się o tym przekonał, siedząc nie w tym wagonie, co trzeba w drodze do Kijowa na osobiste życzenie

pana kanclerza Merza” – uważa Robert Winnicki. Rzeczywiście – polski premier, jadąc 12 maja do Kijowa, podróżował w innym wagonie niż Merz, Macron oraz premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer. Według polskiego MSZ taką decyzję podjęła strona ukraińska, niemniej wydaje się to co najmniej dziwne. Przywódcy trzech państw, które chcą decydować o przyszłości Ukrainy, a na doczepkę Donald Tusk. W sumie niepotrzebny, ale wypadło go zabrać. Czy tak rzeczywiście zdecydował Merz? Niestety nie znamy odpowiedzi na to pytanie. Na nagraniu przywódców stojących na peronie widać, jak Merz pokazuje Tuskowi gestem, by wszedł do pociągu, podczas gdy on dalej stoi na peronie i rozmawia ze Starmerem.

Relacje polsko-niemieckie, które Merz chciał „wnieść na nowy poziom” po latach rządów Olafa Scholza, któremu z Tuskiem nie było po drodze, nadal stoją w miejscu. Polska strona nie formułuje żadnych wyraźnych oczekiwań wobec Berlina, a Niemcom najwyraźniej o wiele mniej zależy na tych relacjach, niż deklarują. W końcu skoro nie ma żądań, nie ma się też do czego odnieść.

Na razie relacje Merza i Tuska to dla polskiego premiera niezbyt udana podróż do Kijowa, spór o migrantów oraz nieszczęsny prowizoryczny kamień pamięci dla polskich ofiar III Rzeszy w Berlinie, na którego odsłonięcie nie pofatygował się żaden z nich. Scholz, będąc w Warszawie, miał obiecać fundusz dla wciąż żyjących polskich ofiar niemieckiej okupacji, ale tego nie zrobił. Tyle że jak na razie Merz też nie. Reparacje są dla niego – podobnie jak dla jego poprzednika – tematem „zamkniętym”. Może zmienił się styl rządzenia w Berlinie, ale zawartość jest ta sama. Merz nie chce szkodzić Tuskowi, ale pomagać – też niekoniecznie. Z polskim premierem nie łączy go żadna szczególna więź, jaka łączyła Tuska z Merkel, a jednocześnie nie stanowi on dla niego jakiegos wyzwania. Według „Augsburger Allgemeine” Merz i Macron to „dość dobrzy przyjaciele”. A Merz i Tusk? Konia z rzędem temu, kto potrafi odpowiedzieć na to pytanie. 

Co zamach na Hitlera mówi nam o Niemcach w czasie wojny?

20 lipca 1944 r. grupa oficerów Wehrmachtu pod przywództwem Clausa von Stauffenberga przeprowadziła w Wilczym Szańcu nieudany zamach na Adolfa Hitlera. Chociaż dzisiaj romantyzowany, nie przyniósł on żadnego ze spodziewanych rezultatów, a jedynie wzmocnił III Rzeszę i samego führera



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

W samym sercu mazurskich lasów, nieopodal wsi Gierłoż, znajduje się jeden z najbardziej tajemniczych i pilnie strzeżonych kompleksów wojskowych II wojny światowej – Wolfsschanze, czyli Wilczy Szaniec. Główna kwatera Adolfa Hitlera na froncie wschodnim została zbudowana z betonu, stali i ukryta między drzewami tak, by pozostać niewidoczną z powietrza. Miejsce to było otoczone polem minowym i strzeżone przez tysiące żołnierzy.

Wilczy Szaniec był nie tylko siedzibą wodza III Rzeszy (który spędził tam większość wojny), lecz także punktem

zbornym dla jego najbliższych współpracowników, generałów i doradców. To tam zapadały najważniejsze decyzje związane z przebiegiem wojny. Każdy, kto chciał się zbliżyć do führera, musiał przejść przez ścisły system zabezpieczeń: kontrole osobiste, eskorty i wieloetapową weryfikację. Ale to właśnie tam Claus von Stauffenberg zamierzał zabić Adolfa Hitlera.

NIEMCY OTOCZONE

W lipcu 1944 r. III Rzesza znajdowała się w ekstremalnie trudnej sytuacji. Choć

propaganda wciąż głosiła zwycięstwo, rzeczywistość była brutalna: Niemcy ponosiły ciężkie klęski na wszystkich odcinkach walk. Front wschodni załamał się po sowieckiej ofensywie w wyniku trwającej wówczas operacji „Bagration”. Armia Czerwona zmiotła niemiecką Grupę Armii „Środek” i zbliżała się do granic Prus Wschodnich. Na Zachodzie alianci po udanym lądowaniu w Normandii parli w głąb Francji. Luftwaffe była osłabiona, niemiecki przemysł bombardowany, a Wehrmacht coraz bardziej wyczerpany.

Społeczeństwo cierpiało z powodu głodu, nalotów i braku perspektyw. Coraz więcej Niemców zaczynało wątpić w zwycięstwo głoszone przez Goebbelsa, chociaż mało kto potrafił sobie wyobrazić klęskę Wehrmachtu. Hitler cały czas silną ręką trzymał władzę w kraju dzięki systemowi bazującemu na strachu, lojalności i fanatyzmie. Ale wśród części wojskowej i urzędniczej elity narastała frustracja wynikająca z pogarszającej się sytuacji Niemiec. To właśnie w tej atmosferze, czyli niezgody na katastrofalne skutki decyzji

Nieudany zamach na Adolfa Hitlera w Wilczym Szańcu



führera, dojrzał przygotowany przez garstkę ludzi plan zamachu, który miał odmienić oblicze wojny.

ARYSTOKRATA, INWALIDA, KONSPIRATOR

Claus von Stauffenberg był oficerem Wehrmachtu. Pochodził z arystokratycznej rodziny o głębokich tradycjach wojskowych i patriotycznych. Urodził się w 1907 r. w Bawarii. Jak wielu innych konserwatywnych oficerów, był sceptyczny wobec Republiki Weimarskiej i z sympatią patrzył na odbudowę potęgi Niemiec. Dziś trudno jednoznacznie określić jego poglądy. Zdaniem historyków nie był zdeklarowanym nazistą, chociaż w wyborach prezydenckich 1932 r. poparł Hitlera. Bez wątpienia był dumny ze zwycięstw Wehrmachtu na początku II wojny światowej. Nie tylko brał udział w napaści na Polskę w 1939 r., lecz także w pełni popierał rozszerzenie niemieckich wpływów na Wschodzie.

Jego ocena władz III Rzeszy zaczęła się zmieniać wraz z niepowodzeniami na

froncie wschodnim. Dlaczego? Bo Hitler coraz bardziej przypominał obląkanego dowódcę, który nie potrafi dostrzec własnych błędów i jest przeświadczony o genialności swoich planów. Stauffenberg pracujący przy Sztabie Generalnym z coraz większym niepokojem patrzył na przyszłość Niemiec. Podobno sprzeciwiał się także bezprawnym działaniom wobec ludności cywilnej i zbrodniom popełnianym przez SS i Einsatzgruppen. Miał nawiązać kontakt ze spiskowcami między 1942 a 1943 r.

Na początku 1943 r. Claus von Stauffenberg został przeniesiony do Afryki, gdzie w wyniku alianckiego nalotu stracił oko, prawą dłoń i kilka palców lewej ręki. Pomimo kalectwa po rekonwalescencji wrócił do aktywnej służby. Wtedy wraz z grupą oficerów rozpoczął planowanie zamachu na Hitlera.

GRUPA SPISKOWCÓW

Już od początku wojny niektórzy oficerowie, tacy jak generałowie Ludwig Beck, Carl Goerdeler, Henning von Tresckow, kwestionowali zarówno politykę wojenną Führera, jak i coraz bardziej brutalny, bezwzględny charakter systemu nazistowskiego. Przyszli zamachowcy nie tworzyli jednorodnej grupy. Łączył ich sprzeciw wobec Hitlera, ale różnili się co do wizji przyszłych Niemiec. Jedni opowiadali się za przywróceniem monarchii konstytucyjnej, inni chcieli republiki demokratycznej bazującej na wartościach chrześcijańskich. Niektórzy konspiratorzy byli dawnymi sympatykami nazizmu lub konserwatywnego autorytaryzmu – ich sprzeciw pozostawał więc motywowany raczej pragmatyzmem niż humanizmem. Wielu miało świadomość zbrodni popełnianych przez reżim, zwłaszcza Holokaustu, choć nie wszyscy potępiali eksterminację Żydów.

Początkowo planowano zastrzelenie Hitlera, otrucie, a nawet zamach bombowy na jego życie. Te próby nie doszły do skutku z powodów technicznych lub innych wydarzeń losowych. Przełom nastąpił w 1944 r., kiedy do grupy spiskowców dołączył płk Stauffenberg. W tym samym roku został on mianowany szefem sztabu Armii Rezerwowej. Dzięki temu uczestniczył w niektórych narađach z Führerem w Wilczym Szańcu.

Bezpośredni dostęp do Hitlera oraz charyzma zdecydowanego dowódcy czyniły go idealnym kandydatem do przeprowadzenia tej desperackiej misji.

Spiskowcy, działając w ramach Wehrmachtu oraz cywilnych struktur opozycyjnych, opracowali dokładny plan eliminacji Hitlera i przejęcia władzy przy pomocy legalnych procedur wojskowych. Szczególną rolę w powstaniu całej koncepcji działania odegrał gen. Tresckow. Dokumenty przygotowywała jego żona i sekretarka, a plan wkrótce trafił do kręgu oficerów zmęczonych reżimem. Kluczowym narzędziem miała być operacja „Walkiria” – oficjalny plan użycia Armii Rezerwowej na wypadek zamieszek lub sabotażu wewnętrznego. Oryginalnie stworzona przez samego Hitlera miała służyć do tłumienia ewentualnych buntów ludności lub ataków aliantów od wewnątrz. Spiskowcy planowali jednak przejąć ten plan i wykorzystać go przeciwko reżimowi.

PRZEJĘCIE WŁADZY I CO DALEJ?

Zamierzano zabić Hitlera, po czym natychmiast wprowadzić stan wyjątkowy i za pomocą sił Armii Rezerwowej opanować kluczowe instytucje w Berlinie: ministerstwa, radio, posterunki SS i Gestapo. Armia miała dostać rozkaz aresztowania „spiskowców partyjnych”, czyli rzeczywistych funkcjonariuszy reżimu. Następnie zostałby ustanowiony nowy rząd III Rzeszy. Konspiratorzy liczyli na to, że wielu oficerów, choć dotąd lojalnych wobec Führera, po jego śmierci nie będzie skłonnych walczyć za partię NSDAP, jeśli dowództwo wojskowe i cywilne ogłoszą nowe kierownictwo państwa. Plan ten zakładał błyskawiczne działanie – sukces był możliwy tylko wtedy, gdyby w krótkim czasie udało się sparaliżować aparat SS i przejąć kontrolę nad Berlinem.

Często się powtarza, że celem spiskowców było zakończenie wojny i pokój z aliantami. Rzeczywistość była jednak bardziej złożona. Niektórzy, jak Goerdeler czy Beck, rzeczywiście widzieli szansę w rozmowach pokojowych z Zachodem i szybkim zakończeniu rozlewu krwi. Inni, szczególnie wyżsi oficerowie, nie zamierzali oddać wszystkiego, co Niemcy zdobyły. Wielu z nich popierało ideę strefy wpływów na



Fot. Muzeum II Wojny Światowej

Wschodzie, a nawet utrzymania części terytoriów okupowanych, które nadal były pod kontrolą Wehrmachtu. Odsunięcie Hitlera miało w tym przypadku umożliwić dogadanie się z Brytyjczykami i Amerykanami, zanim Związek Sowiecki zajmie przedwojenne tereny III Rzeszy. Dla wielu uczestników spisku wojna nie była zła sama w sobie – problem była jej nieudolna realizacja, a co za tym idzie, skazanie kraju na całkowitą klęskę. Chcieli uratować Niemcy przed zagładą i okupacją sowiecką.

DWIE BOMBY

20 lipca 1944 r. Stauffenberg wraz ze swoim adiutantem Wernerem von Haeftenem udał się do Wilczego Szańca. W teczce miał dwie bomby, lecz zdołał uzbroić tylko jedną – ze względu na swoje kalectwo potrzebował pomocy w uzbrajaniu zapalnika, przez co na obie zabrakło mu czasu. Podczas narady z udziałem Hitlera teczka z bombą została umieszczona pod stołem w sali konferencyjnej, możliwie blisko wodza, a Stauffenberg opuścił pomieszczenie pod pretekstem rozmowy telefonicznej. O godz. 12.42 nastąpił wybuch. Zginęły cztery osoby, kilkanaście zostało rannych. Hitler jednak przeżył, odniósł jedynie lekkie obrażenia. Stało się tak dlatego, że ciężki drewniany stół osłabił falę uderzeniową, a teczka została przypadkowo przestawiona przez jednego z uczestników narady. Jeszcze tego samego dnia führer był w stanie przyjąć w Wilczym Szańcu Benita Mussoliniego.

Stauffenberg, przekonany, że Hitler nie żyje, natychmiast wrócił do Berlina, aby rozpocząć drugą część zamachu: uruchomienie operacji „Walkiria”. Początkowo wydawało się, że plan się powiedzie. Część oddziałów zajęła pozycje, urzędnicy zaczęli otrzymywać rozkazy, SS w Berlinie zostało częściowo sparaliżowane. Do stolicy Niemiec szybko nadeszła jednak wiadomość, że führer żyje.

MOCNE POPARCIE

Mimo obrażeń Hitler – prócz spotkania z Mussolinim – wieczorem tego samego dnia wystąpił w radiu, by zapewnić Niem-

ców oswym „cudownym” wyjściu z opresji i zapowiedzieć zemstę. Wtedy wszystko się załamało. Dowódcy zaczęli się wycofywać, a oficerowie, którzy mogli przechylić szalę zwycięstwa na rzecz spiskowców, na powrót stali się lojalni wobec reżimu. Gestapo i SS natychmiast rozpoczęły aresztowania – nie tylko głównych konspiratorów, lecz także ich rodzin, znajomych, współpracowników, a nawet osób jedynie podejrzanych o sympatie opozycyjne.

Prasa i propaganda przedstawiała spiskowców jako „zdrajców narodu”, tchórzów i narzędzia „sił żydowsko-bolszewickich”. Niemieckie społeczeństwo zareagowało na te wydarzenia jeszcze większym niż

Niemieckie społeczeństwo zareagowało na zamach w Wilczym Szańcu jeszcze większym niż dotychczas... poparciem dla Adolfa Hitlera. W całym kraju organizowano wielkie wiece poparcia dla władz, na które ludzie często przychodzili spontanicznie i ze łzami w oczach

dotychczas... poparciem dla Adolfa Hitlera. Agenci Służby Bezpieczeństwa Reichsführera SS pisali: „Wszystkie raporty wskazują, że doniesienia o tym zdarzeniu wywołały skrajnie silne odczucia wstrząsu, przerażenia, wzburzenia i wściekłości”. W całym kraju organizowano wielkie wiece poparcia dla władz, na które ludzie często przychodzili spontanicznie i ze łzami w oczach. Z kolei cenzorzy donosili o dużej liczbie wyrazów wdzięczności w listach przesyłanych na front i z frontu. Powszechne poparcie dla wodza III Rzeszy odnotowywali nawet alianci. Z sondaży przeprowadzanych w obozach jenieckich wynikało, że ponad dwie trzecie pojmanych żołnierzy Wehrmachtu deklarowało wiarę w Hitlera, i to mocniej niż do tej pory.

Władze III Rzeszy wykorzystały próbę zamachu, by jeszcze bardziej zacieśnić kontrolę, wywołać nową falę przysięg lojalnościowych i eliminować przeciwników politycznych. Miały pełną akceptację społeczną.

STRZAŁY I STRUNY

W nocy z 20 na 21 lipca 1944 r. Claus von Stauffenberg oraz jego towarzysze (m.in. Olbricht i von Haeften) zostali rozstrzelani na dziedzińcu Kwatery Głównej w Berlinie. Gen. Tresckow popełnił samobójstwo, aby uniknąć aresztowania. W następnych tygodniach rozpoczęły się brutalne procesy pokazowe przed Trybunałem Ludowym pod przewodnictwem Rolanda Freislera. Większość konspiratorów została powieszona na strunach fortepianowych. Straceńców często filmowano dla Hitlera, który kazał dokumentować ich agonię. Rodziny spiskowców aresztowano – dzieci trafiały do domów dziecka z fałszywą tożsamością, majątki konfiskowano. Ostatecznie liczba ofiar represji po zamachu sięgnęła ok. 7 tys. osób.

Z czasem Hitler coraz bardziej tracił kontakt z rzeczywistością, wydając rozkazy niemożliwe do wykonania. Niemcy cofały się na wszystkich frontach, a alianci bombardowali miasta. Mimo coraz bardziej tragicznej sytuacji III Rzesza istniała po nieudanym zamachu jeszcze niemal rok. W marcu 1945 r. ruszyła ofensywa w kierunku Berlina.

Nawet w obliczu całkowitej klęski Hitler odmawiał kapitulacji. W kwietniu 1945 r. zamknięty w berlińskim bunkrze popełnił samobójstwo. Dopiero wtedy reżim upadł.

Zamach z 20 lipca 1944 r. jest opisywany jako symbol buntu Niemców wobec polityki Adolfa Hitlera. Dzisiaj jego uczestnicy często są ukazywani jako bohaterowie, mimo iż ich pobudki nie były jednoznaczne. Większości spiskowców nie przeszkadzał kierunek polityki wyznaczany przez Adolfa Hitlera, tylko jego realizacja. Priorytetem nie była sprawiedliwość, odnowa Niemiec, lecz ocalenie III Rzeszy przed całkowitą klęską. Gdyby zamachowcy odnieśli sukces, niekoniecznie zbudowałiby nowe, wolne i demokratyczne państwo. Możliwe, że nie zakończyliby nawet wojny.



Wspólna droga do Wenecji

Już siedem razy spotykali się na planie. Toni Servillo [z prawej], i Paolo Sorrentino. Aktor i filmowiec. Od 25 lat, czyli od pełnometrażowego debiutu Sorrentina, często razem opowiadają ekranowe historie. Z najnowszą, „La Grazia”, wrócą do Wenecji



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Dzieli ich tylko dekada (Servillo skończył 66 lat, Sorrentino – 55), ale nie bez powodu w najbardziej osobistym filmie „To była ręka Boga” (2021) właśnie Servillo zagrał ojca głównego bohatera. To dowód wiary i zaufania.

TERAPIA Z OJCEM

Sorrentino twierdzi, że wszystkie jego dotychczasowe filmy zawierały ukryty pierwiastek autobiograficzny, ale decyzję stworzenia utworu w całości bazującego na osobistych doświadczeniach odwlekał do 50. urodzin: „Zdałem sobie wówczas sprawę, że wciąż zmagam się z problemami, z którymi zmagalem się 35 lat temu” – mówił w rozmowie z portalem Filmweb. „Nadal jestem niestabilny emocjonalnie, łatwo wpadam w gniew. Miałem nadzieję, że ten film stanie się dla mnie formą terapii”.

16-letni bohater filmu „To była ręka Boga” (2021) jest alter ego chłopaka sprzed lat, który doświadczył rodzinnej tragedii. W jednym momencie stracił i matkę, i ojca – umarli w wypadku w jego własnym domu, w wyniku zezadzenia.

„Odkąd tylko pamiętam, Sorrentino oznajmiał mi, że to ja zagram jego ojca” – mówił Toni Servillo przy okazji premiery „To była ręka Boga”, wtedy szóstego w ich wspólnym ekranowym i życiowym doświadczeniu, bo niezwykle duet tworzą od ćwierćwiecza.

O JEDNEGO WIĘCEJ

Po raz pierwszy spotkali się przy pełnometrażowym debiucie reżysera – „O jednego więcej” z 2001 r., którego światowa premiera odbyła się na festiwalu w Wenecji. I choć Servillo ma na koncie głośne role w filmach niereżyserowanych przez Sorrentino – takich jak mafijna w klimacie „Gomorra” czy rozgrywający się w medialnym świecie



„Król śmiechu” – to właśnie „Skutki miłości” (2004), „Boski” (filmowy portret Giulia Andreottiego, 2008), oscarowe „Wielkie piękno” (2013), dwuczęściowy, przemontowany na jedną kinową całość, szeroko omawiany film „Oni” (o Silviu Berlusconi, 2018) i wspomniana „To była ręka Boga” przyniosły mu największą sławę. Oraz szansę odebrania w 2014 r. – wraz z reżyserem – statuetki Złotego Rycerza dla najlepszej produkcji nieanglojęzycznej.

CZEKAJĄC NA „ŁASKĘ”

W „La Grazia” Servillo znów wkracza na włoską scenę polityczną, tym razem wcielając się w postać fikcyjnego prezydenta Italii, który musi podjąć decyzję o ulaskawieniu i tym samym zmierzyć się z osobistym moralnym dylematem.

Film zostanie pokazany na otwarciu tegorocznego MFF w Wenecji. Dyrektor artystyczny festiwalu Alberto Barbera podkreśla, że to bardzo wyczekiwany obraz twórcy, którego kariera rozpoczęła się właśnie w Wenecji. Najnowsze dzieło Paola Sorrentina uznaje za film „niezwykle oryginalny, o zdecydowanie współczesnym wydźwięku”.

Polskim dystrybutorem „La Grazia” jest Gutek Film. Na premierę musimy jednak poczekać do 2026 r. Tymczasem teraz Toniego Servillo możemy oglądać w „Wielkim pięknie”, przywróconym na duże ekrany przez Stowarzyszenie Kin Studyjnych. W repertuarze można też znaleźć poprzedni film Paola Sorrentina (bez Servillo) – „Bogini Partenope”.

MİŁOŚNIK POLSKIEJ KULTURY

W wywiadzie udzielonym kilka lat temu PAP Servillo deklarował się jako „miłośnik polskiej kultury”, zwłaszcza kina.

„Głęboko kocham polskie kino. Czuję się jego dłużnikiem” – mówił, zaznaczając jednocześnie, że (także jako człowiek teatru) miał „szczęście oraz radość zobaczenia zarówno filmów, jak i spektakli Andrzeja Wajdy. [...] Widziałem te sztuki teatralne we Włoszech, bo tu z nimi przyjeżdżał. Dzięki temu oglądałem też jego nadzwyczajnych aktorów, z którymi pracował i w teatrze, i w kinie” – wspominał aktor.

Wśród dziesięciu największych reżyserów w historii kina, wymieniał też Krzysztofa Kieślowskiego. Mówił, że ceni twórczość Romana Polańskiego i „miał przyjemność poznać znakomitego reżysera Pawła Pawlikowskiego”, kiedy pojechał do Warszawy ze spektaklem teatralnym.

Aktor z podziwem wypowiadał się o twórczości Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, którego opowiadanie „Podzwonne dla dzwonnika” odczytał swego czasu w neapolitańskiej bazylice św. Klary.

ZAWIERZENIE INTUICJI

Pytany o tajniki ekranowej transformacji (zagrał przecież i Andreottiego w „Boskim” i Berlusconi w filmie „Oni”) stwierdzał, że nie ma żadnego sekretu, ale oczywiście pilnie przygotowywał się do tych ról, czerpiąc m.in. z materiałów źródłowych. Chociaż od studiowania nagrań filmowych czy zdjęć z udziałem postaci, które ma się zagrać (co jest podstawą amerykańskiej szkoły gry) bliższa jest mu metoda europejskich artystów, czyli zawierzenie wyobraźni, intuicji.

„Radością, a czasem przekleństwem aktora jest wejście w skórę kogoś innego. Każdy aktor ma swoje techniki. Wszystkie metody są dobre. Ważne, aby działały, by były w stanie przekazać emocje” – podkreśla.



**Maciej
Walaszczyk**

Śmierć oswojona

Wydanapředrokiem elegijna „Songs of a Lost World” stała się jednym z ważniejszych wydarzeń w trwającej już ponad 45 lat historii grupy Roberta Smitha. Wciągające, długie, nostalgiczne i bardzo piękne utwory osadzone w potężnych gitarowych przestrzeniach kontynuowały wypracowany przez dekady styl zespołu. Muzyka zyskała wielką popularność, natychmiast trafiając na płytę koncertową nagranych podczas występu w londyńskim klubie Troxy. A teraz owe „pieśni zaginionej świata” odnalazły się na trwającej aż 2,5 godziny płycie z ich przeróbkami. Wszystkie osiem utworów zostało trzykrotnie zremiksowanych, oferując za jednym zamachem różne perspektywy, z jakich można odbierać ten sam podstawowy materiał.

„Mixes of a Lost World” wręcz przytłacza objętością, ale słucha się jej znakomicie. Materiał został świadomie przekazany gronu remikserów, producentów i artystów eksperymentalnych, takich jak m.in. Four Tet, Paul Oakenfold, Orbital, Mogwai, Chino Moreno czy Trentemøller (łącznie 24 różnych artystów), czego rezultatem jest fascynujące przeobrażenie brzmienia utworów – od klubowych bitów przez post-rock po ambientowe pejzaże dźwiękowe. To jednak nic nowego, bo przecież kultura remiksu zawsze była częścią historii tej grupy, mającej w dorobku wy-

pracowanie charakterystycznych ram rocka gotyckiego i nowej fali, gdzie harmonię wypełnioną gitarową przestrzenią docierała potęgą linii basowej i oniryczny śpiew wokalisty.

W latach 80. i 90. zespół wypuszczał zremiksowane edycje utworów, które pokazywały inną stronę ich brzmienia. W szczególności szokującą płytą było wydawnictwo „Mixed Up” (1991), które wyprzedzało swoje czasy w sposobie, w jakim piosenki The Cure z jego pierwszej i mrocznej dekady zostały wepchnięte na terytorium tanecznych rytmów, nie porzucając przy tym swej tożsamości. Tak jest i tym razem, gdy słyszymy wariacje piosenek osławiających temat śmierci bliskich nam osób. Faworytami są m.in. synthpopowa wersja „And Nothing Is Forever” (Cosmodelica Electric Eden Remix), do samego końca utrzymująca pierwotną nastrojowość utworu, czy falująca przeróbka melancholijnego „Alone” Shanti Celeste. Egzekwie odprawione, żałoba zakończona, a do życia wracamy przemienieni. Choć nic już nie będzie takie, jak było. 

The Cure, „Mixes of a Lost World”, Universal Music Group 2025

„Mixes of a Lost World”
– The Cure, Muzyka
Sklep EMPIK.COM



Szostakowicz odkrywany

W 2017 r. w Archiwum Centralnym Moskwy odkryto nieznaną wcześniej krótki utwór Dymitra Szostakowicza zatytułowany „Impromptu” na altówkę i fortepian op. 33. Zgodnie z odręczną informacją powstał on 2 maja 1931 r. i był poświęcony Aleksandrowi M. Rywkinowi, altowioliniście, z którym wspólnie występował. Kompozycja nigdy nie ujrzała światła dziennego, a ten sam numer opusowy sygnował napisaną w tym samym czasie muzykę do jednego ze stalinowskich filmów propagandowych. Tymczasem jest to piękna, zapadająca w pamięć i lamentująca melodia wiolonczeli rozwijająca się przy hipnotycznym akompaniamencie fortepianu, na płycie wykonana przez Nilsa Mönkemeyera i pianistę Rościława Krimera.

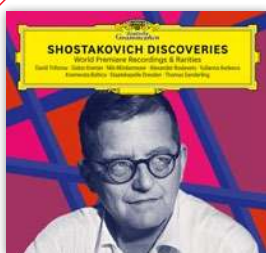
Lata 30. były apogeum stalinizmu, którego kompozytor stał się zarówno ofiarą, jak i sparaliżowanym strachem elementem. Na płycie znajdziemy więc m.in. napisaną do szuflady satyryczną kantatę „Antiformalistyczny Rajok”, wysławiającą dekret Żdanowa ogłaszający socrealizm. Kompozytor podobnie jak Strawiński miał polskie korzenie – jego dziadek Bolesław Szostakowicz w 1866 r. został zesłany w okolice Tomsku w wyniku represji, które nastąpiły po próbie zamachu na cara Aleksandra II.

Wydawnictwo ukazało się z okazji nadchodzącej 50. rocznicy śmierci Szostakowicza i zawiera niespotykane, często premierowe nagrania utworów kultowego kompozytora. Większość z nich została zarejestrowana podczas corocznego Międzynarodowego Festiwalu Szostakowicza w niemieckim uzdrowisku Gohrlich, który niedawno się zakończył. To m.in. nieznane wcześniej fragmenty młodzieńczej opery „Nos” do groteskowej noweli Gogola, która ściągnęła na kompozytora zjadłe ataki partyjnych kry-

tyków. Dzieło wystawiono dopiero w połowie lat 70., a awangardowe, pełne perkusjonaliów i naładowane ogromem środków wyrazu futurystyczne dzieło wciąż tchnie świeżością. Brakujące preludia i interludia przekazała Irina Szostakowicz, wdowa po kompozytorze.

Innym kluczowym dziełem jest opracowany na bas i fortepian „Gwóźdź Jelabuga” do wiersza Jewgienija Jewtuszenki, nawiązującego do tragicznej śmierci Mariny Cwietajewej. Zapis tej dramatycznej ballady odnaleziono dopiero w 2023 r., uznając ją za muzyczne laboratorium zapowiadające powstanie XV Symfonii A-dur z 1971 r. I właśnie ostatnio odbyła się koncertowa premiera tego utworu. 

Maciej Walaszczyk



Dymitr Szostakowicz, „Shostakovich Discoveries. World Premiere Recordings & Rarities”, Universal Music Group 2025

SHOSTAKOVICH DISCOVERIES, Gidon Kremer, Daniil Trifonov, Deutsche Grammophon

W mediach społecznościowych często można znaleźć grafiki z parafrazą trumpistowskiego hasła: „Uczyńmy Orwella znów fikcją”. Pamiętamy przecież pandemiczną „nową normalność”, mamy historyczne „dziury pamięci”, współczesne Ministerstwa Prawdy atakują nas narracjami z nieodłącznymi dwiema minutami nienawiści, doświadczamy nowej cenzury, a więc policji myśli tropiącej myślozbrodnię tzw. mowy nienawiści, śledzą nas systemy inwigilacji przewyższające w swoich możliwościach powieściowego Wielkiego Brata.

To niesamowite, ale w nowej i jubileuszowej edycji „Roku 1984” George’a Orwella opublikowanej z okazji 75-lecia jej wydania znalazło się ostrzeżenie dla „wrażliwych czytelników” autorstwa murzyńskiej feministki Dolen Perkins-Valdez. Napisała ona, że trudno było się jej w niej rozpoznać, gdyż zbyt mało mówi ona o problemach rasowych, „pochodzeniu etnicznym”, a już zupełnie brak jest w niej czarnoskórych postaci. Poza tym w poglądach głównego bohatera Winstona Smitha wytopiła mizoginię. A więc nie tylko niewiele zrozumiała, lecz także – niczym funkcjonariusz Ministerstwa Prawdy i posługując się nowomową – oskarżyła go o myślozbrodnię. Jakby tego było mało, jubileuszowa edycja posiada nawet stosowną autoryzację spadkobierców pisarza. Zdaje się, że nie ma lepszej ilustracji na aktualność Orwellowskiej wizji, choć to nic nowego. Przed trzema laty pracownicy Uniwersytetu w Northampton zamieścili ostrzeżenie dla potencjalnych czytelników informujące, że zawiera ona treści, które niektórzy studenci mogą odebrać jako obraźliwe i wulgarne.

POSTĘPOWY, A WIĘC TOTALITARNY

Choć minęło ponad 75 lat od wydania „Roku 1984” i 80 lat od ukazania się „Folwarku zwierzęcego”, książki te wciąż pomagają zrozumieć realne mechanizmy nie tylko totalitarnych monstrów XX w., w którym znika samo pojęcie obiektywnej prawdy, lecz także masowej demokracji liberalnej, w której i demokracja, i wolności zostały dyskretnie zneutralizowane.



Orwell się kłania

Jubileuszowe wydanie „Roku 1984” uzupełnia wstęp pewnej feministycznej „krytyczki”. Oskarżyła w nim Orwella o „myślozbrodnię” mizoginizmu, postugując się przy tym klasyczną nowomową. Opisany przez niego mechanizm totalitaryzmu, choć w formie miękkiej i rozproszonej, jest wciąż w użyciu



MACIEJ WALASZCZYK

Choć ta prorocza wizja wyszła spod pióra socjalistycznego radykała i „antyfaszysty” walczącego podczas wojny domowej w Hiszpanii w szeregach anarchistycznych milicji w Barcelonie, prawica szybko zrozumiała opisane przez niego reguły miękkiego totalitaryzmu.

Pojawił się on w wyniku konwergencji, która zaszła między lewicową inteligencją i jej agresywnymi bojówkami a zgłobali-

zowanym rynkiem bez granic, tożsamości i klasą menedżerską, która go obsługuje. W tym świecie technika i nauka, dyktatura ekspertów, mają zastąpić tradycyjnie rozumianą politykę. Pisarz znakomicie pokazał, że dla wszelkich totalitaryzmów ideałem jest świat, w którym przeszłość i tradycja, organiczne związki między pokoleniami, w końcu sama miłość – są zawsze nie do przyjęcia. Że jedyną i słuszną drogą rozwoju jest postęp, dla którego każde „jutro” zawsze będzie lepsze niż „wczoraj”.

OD LEWICOWEGO RADYKAŁA DO TORYSA ANARCHYSTY

Śmierć pisarza w 1950 r. być może przerwała jego duchowy i intelektualny dryf ku pewnej odmianie konserwatyzmu. On sam chętnie nazywał się „torysem anarchistą”, czyli „anarchistą konserwatystą”. Na pewno był uważnym i uczciwym reporterem, analitykiem kultury popularnej i do pewnego stopnia filozofem polityki. Dla wielu rodajem świeckiego świętego, który przeżył nawrócenie jeszcze w Indiach, podczas służby w policji, decydując się stać po stronie słabszych i solidaryzmu społecznego.

Jednak jego lewicowy radykalizm nie miał nic wspólnego z marksistowskim doktrynerstwem. Kilka miesięcy przed śmiercią za pośrednictwem swojej przyjaciółki Celi Kirwan przekazał półtajnej komórce działającej przy brytyjskim MSZ listę z nazwiskami ludzi, których podejrzewał o sprzyjanie Sowietom i komunizmowi. Sprawa wyszła na jaw dopiero wiele lat po zakończeniu zimnej wojny. Orwell obawiał się, że zachodnie kraje przegrają tę konfrontację na własnym terenie, a jednym z jej powodów będzie ślepotą opinii publicznej na prawdziwą naturę komunizmu. Przyczynę tego stanu rzeczy widział nie tylko w naiwnym sentymencie dla niedawnego sojusznika, który pokonał Hitlera, lecz także w bezinteresownym wspieraniu go

przez wielbicieli systemu sowieckiego, kreciej robocie zdeklarowanych i tajnych członków Partii Komunistycznej oraz zwykłych płatnych agentów. Podejrzewał, że to właśnie ci ludzie tak bardzo utrudnili mu wydanie będącego w swej wymowie antysowiecką bajką „Folwarku zwierzęcego” w ostatnim roku ostatniej wojny.

PROPAGANDA I PERSWAZJA

Jego pisarstwo przede wszystkim uczula na rolę i rozwój środków kontroli i nadzoru społeczeństwa. Ich wykorzystywanie w polityce, gospodarce i innych dziedzinach życia. Czasy, w których żył, naznaczały dwie formy totalitaryzmu: komunizm i narodowy socjalizm, w których na masową skalę, używając pojęć Guya Deborda, materializowała się wizja „społeczeństwa spektaklu” – spektaklu hysterii, emocji, miłości i nienawiści, mobilizacji. „Rok 1984” odtworzył tę rzeczywistość, karykaturując ją do granic możliwości. Jej koloryt był bardziej komunistyczny niż narodowosocjalistyczny, gdyż w 1945 r. sowiecki komunizm wyeliminował nazistowską despotę, bezpośrednio zagrażając zachodnim demokracjom. Jednak Orwell nie znał wtedy rzeczywistości współczesnego „rozproszonego spektaklu”, gdzie to, co istotne i polityczne, zostaje przytłoczone przez nieustanne narracje mające nas mobilizować, bawić, oglupiać i odpolityczniać. W nim prole, a więc najniższa warstwa społeczna, są karmieni produktami kultury masowej odbierającej im wolność.

Okazuje się więc, że również dzisiaj żyjemy w społeczeństwie, w którym funkcjonuje mechanizm kontroli jednostki. Jest on jednak łagodny, a władza na co dzień nie manifestuje swojej nagiej siły. Paradoksem jest również to, że książki Orwella uczyniono lekturą dla szkół średnich, aby uczniowie wiedzieli, że świat, który opisują, nie ma nic wspólnego ze współczesnością. Tymczasem jest odwrotnie, bo jak zauważył założyciel niemieckiego „Criticónu” Caspar von Schrenck-Notzing, opisując świat „po końcu historii”, w którym prawdziwa przeszłość została wymazana z umysłów ludzi żyjących wyłącznie w teraźniejszości. Trafnie identyfikują perswazję i propagandę jako instrument władzy, który stawia człowieka w dowolnie manipulowanej rzeczywistości, pozwala go kontrolować, pozbawia jakiegokolwiek odniesienia do prawdy i próbuje podporządkować jego sumienie.

WŁADZA NAD JĘZYKIEM

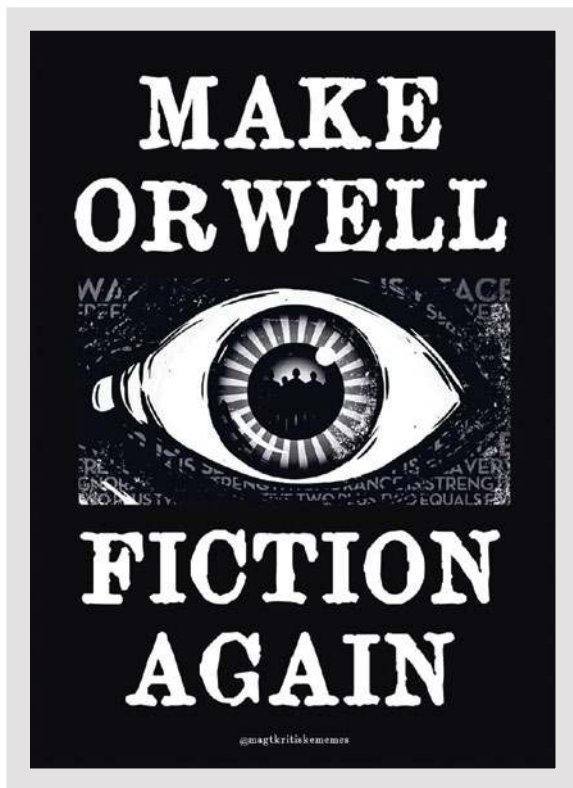
W eseju „Polityka i język angielski” napisanym w 1946 r. Orwell

zwrócił uwagę, że nadeszły czasy, w których wszystko stało się polityczne, a więc też język. Chodziło o jego radykalne uproszczenie, ujęte w tzw. Basic English, ograniczone do zasobu ok. 800 słów. W ten sposób radykalnie uproszczona rzeczywistość uwalnia od rozterek i świadomości politycznej. Dostrzegł, że władza zaczyna się od kontroli nad słowami, jest miernikiem jej potęgi. Gdy jednak język opisu rzeczywistości wchodzi w stadium rozkładu, zachwianiu ulega też wspólnota polityczna. Nowomowę charakteryzuje brak autentyzmu, spontaniczności, zbitki myślowe i kalki pojęciowe, które nigdy nie powstają w mowie potocznej. Zlikwidowane zostaje bogactwo znaczeniowe słów, pozwalające ludziom w sposób szeroki artykułować swoje myśli i wyrażać siebie.

Także dzisiaj Orwellovskie pojęcie „nowomowy”, języka kontrolowanego, odpowiada współczesnemu brzemieniu „politycznej poprawności”, stosowanej w ramach konsekwentnej manipulacji językiem i w celu ukrócenia wszelkich politycznych myślozbrodni. „Nowomowa” jest instrumentem ograniczającym wolność myśli, a w konsekwencji pozwala ograniczyć wolność polityczną. Jeśli lewica sankcjonuje dziś „mowę nienawiści” i wprowadza do obiegu dziesiątki nowych znaczeń, np. na określenie płci, to oczywiście chodzi o radykalną zmianę polityczną. W „Lwie i jednorożcu” pisarz zauważył, że mechanizm dewaluacji języka jest głęboko wpisany w logikę obiegu informacji nowoczesnych społeczeństw, także tych demokratycznych. Chodziło mu o powszechną obecność kłamstwa – od reklamy po prasę brukową.

RÓWNI I RÓWNIJSI

Przewidywania Orwella, niewątpliwie inspirowane stalinizmem i związane z całkowitą dominacją oraz kontrolą umysłu, nie tylko urzeczywistniły się w Sowietach czy maoistowskich Chinach, lecz także wkraczają w naszą teraźniejszość. Praktyki chińskiej „cyfrowej dyktatury”, przemieniającej się w państwo powszechnej inwigilacji kontrolującej posłuszeństwo poddanych, pojawiają się też w bazującej na wolności i indywidualności cywilizacji Zachodu. Ten model „orientalnego despotyzmu” jest nie tyle ekspansją chińskiego oryginału, ile – jak zauważył badający to zjawisko Adam K. Webb – zadziwiającą syntezą anglosaskiego neoliberalizmu, europejskiej socjaldemokracji i mandaryńskiego systemu biurokratycznego. Orwell kłania się nam za każdym razem, gdy na własnej skórze i duszy czujemy miękkie, rozproszony i subtelny nadzór Wielkiego Brata. ▀





HITY I KITY
ZAREMBY



Zarazem Bajon przeniósł akcję na Warmię, a co więcej, przesunął ją w czasie. Mamy początek lat 80., wybuch Solidarności. Podobno w Polsce

Ludowej działał prężny ruch „ufologiczny”. Krajem wstrząsały historyczne przemiany, a oni zaczytywali się w istotnie modnym (to pamiętam) Erichem von Dänikem i wypatrywali statków kosmicznych

kiedy wieści o obcych na Warmii stają się aferą, którą skłonny jest wykorzystać sekretarz KC Wierusz oraz jego żona, dziennikarka telewizyjna (znakomite jak zawsze, delikatnie podkreślone role Adama Woronowicza i Mai Ostaszewskiej).

Krytycy zarzucają serialowi zbyt poważne potraktowanie tematu i brak napięcia. W owym niespiesznym tempie czytałem próbę wychwycenia natury tamtego czasu. Byliśmy wtedy społeczeństwem konserwatywnym i odrobinę nieporadnym, choć akurat migające w tle scenki z solidarnościowych protestów trochę temu przeczyły. Wom najbardziej urzekł u Bajona socjalistyczny design: telewizyjne barki z damami popijającymi colę z butelek, ale przez słomkę, czy prowincjonalny hotel Luksort to kwintesencja poetyki tamtego życia. Może najmocniej wstrząsnęły mną scenki, w których Polgar, przecież reprezentant elity, wychodzi ze swojego bloku na nieukończonym jeszcze osiedlu. Brzydota scenarii bije po oczach. I wspaniale kontrastuje z takimi tematami, jak ewentualna inwazja z kosmosu.

Przy czym przestrzegam: zapis tamtego życia społecznego niekoniecznie oddaje realia w skali 1:1. Jak nie używano wtedy słowa „media” (atu ono pada), tak ówczesna telewizja działała trochę inaczej. Polityka dziejąca się w tle również była inna. Choć na bankiecie w KC PZPR pojawia się nawet gen. Jaruzelski (Janusz Chabior w ciemnych szklach), to w finale mamy do czynienia z czymś w rodzaju historii alternatywnej.

Mam wrażenie, że Bajon nie znalazł stuprocentowej recepty na intrygujące zakończenie, wybierając coś w rodzaju metafory. A jednak oglądałem to jako chwilami ekscytującą wyprawę do krainy mojej młodości, widzianej z innej perspektywy niż zwykle. Nie wiem tylko, co zobaczyli w tym młodzi widzowie.

Piotr Zaremba

UFO kontra PRL. W poszukiwaniu smaczków epoki

Kasper Bajon nakręcił serial dla Netflixa. „Projekt UFO” opowiada o ludziach, którzy w siermiężnych latach PRL zajmowali się wypatrywaniem kosmitów. Wyszła z tego zgrabna przypowieśćka bardziej o samych czasach niż o spotkaniu z pozaziemską cywilizacją

Reżyser czteroodcinkowego serialu ma 43 lata, jest synem sławnego Filipa Bajona. Do tej pory zauważaliśmy go przede wszystkim jako scenarzystę produkcji Jana Holoubka („Rojst”, „Wielka woda”). Teraz jako samodzielny twórca filmowy sięgnął po prawdziwą, a przede mnie przeoczoną historię. W 1978 r., w apogeum Gierkowskiej normalizacji, państwowa telewizja zajęła się przypadkiem domniemanego pojawienia się UFO we wsi Emilcin na Lubelszczyźnie. Rolnik Kunik, opowiadający w serialu o spotkaniu z zielonymi stworami, mówi podobno mniej więcej to samo, co opowiadał ówczesny rolnik Wolski.

obcych. Władza, nie lubiąca samodzielnych inicjatyw, na to akurat pozwalała, traktując ich spotkania jako „odgromniki” odwracające uwagę od innych tematów.

Ponoć w ówczesnej telewizji były nawet cykliczne audycje na ten temat, czego też nie pamiętam. W serialu taki telewizyjny program robi Jan Polgar, grany z uroczą ironią przez Piotra Adamczyka. Jego cyniczne podejście do sprawy zderza się z autentyczną pasją prowincjonalnego specja od tych problemów Zbyszka Sokolika (bardzo naturalny Mateusz Kościukiewicz), przekonanego, że ufoludki nie tyle przylatują z nieba, ile żyją pod wodą i kiedyś porwały mu brata. Obaj muszą zjednoczyć siły,

BAJKI KRASICKIEGO – DWORAK O REGULACH DWORU

*„Zawždy znajdzie przyczynę, kto zdobyczy
pragnie. / Dwóch wilków jedno w lesie
nadybali jagnię; / Już go mieli rozerwać;
rzekło: »Jakim prawem?« / »Smacznyś,
słaby i w lesie!« – Zjedli niezabawem”.*

*Ten okruszek to jedna z bajek Ignacego
Krasickiego, biskupa warmińskiego, jednego
z ważniejszych polskich XVIII-wiecznych
autorów. Nie mogło jej zabraknąć w spektaklu
„Krasicki – pojedynek na bajki i przypowieści”
Teatru Klasyki Polskiej*

Premiera odbyła się w podwarszawskich Markach, następne spektakle w nieocenionych podziemiach kościoła Wszystkich Świętych w Warszawie. Po wakacjach aktorzy ruszą zapewne z tym jedynym w swoim rodzaju przedstawieniem w teren. Taką jest misja Teatru Klasyki Polskiej, który uczcił w ten sposób 290. rocznicę urodzin utalentowanego purpurata. Przypomniłam również o fenomenie jego masowej produkcji.

Nie wszystkie bajki i przypowieści są aż tak zdawkowe. Uderza bezwzględność ich morałów, czasem wręcz okrucieństwo. A także przytomność obserwacji – jak w bajce o wole, który był dobrym ministrem, ale przez kaprys władcy został zastąpiony małpą, a potem lisem. Można twierdzić, że biskup opowiadał o cynicznych zasadach życia dworskiego czy polityki. On sam uchodzi za piewę myśli oświeceniowej, wręcz ówczesnego progresistę. Ale mój obraz tej postaci ukształtował Adolf Nowaczyński w „Wielkim Fryderyku”. Krasicki był dworakiem i cynikiem.

Czy to się nadało na scenę? Reżyserka Karolina Labahua dowiodła, że tak. Mamą wspaniałe skomponowaną, wręcz malarskie sceny, w czym pomagają projekcje Mary Beale. Scenografka Aleksandra Reda jest mistrzynią kolorów, kształtów i wymyślnych masek. Dostajemy piękną muzykę, po części Marty Maślanki, po części Marcina Markowicza. I sugestywne układy choreograficzne Jarosława Stańka.

Może się здаwać, że to bardziej spektakl reżyserskiej wizji niż aktorskiego szczegółu. A przecież całość ustawia pięknie podawane słowo narratora Andrzeja Mastalerza. Każdy z aktorów ma swoje etiudki. Ksawery Szlenkier jest m.in. znakomitym koniem, najlepszym, jakiego kiedykolwiek widziałem na scenie. Justyna Fabisiak urzeka bezbronnością kolejnych pięknych zwierzątek. Poza nimi grają świetnie: Maciej Wyczański, Marta Dylewska i Małgorzata Mikołajczyk. Zastanawiam się tylko, czy to bardziej rzecz dla dzieci, czy dla dorosłych. ▀



Radiowy „Kanał” – kronika osaczenia

Przed tygodniem pisałem o spektaklu telewizyjnym nagrodzonym na festiwalu Dwa Teatry. Tym razem o słuchowisku radiowym. „Kanał” to przeróbka nie tyle filmu Wajdy, ile opowiadania Jerzego Stefana Stawińskiego, oddającego grozę klęski powstania warszawskiego. Michał Zdunik stworzył coś bardzo sugestywnego. I tylko te przekłete wątpliwości...

Program II Polskiego Radia emitował ten spektakl wyobraźni 2 października 2024 r., dokładnie w 80. rocznicę kapitulacji powstania. Na festiwalu w Sopocie jego twórca Michał Zdunik dostał nagrodę za scenariusz będący adaptacją literatury. Jestem entuzjastą radiowego teatru. Trudno mi się nie zgodzić z tym werdyktem.

Dostajemy opowieść o apokalipsie, powstańcach szamoczących się w obliczu klęski. Ciężko sobie wyobrazić większe osaczenie niż to w kanałach pod ziemią. Kilka krzyżujących się wątków, poprzecinanych na dokładkę retrospekcjami, to ledwie okrucy ludzkich losów, niezamkniętych tak definitywnie dołączającym finałem jak w filmie Wajdy.

W komentarzach do słuchowiska podkreślano rolę młodych kobiet wspierających swoich męskich towarzyszy broni. Tyle że to nic nowego. Tak jest w opowiadaniu i w filmie. Może największe wrażenie robią rozpaczliwe wędrowki po kanałach rannego Jacka i zakochanej w nim łączniczki Stokrotki, także dzięki mocnym rolom Krzysztofa Szczepaniaka

i Sary Lityńskiej. Ona dostała za ten występ osobną nagrodę, podobnie jak Maria Klusek za wcielenie się w inną łączniczkę – Halinkę.

Piszę jednak, że mam wątpliwości. Tak, bo nie wdając się w debatę o sensie powstania, sam tekst opowiadania zawsze można przywoływać jako argument przeciw samemu zrywowi. Myślę, że prawda jest bardziej skomplikowana i ciężko jej szukać wyłącznie na podstawie wrażeń dotyczących ludzkich losów. Zarazem obraz jest prawdziwy. Jak broniłem dołączanego filmu „Miasto 44” Jana Komasy, tak bronię tej opowieści. Tyle że po tym wszystkim przydałaby się jeszcze pogłębiona, nieoparta wyłącznie na emocjach rozmowa.

Na koniec uwaga. Michał Zdunik jak zwykle wpuścił do słuchowiska swoją muzykę, jednoznacznie elegijną, posępną, też zresztą nagrodzoną. Wraz z sugestywnym śpiewem Przemysława Szkodźńskiego i Macieja Tomaszewskiego robi ona wielkie wrażenie. Dopiero to tło czyni całą opowieść pełną, naprawdę wstrząsającą. Tylko czy to wstrząs oczyszczający? Jedyne pytam. ▀

Europka, wojny i moc Chrystusa

Na Most Grunwaldzki we Wrocławiu ma wrócić napis „Kaiserbrücke”, który został tam umieszczony ku czci cesarza Wilhelma II; francuski kanał LCI nazywa polskich patriotów broniących granic faszystami, jako dowód na ich faszyzm przytaczając hasło: „Chcemy mieć pewność, że nasz kraj jest bezpieczny”. Niemiecki imperiaлизм ze światową, rewolucyjną, liberalną lewicą pod rękę. Ich wspólnym wrogiem – wspólnoty, zdolne do obrony swoich społeczeństw, państwa narodowe. Na szczęście, jak pisze Deutsche Welle, polski Ruch Obrony Granic torpeduje niemiecką politykę migracyjną.

W UE rok za gwałt, 2,5 roku za emocjonalny wpis o imigranckiej przemocy. Tonie żart. Mohammed Khan dostał rok więzienia za gwałt i doprowadzenie do poronienia, a Lucy Connolly – 2,5 roku za usunięty po czterech godzinach wpis w internecie.

We Francji poziom ubóstwa ciągle wzrasta, ale elity mają to w nosie – są zajęte ideologią i cenzurą. Czy powstanie europejski ruch, odpowiednik MAGA, który pogoni lewicowo-liberalny establishment, czy też w Europie będziemy musieli gnić i czekać na krwawą rewoltę?

Bidoki kontra Lepsi, zdrowy rozsądek kontra zielone i tęczowe ideologie, kultury szukające prawdy, dobra i piękna kontra antykultura transgresji, brzydoty i wyuzdania. Christianitas – fundament Zachodu kontra Syndykat cienia, cywilizacja śmierci. Patrioci atakowani i przez lewicowców, wykończonych unijczyków i przez państwo niemieckie: głównym motywem czerwcowego wystąpienia Petera Olivera Lowa z Deutsches Polen Institut w Darmstadt w berlińskim oddziale Instytutu

Pileckiego była „współwina Polaków za Holocaust”. Taką politykę historyczną prowadzi Berlin, dążący do hegemonii w Europie. Na szczęście Merz niewiele chyba ugrał w Waszyngtonie.

A z zewnątrz naszej pękniętej cywilizacji groźne pomruki. Szef NATO ostrzega: jeśli Chiny zaatakują Tajwan, Xi może poprosić Putina, by otworzył drugi front w Europie, uderzając w NATO. My wiemy, nie ma pokoju z niepokitą Rosją. A Europka wyje: Trump sojusznikiem

Potrzebujemy przywództwa duchowego. Zaplanowanej i wytrwałej walki z dekadencją i moralnym upadkiem narodu. Potrzebujemy postu i modlitwy. Nadprzyrodzonej mocy. Jeśli Polska ma przetrwać, przed nami zadanie odnowienia oblicza ziemi. Tej ziemi

Putina! Czyniąc zarzut z amerykańskich politycznych i gospodarczych prób wprowadzenia dysonansu pomiędzy Pekinem a Moskwą.

Europka wyje, wygraża, chociaż nie ma armat. Nikt poza USA nie jest w stanie sprostać osi zła Pekin–Moskwa–Teheran–Pjongjang. A Rosja nie zatrzyma się sama z siebie. Były minister spraw zagranicznych Chińskiej Republiki Ludowej Wang Yi dopowiada: Chiny nie mogą pozwolić na szybkie zakończe-



ROBERT TEKIELI

nie wojny na Ukrainie, ponieważ cała uwaga USA byłaby wtedy skoncentrowana na działaniach Pekinu.

Jesienią, po zakończeniu przeglądu strategicznego, rządzący Stanami zdecydują, z których krajów ich wojska zostaną przerzucone w pobliże Chin. Czy z północnych Włoch i Niemiec? Czy z Polski i krajów bałtyckich? Dla nas to gardłowa decyzja. Mamy mało czasu na przyspieszone wybory i jesienią na przyjazny USA polski rząd z patronatem prezydenta Nawrockiego.

Potrzebujemy przywództwa duchowego. Zaplanowanej i wytrwałej walki z dekadencją i moralnym upadkiem narodu. Potrzebujemy postu i modlitwy. Nadprzyrodzonej mocy. Jeśli Polska ma przetrwać, przed nami zadanie odnowienia oblicza ziemi. Tej ziemi.

Dzięki wewnętrznej przemianie, której w każdym z nich dokonał akt wiary w bóstwo swego Nauczyciela, uczniowie Jezusa z Nazaretu stali się zdolni do rzeczy niewyobrażalnych. Niepismańni rybacy zmienili świat. Gdy tylko uwierzyli, że Jezus zmartwychwstał, dokonali uniwersalnego przewrotu hierarchii wartości. W jaki sposób zostali do tego uzdolnieni? Poddali się przemieniającej mocy.

Św. Szczepan był w czasie kamienowania blisko Boga i nie zauważył, że go zabili – tak o skutkach działania mocy z góry mówił ks. Piotr Pawlukiewicz. I nie była to bliskość, a o wiele więcej – tożsamość, którą św. Paweł z własnego doświadczenia opisał tak: „Już nie ja żyję, ale we mnie żyje Chrystus”. Stary człowiek odszedł, Bóg wszystko uczynił nowe.

To jest nasza nadzieja. Nadzieja alkoholików, gwałcicieli, narkomanów,

pedofilów, hipokrytów, zdrajców, dziwek, żon – zimnych ryb, ludzi pysznych, każdego grzesznika.

Tylko nadprzyrodzoną mocą można tłumaczyć siłę tysięcy męczenników. Dzięki tej mocy św. Andrzej Bobola błogosławił pastwiącym się nad nim Kozakom gestem ręki, nie mógł bowiem już nic powiedzieć, bo ci zrobili mu w karku otwór i wyrwali język u nasady. Wcześniej, aby wyrzekł się wiary, bito go nahaniami do krwi, wybito mu zęby, wyrwano paznokcie i zdarto skórę z górnej części ręki. Sieczono szablą w ramię, kluto lancami. W rzeźni miejskiej rozłożono go na stole i przypalano ogniem. Na miejscu tonsury na głowie wycięto mu ciało do kości, na plecach wycięto mu skórę w formie ornatu, rany posypywano sieczką, odcięto mu nos, wargi, wykłuto jedno oko. A on w bólu i jęku nieustannie wzywał imienia Jezusa i przebaczał. To nie jest po ludzku możliwe.

Czym jest ta moc? Po moim gwałtownym nawróceniu kilkakrotnie ją traciłem przez swoje wewnętrzne nieuporządkowanie. To ładne słowa mające opisać krzywdzenie ludzi.

W głębi człowieka, głębiej niż sumienie, jest przestrzeń święta, nieosiągalna dla złego ducha, który może oddziaływać na ciało, emocje, wyobraźnię, myśli, ale tam została mu postawiona przez Boga nieprzekraczalna granica. I w tym miejscu jest pustka albo Duch Święty. Mówię ze swego doświadczenia i doświadczenia pomagania osobom związanym duchowo i opętanym.

Pustka i niepokój albo Duch Święty i wewnętrzny pokój. Odczuwam go – to już literatura, wyobraźnia, ale tylko w sferze obrazu, bo sam pokój jest rzeczywistością skrajnie realną, wręcz materialną – jak srebrną, nieporuszoną tafelę wewnętrznego jeziora. Wyżej mogą być burze, panika, ocieranie się o rozpacz, wstrząśnięte emocje, poruszone namietność, pokruszona wola, ale tam jest niedający się opisać pokój.

Wiem, jaki jestem, kiedy mam w sobie pustkę, kiedy działam wyłącznie swoją siłą, energią ze spalania cukru we krwi,



Męczeństwo
św. Andrzeja Boboli

jasnością jedynie z intelektualnych rozważań, tylko moim napięciem woli. Wiem, jaki jestem, kiedy Bóg działa przeze mnie, posługuje się mną, kiedy mówię słowa, których sam słucham ze zdziwieniem. Wiem, kiedy rozpatruję problemy zdrowym rozsądkiem, a kiedy są one oświecone światłem duchowym. Oczywiście raz czy 20 razy na 100 myślę te stany. Ale szybki sakrament pojednania zaradza temu problemowi.

Wbrew pozorom nie staram się teraz sobie kadzić. Bo widzę, ile życia zmarnowałem. Jaką wziąłem na siebie odpowiedzialność, jakim okazywałem się słabym człowiekiem, jak krzywdziłem, bo byłem zdolny wykorzystywać czyjeś zaufanie. Nieświadomie. Ale, co trudno przechodzi przez klawiaturę, również świadomie. Mimo to zostałem uratowany przez Jezusa, przez Absolutne Dobro. Nie rozumiem logiki miłosierdzia, ale dzięki ci, Boże, że jesteś akurat taki.

Nie boję się więc niczego. Mówię, jak jest, bo jestem wdzięczny, Jezu, bo zawdzięczam Ci życie. I nie wyobrażam sobie, że mógłbym robić inaczej. Powtarzam publicznie każde słowo o grzechu i Twoim zbawieniu, mówię o Twojej, Boże, czulej miłości.

Drgają futryny, ludzie Syndykatu nie mogą zabić duszy. W każdej sekundzie czuję, jak jestem ważny dla Ojca. Wczoraj rozpiął tęczę, kiedy wychodziłem w Mrozach ze spowiedzi. Oczywiście przypadek, tyle że On pisze historię świata takimi literami. Z naszej strony kartki to przypadki. Ale kiedy po śmierci popatrzymy na te wszystkie przypadki z drugiej strony, zobaczymy proste drogi Boże i nasze pokręcone ścieżki.

Ojciec wybiegł zapłakany na moje spotkanie, gdy śmierzdzący gnojem,

brudny jak świnia, spowiewany swoimi własnymi decyzjami wracałem do Niego. Przytulił mnie, otarł twarz, zaprowadził do domu. Wszyscy się cieszyliśmy, impreza trwała pięć dni. Starszy brat nie rozumiał, modłę się za niego. Siadam w ostatnich ławkach, Boże, przebaczone, grzesznemu, Ojciec, jesteś szalony, że mi prze-

baczyleś. Któż, jak Bóg. Jak można zaprzeć się kogoś takiego. Pierścień na moim palcu, płaszcz opieki Maryi na moich ramionach. On stworzył pająka królowej, zimorodka i fraktale. Zachwyt, zapierający dech w piersiach zachwyt. Niech nas błogosławi i Ojciec, i Syn, i Duch Święty.

Po co o tym wszystkim pisać? Bo ta moc jest za darmo.

A odważyłem się napisać powyższe, bo O. powiedziała, że się zmieniam. W ustach żony brzmi to zasadniczo. I nie oznacza, że nie ma upadków. Czasami dalej bardzo ranie. Ale natychmiast jest sakrament pokuty i nie zapadam się jak kiedyś w rozpacz, narkotyki, kompulsywne słuchanie programów informacyjnych, nałogowe skrołowanie, czasami jeszcze upadnę w endorfinowy strzał w żyłę. Z czekolady. Kto nie wie, co to uzależnienie krzyżowe, może doczytać.

Dziś ludzie zachlystują się nienawiścią. Widzę swoich rówieśników, którzy z roku na rok coraz bardziej zapamiętują się w agresji. Kobiety mają coraz bardziej zaciśnięte, cięte nożem usta, a faceci używają coraz bardziej plugawego języka. I czy jest to nienawiść do kapłanów, do Kościoła, bo dzisiejsza forma mszy nieważna, niegodna, bo ciało Pana naszego można przyjmować tylko na kolanach... Czy jest to nienawiść do mnie jako pissowca? Nie ma znaczenia. To żywienie nienawiści jest kolejną formą wypełniania pustki. Grzech boi się ciszy, tak jak barok bał się pustej przestrzeni. Są tylko dwa sztandary, pod którymi można iść przez życie. Pustki albo wewnętrznego pokoju. Musisz wybrać. Polska potrzebuje mocy z góry.

TOR EYSTEIN ØVERÅS*

Wokół Bałtyku



Tu warto dodać znaczące doprecyzowanie: opisana na kilkuset stronach podróż odbyła się w 2002 r. Autor miał wtedy 34 lata. 17 lipca skończy 57 lat. Ciekawe, jak dziś spojrzalby choćby na przejście graniczne w Braniewie czy na „senny Frombork” albo Gdańsk (o którym pisał: „Miasto, które istnieje. I nie istnieje. I nie jest tym, czym się wydaje”) czy „łamiący język” Szczecin. Na jaki polski film by się wybrał (wtedy obejrzał „Pianistę”, a wspominał m.in. „Człowieka z żelaza”). Czy nadal odwoływałby się do literackiego świata Güntera Grassa?

Pierwszy raz wjeżdżając do Polski, pisał o kraju „jak całe Balticum, wciśniętym pomiędzy Niemcy i Rosję”, wielokrotnie dzielonym przez żarłocznych sąsiadów; kraju, który zniknąwszy z map, żył w duszy swojego narodu”.

„Bałtyk. Podróż literacka”, która dotarła właśnie do naszych księgarni, w Norwegii ukazała się w 2005 r. Autor wspomina w niej, co sprowokowało go do wyruszenia w wielomiesięczną drogę. To była mapa.

„Tę mapę Europy Północnej widziałem nieskończenie wiele razy [...] i nagle dostrzegam coś. Coś, czego wcześniej nie zauważałem. Mapa Bałtyku jest taka sama, nie zmieniła się, ale w przypływie nagłego wglądu zmieniło się moje postrzeganie; widzę na niej wzorce i powiązania, których wcześniej nie zauważałem. [...] Widzę nie tylko krajobraz fizyczny, dostrzegam też ten literacki. [...] Pragnę odbyć podróż przez sztukę i literaturę wokół tego morza...” – pisze autor, znajdujący się na początku drogi.

„Tę mapę Europy Północnej widziałem nieskończenie wiele razy [...] i nagle dostrzegam coś. Coś, czego wcześniej nie zauważałem. Mapa Bałtyku jest taka sama, nie zmieniła się, ale w przypływie nagłego wglądu zmieniło się moje postrzeganie; widzę na niej wzorce i powiązania, których wcześniej nie zauważałem. [...] Widzę nie tylko krajobraz fizyczny, dostrzegam też ten literacki. [...] Pragnę odbyć podróż przez sztukę i literaturę wokół tego morza...” – pisze autor, znajdujący się na początku drogi.

Ta kulturowa inspiracja i konteksty wnoszą do jego książki bardzo wiele, ale dla niejednego czytelnika ciekawym i znaczącym dopełnieniem literackich szlaków będą też codzienne, często ulotne doświadczenia podróży. Tras pokonywanych pieszo i środkami lokalnego transportu, blisko (także fizycznie) miejsc i ludzi. Z towarzyszącymi tej wędrówce opisami i refleksjami. Jak te, uchwycone jeszcze niedaleko norweskiego domu, na równinie przy brzegu morza: „Powierzchnia jest niespokojna, fale odcinają się bielą na niebieskim tle, poniżej czerwonych ścian szop rybacczych wiatr targa kępę niskich roślin; późnym latem rozwiną się w palmy z Tromsø. Tak jest nazywany barszcz perski, dorastający do wysokości człowieka (jeżeli nie zjawi się ogrodnik miejski z piłą lub sekatorem). Patrząc ponad dachami domów na Bodø. Po przeciwnej stronie miasta pokryte lasami wzgórza pną się ku wschodowi. Za nimi, od strony Szwecji, widnieją niebieskawe góry. W zasadzie góry często są niebieskawe”.

Inieco dalej: „Stoję tu ze swoim ciałem, swoją świadomością, swoimi uczuciami i myślami, a wokół mnie rozciąga się krajobraz i ten krajobraz jest dla wszystkich ludzi taki sam. Możemy różnie go odbierać, patrzeć na niego w odmienny sposób, zwracać uwagę na inne zjawiska, przypisywać mu rozmaite nastroje, może on nam się podobać lub nie, ale krajobraz jest i pozostanie taki sam. Krajobraz jest. By go dotykać. Zanurzyć się w nim. Przyśledać w nim. Przemierzać go”.

Jolanta Gajda-Zadworna

*Autor książki „Bałtyk. Podróż literacka”

Kolejna niezwykła podróż tego lata. Bez ruszania się z domu. Bez biletów i pakowania się. Książka „Bałtyk. Podróż literacka” norweskigo autora Tora Eysteina Øveråsa (wydawnictwo Wielka Litera), a w niej rozpisane na osiem miesięcy i dziesięć krajów doświadczenie oraz osobista refleksja. Doświadczenie drogi (prowadzącej przez różne rejony, tradycje, historie i – co wyraźnie zostało zaznaczone w podtytule – przez literaturę). A także doświadczenie miejsc i obserwowanie ludzi napotykanych na tej drodze.

Opisując, relacjonując, komentując samotnie pokonywaną trasę – od Norwegii przez Szwecję, Finlandię, Estonię, Łotwę, Litwę, niewielką część Rosji, skrawek Polski i Niemcy po Danię – Tor Eystein Øverås pokazuje, z jak wielu perspektyw można spojrzeć na Bałtyk i mieszkające wokół niego narody.





SŁODKO-SŁONY

Cytrusowe orzeźwienie

ANNA MONICKA

Kiedy pierwszy raz skosztowałam kiszonych cytryn, moje kubki smakowe oszalały. Sól i przyprawy wydobywają ze skórek i owoców wszystko, co najlepsze – niesamowicie intensywny, skondensowany smak i aromat. Dojrzałe świeże cytryny zawsze wyjadam z herbat czy wszelkich lemoniad, ale te aż szczypią w język. Oczywiście kisi się je nie po to, żeby potem wyjadać ze słoików, to nie to samo co ogórki czy pomidory, ale jako dodatek podkreślający smak ryb, mięs, makaronów, sałatek czy ryżu są nieocenione. Nadają lekko orientalny, cudownie delikatny, odświeżający cytrusowy posmak. Latem orzeźwiają, a jesienią czy zimą sprawiają, że jedzenie pachnie słońcem i egzotycznymi podróżami. Jeśli w czasie wakacyjnych podróży do Maroka czy Turcji albo Grecji zobaczycie gdzieś na straganie zalane wonnym sokiem cytryny, koniecznie skuscie się i poeksperymentujcie z nimi w kuchni. Zresztą nie trzeba szukać tak daleko, można je kupić i u nas, zazwyczaj w orientalnych delikatesach. Nie wylewajcie soku, tylko wykorzystajcie np. jako marynatę do pieczonych połędwiczek wieprzowych, kurzych nóżek albo piersi indyka. Przez kilka godzin mięso nasiąknie aromatem, potem wystarczy je obłożyć plasterkami owoców, gałązkami tymianku czy rozmarynu i upiec w piekarniku albo żeliwnym garnku, który doskonale rozprowadza ciepło i nie wysusza. Paseczki cytryn można też dodać do krewetek w białym winie.

Moim odkryciem jest ryż z patelni (najpierw podsmażony na oliwie, potem zalany bulionem warzywnym z małymi kawałkami cytryn posiekanych wraz ze skórką), a ostatnio – pasta kanapkowa z kremowego twarogu utartego z drobno pokrojoną natką pietruszki albo koperkiem i kiszonym mięszem. Można ją także podawać do grillowanych warzyw. Najlepiej smakuje z cukinią i bakłażanem, ale świetnie podkreśli także smak upieczonych w folii, a potem pokrojonych w cienkie plastry buraków, młodych marchewek, kalafiorów. Ależ robią się apetyczne!

Jeśli ktoś sam chce zakisić cytryny lub limonki, da radę bez problemu. Trzeba tylko kupić 6–8 ekologicznych, niewoskowanych owoców (jak najmniejszych), następnie je wyszorować i wyparzyć, głęboko naciąć na krzyż i do każdego wsypać łyżkę soli morskiej. Układamy je w słoju, wysypujemy 2–3 goździki, 2–3 listki laurowe, kilka ziaren pieprzu i zalewamy przegotowaną, lekko osoloną wodą (wystudzoną) z 3–4 łyżkami soku cytrynowego. Potrząsamy słojem delikatnie codziennie przez miesiąc.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

I znowu woda

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Owodzie piszę często, ale nie z taką częstotliwością, z jaką dotykają nas na zmianę susze – bo nie zgromadziliśmy wody – i powodzie czy podtopienia – bo nie mamy, gdzie jej gromadzić.

Przy obecnych zjawiskach pogodowych powinniśmy być przygotowani do gromadzenia wody przy każdej okazji – zarówno w celu ochrony przed nagłym nadmiarem, jak i zgromadzenia zapasu.

Duże zbiorniki zaporowe w starym stylu, czyli przegradzające rzekę, mają wiele wad. Bez dobrych przeplawek przecinają trasy migracji – w ten sposób pozbyliśmy się lososi, jesiotrów, węgorzy, cert i wielu innych ryb. Poziom ich wód jest zmienny i życie przyrodnicze ma dużo trudniej niż np. w jeziorze. Zaburzają się mechanizmy ekosystemowe, które są potrzebne, żeby utrzymać jakość wody. Do tego woda spuszczana z takich zbiorników jest zimna, a gwałtowny strumień powoduje masowe śnięcie ryb i innych organizmów w rzece poniżej.

Co robić? Budować zbiorniki, ale w innej formie, np. połączone z rzeką, przepływowe, nieprzegradzające rzeki, lecz położone obok koryta.

Oprócz tego zbiorniki w formie rozległych polderów, na które rzeka może się rozlać. Najlepiej powyżej miasta i obsadzone lasem łęgowym – taki teren nie tylko przejmuje część wód powodziowych, lecz także jest gąbką, która nasiąka również podczas zwykłego deszczu i powoli ją oddaje w czasie suszy.

Do tego mała retencja, np. przy okazji inwestycji – czy jest to dom, osiedle, czy zakład przemysłowy – wykonanie zagłębienia terenowego z nieprzepuszczalnym dnem do gromadzenia wód opadowych. Przy odrobinie starań będzie też małą oazą bioróżnorodności z ważkami, a może nawet płazami.

Do tego dalsza ochrona bobrów, tam i żeremi.

Są w tym rzeczy zadziwiające – dlaczego dotąd nie ma programu inwentaryzacji rowów melioracyjnych i zlikwidowania tych niepotrzebnych? Jakichś czas temu pisałem o rowach przesuszających pola (to była susza w kwietniu). Niedawno byłem w pięknej dąbrowie koło Krotoszy. Ściółka była tak wyschnięta (to z kolei susza lipcowa), aż chrzęściła, a las jest pocięty systemem rowów odwadniających, wykopanych kilkadziesiąt lat temu.

Dlaczego nie ma zbiorników na wodę z kanalizacji burzowej w miastach? Jak dotąd albo zalewa ona ulice, jeżeli studzienka się zatka, albo spływa kanalizacją i znika. Tak traktujemy wodę – coś cenniejszego i bardziej niezbędnego niż ropa, metale ziem rzadkich i kruszce.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Przysięga prezydenta

Sąd Najwyższy, uznając wybory prezydenckie za ważne, potwierdził tym samym wynik głosowania z 1 czerwca br. podany przez Państwową Komisję Wyborczą. Umilkł na chwilę jazgot na temat „sfalszowanych wyborów”, choć prokurator generalny Adam Bodnar starał się do samego końca przekonywać SN o konieczności ponownego przeliczenia wszystkich głosów. Liczba wierutnych bzdur na temat fałszowania wyborów przez opozycję, co już samo w sobie jest absurdem, osiągnęła apogeum świadczące o tym, że wybór Karola Nawrockiego doprowadził koalicję 13 grudnia do skrajnego szoku poznawczego. Tym bardziej że wcześniej dzięki wetu prezydenta Andrzeja Dudy nie udało się przyjęcie tzw. ustawy incydentalnej, uchwalonej przez Sejm w styczniu br. Pokrętna idea tej ustawy polegała na tym, że o ważności wyborów miało orzekać 15 sędziów SN najstarszych stażem, a nie kwestionowana przez władzę Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, marszałek Sejmu mógł zaś odroczyć moment zaprzysiężenia prezydenta, a nawet objąć ten urząd.

Karol Nawrocki ma zaświadczenie od PKW o wyborze na prezydenta RP i uchwałę SN o ważności wyborów, a więc dwa najważniejsze i jedyne akty prawne na drodze do objęcia prezydentury. Ale jest jeszcze jeden – złożenie przysięgi wobec Zgromadzenia Narodowego, zapowiedziane przez marszałka Sejmu Szymona Hołownię na 6 sierpnia br. Fakt ten skupił całą uwagę Koalicji Obywatelskiej, rządu, mediów wspierających obecną władzę oraz licznych „silnych razem” i innych żyjących z hejtu przeciwników Nawrockiego na Hołowni. A ten jak złotousty prezenter telewizyjny rozpoczął swój życiowy show: „Zwołałem posiedzenie Zgromadzenia Narodowego”, „Zapewniam, że w mojej obecności Karol Nawrocki złoży przysięgę”, „Przyjmę przysięgę od Karola Nawrockiego”, „Odbiorę przysięgę” itd. Szymon Hołownia jako obrońca demokracji, prawnego porządku, sumienia narodu i co tam jeszcze, po raz pierwszy spotkał się z hejtem ze strony swoich politycznych sojuszników oraz umiarkowanie pozytywną reakcją przeciwników koalicji 13 grudnia, którzy uważają, że do końca nie można mu wierzyć.

Nagła przemiana Hołowni w obrońcę praworządności kłóci się z jego postawą w sprawie posłów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, którym bezprawnie wygasił mandaty poselskie. Tym samym umożliwił prokuraturze i sądowi wtrącenie ich do więzienia. Jest też na liście podejrzanych o konstytucyjny zamach stanu w śledztwie prowadzonym przez zastępcę prokuratora generalnego Michała Ostrow-

skiego na podstawie zawiadomienia o zamachu stanu prezesa Trybunału Konstytucyjnego Bogdana Święczkowskiego. Zawieszenie prokuratora Ostrowskiego przez Bodnara i wytoczenie przeciwko niemu śledztwa o przekroczenie uprawnień nie zmienia wagi pierwotnych poważnych konstytucyjnych deliktów. Hołownia ma też poważny problem lojalnościowy z ujawnionymi nocnymi kontaktami z opozycją. Broni się, twierdząc, że w interesie Polski ma prawo rozmawiać ze wszystkimi, ale ta refleksja przyszła zdecydowanie za późno. Marszałek Sejmu, który w wyborach prezydenckich zgromadził niecałe 5 proc. głosów, walczy dziś o polityczne przetrwanie.

Czy po złożeniu wobec Zgromadzenia Narodowego przysięgi: „Obejmując z woli Narodu urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, uroczystie przysięgam, że dochowam wierności postanowieniom Konstytucji, będę strzegł niezłomnie godności Narodu, niepodległości i bezpieczeństwa Państwa, a dobro Ojczyzny oraz pomyślność obywateli będą dla mnie zawsze najwyższym nakazem. Tak mi dopomóż Bóg” (art. 130) objęcie urzędu prezydenta RP jest warunkiem do objęcia władzy? Niekoniecznie. To raczej dopełniający wyborów kulturowy ceremoniał i ukłon wobec dotychczasowej praktyki. Przysięga – tak, ale niekoniecznie powtarzana słowo w słowo po wątpliwym etycznie marszałku Sejmu Szymonie Hołowni. Przed Zgromadzeniem Narodowym – tak, ale niekoniecznie w Sejmie. Konstytucja nie stawia takiego warunku.

Marzy mi się przysięga prezydencka Nawrockiego przed narodem, oczywiście zwołana 6 sierpnia br., w ostatnim dniu urzędowania prezydenta Dudy, przed pałacem prezydenckim w Warszawie, z udziałem zaproszonych przez prezydenta elekta posłów i senatorów (Zgromadzenie Narodowe) oraz innych ważnych dostojników i gości. Najliczniejszy byłby zgromadzony tam naród – wówczas słowa przysięgi skierowane do niego zabrzmiałyby szczególnie uroczystie.

Marzy mi się przysięga prezydencka odтворzona na nowo, bo w nowych współczesnych warunkach, ale nawiązująca do pięknych kart naszej historii. Miłośnicy historii dobrze znają wiersz Marii Konopnickiej „Przysięga”: „Na krakowskim Rynku wszystkie dzwony biją. / Cisną się mieszczany z wyciągniętą szczyją. / Na krakowskim Rynku, tam ludu gromada, Tadeusz Kościuszko dziś przysięgę składa. / [...] Odkrył jasne czoło, klęknął na kolana: / ślubuję Ci życie, Ojczyzno kochana! / Ślubuję Ci duszę, Ojczyzno kochana! / Za Bożą pomocą wolność wrócić muszę!”.

Marzenia bywają piękne.

www.wojciechreszczyński.pl



OGNIEM NA WPROST

W powietrzu czuć woń klęski



Andrzej Rafał Potocki

Ostatnio w sieci pojawia się coraz więcej nagrań ukraińskich samolotów bojowych atakujących pozycje Moskali na zajętych przez nich terytoriach. Są przeprowadzane myśliwcami wielozadaniowymi F-16, a także MiG-29 czy Su-24. Piloci zaatakowali m.in. okopy należące do okupantów leżące pod strategicznym miastem Pokrowsk w obwodzie donieckim. Armia Kremla zgromadziła tam setki żołnierzy, którzy są przygotowywani do długiej ofensywy. W sumie pod tym miastem ma znajdować się ponad 110 tys. ludzi. Siły Zbrojne Ukrainy na bieżąco monitorują sytuację i na dużą skalę używają lotnictwa w celu neutralizacji ewentualnych szturmów. Na jednym z najnowszych można zobaczyć atak na okopy za pomocą amerykańskich bomb lotniczych GBU-39, które zostały zrzucone na cele z myśliwca MiG-29. Ukraińcy pokazali nie tylko sam moment odłączenia się aż czterech bomb od samolotu, lecz także chwilę, gdy uderzyły one w okopy. W oświadczeniu poinformowano, że cele zostały zneutralizowane. W chwili ataku w okopach miało się znajdować ok. 100 rosyjskich żołnierzy. Kacapy już od wielu miesięcy nie wlatują samolotami nad terytoria okupowane, a nawet bardzo rzadko zbliżają się do samej granicy. Wygląda na to, że Kijów zdobył przewagę w powietrzu, choć z zagranicy nie dotarły jeszcze wszystkie obiecane F-16 i Mirage. Montowana przez Moskali „wielka ofensywa letnia” wcale nie musi się skończyć sukcesem.

Tym bardziej że znacznie poprawiła się jakość obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej Kijowa. Ukraińcy w dużym stopniu zawdzięczają to nowym systemom

walki radio-elektronicznej rodzimej produkcji. Dzięki nim można neutralizować samoloty i przede wszystkim drony kamikadze. W nocy z 9 na 10 lipca Kreml przeprowadził największy atak powietrzny na ukraińskie miasta. Jak podają SZU, użyto aż 730 różnej maści środków napadu powietrznego. Okazuje się, że Ukraińcy zestrzelił praktycznie wszystkie drony i rakiety, w tym popularne shahedy-136 czy pociski Kindżał i Iskander. W powietrzu coraz mocniej wyczuwa się woń klęski.

Choć Ruski ciągle atakuje dronami i raketami cele cywilne w dużych ukraińskich miastach, to Tryzuby nie pozostają dłużni. Skupiają się na skutecznym ostrzale lotnisk położonych w głębi terytorium wroga. I tak w ciągu ostatnich dni zaatakowano:

- lotnisko w Borisoglebsku w ruskim obwodzie woroneskim (ok. 300 km od linii styku wojsk), na którym stacjonują m.in. samoloty Su-34, Su-35S i Su-30SM. Według Ukraińców zniszczono największy magazyn z kierowanymi bombami lotniczymi KAB oraz uszkodzono kilka samolotów bojowych i jeden szkolny;
- lotnisko Chalino w obwodzie kurskim, gdzie trafiono w magazyn bomb i pocisków lotniczych oraz zniszczono zestaw przeciwlotniczy Pancyr-S1;
- centrum wsparcia logistycznego w obwodzie briańskim, niszcząc kilka magazynów z paliwem raketowym, środkami smarnymi oraz bombami i pociskami lotniczymi. Skuteczność ataku miały potwierdzać „potężne pożary i wtórne eksplozje”;
- lotnisko w Marinowce w obwodzie wołgogradzkim, gdzie ukraińskie Siły

Operacji Specjalnych potwierdziły na podstawie zdjęć satelitarnych zniszczenie czterech bombowców taktycznych Su-34;

– magazyn amunicji w Charcysku w obwodzie donieckim, w którym zniszczono duży skład amunicji artyleryjskiej i pocisków przeciwlotniczych (co potwierdza seria eksplozji słyszalnych z wielu kilometrów).

Kolejne strzały prosto w piętę Achilleś (lotnictwo Kremla). Tak trzymać, panowie, a Kacap nie będzie miał czym latać.

Amerykanie wznowili dostawę niektórych rodzajów uzbrojenia na Ukrainę. Wśród nich znajdują się bardzo potrzebne pociski GMLRS do zestawów HIMARS/MLRS. Przygotowują także nowy pakiet sankcji wymierzony w Moskwę oraz kraje kupujące od niej ropę i gaz. Dokument znalazł poparcie zdecydowanej większości amerykańskiego Senatu. Mówi o nim jeden z inicjatorów projektu, republikański senator Lindsey Graham: „Jeśli kupujesz produkty od Ruska i nie pomagasz Ukrainie, to twoje produkty importowane do USA będą podlegać 500-proc. cłom. Indie i Chiny kupują 70 proc. ropy Putina. Wspierają jego maszynę wojenną. Mój projekt ustawy poparło wielu senatorów. Pozwoli on prezydentowi nałożyć taryfy na Chiny, Indie i inne kraje, aby zmusić je do zaprzestania wspierania maszyny wojennej Putina i zmusić go do pojawienia się przy stole negocjacyjnym”. Czy to zadziała? Zobaczmy. W każdym razie widać, że cierpliwość prezydenta Stanów Zjednoczonych się kończy.

Współpraca: „Skipper”

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Personalia

Slysza tu i ówdzie zachwyty nad decyzją Szymona Hołowni o zwołaniu Zgromadzenia Narodowego w celu zaprzysiężenia nowego prezydenta szczerze mnie rozśmieszają. Doszliśmy do tego, że działanie w zgodzie z konstytucją i wypełnianie na jej podstawie obowiązków marszałka Sejmu urasta do rangi czegoś absolutnie wyjątkowego i zasługuje na pochwałę? Przypomnę tylko, że Szymon Hołownia wiele razy postępował niezgodnie z literą, ale nade wszystko z duchem naszej ustawy zasadniczej. I nic, żadna skrucha ani podlizywanie się prawej stronie tego nie zmienia. Nie da się zapomnieć o jego narcystycznych popisach, marnym poczuciu humoru i pajacowaniu. Rodacy dali temu wyraz w wyborach prezydenckich, w których marszałek uzyskał mikroskopijne, a w każdym razie poniżej wszelkich swoich oczekiwań poparcie. Przepadł z kretelem, a teraz grozi mu wyautowanie z polityki w ogóle albo sprowadzenie do rangi podrzędnego posła, reprezentanta efemerycznej i padającej formacji. Nie mogę się nadziwić, jak wieloletni niekiedy politycy, osoby ze sporym stażem poselskim, mogły przystąpić do partyjki kreowanej przez prezentera TVN. Mam jednak wrażenie, że przystąpiliby do niej nawet wówczas, gdyby na jej czele stał szympans albo karaś. Byle się utrzymać przy finansowym źródle i nie tracić wygodnego, poselskiego high life'u. Parędziesiąt tysięcy piechotą nie chodzi.

Nigdy specjalnie się sobie nie podobałem. Nie patrzyłem w lustro z zachwytem. Broda ustrzegła mnie przed codziennym gołeniem i oglądaniem swojej gęby. Ale dopiero teraz ktoś nazwał to po imieniu. Otóż Daniel Olbrychski nazwał mnie ni mniej, ni więcej tylko człowiekiem szpetnym. Nadto ocenił mój mental, nazywając mnie ciemnogrodem, nazistą i faszystą. To kolejny przypadek celebryty, który wychodzi poza swoją rolę i ustawia się na pozycji nauczyciela narodu. Bez wątplenia to wielki aktor, mistrz w swoim fachu, tak jak Seweryn czy Janda, ale, na Boga, zrozumie, człowieku – jesteś tylko aktorem, który większość swojej roboty wykonywał, mówiąc teksty, które napisał ktoś inny. Własne nie wyszły na dobre Jandzie ani Sewerynowi. Istnieje bowiem zasadnicza różnica między naiwnością i szczerością a pospolitym zidioceniem. Jakiś czas temu ofiarą tego niezrozumienia padła legenda kabaretu – Zenon Laskowik. Szkoda tych wszystkich wielkich aktorów i jednocześnie czysto ludzkich karzełków. Po prostu mi ich żal. Starość ma różne oblicza,



**Aleksander
Nalaskowski**

Tak naprawdę nikt już nami nie rządzi, nikt tam nie przejmuje się Polską, wielu pozoruje działania i łże bez opamiętania

czasami szpetne, że zacytuję klasyka, a czasami po prostu żalodne.

Nie wiem, jak czytelnicy, ale ja mam wrażenie, że nie mamy już ani rządu, ani premiera. Rekonstrukcja rządu czy jego całkowita dymisja to tylko kwestia czasu. Tego gabinetu nie bronią już nawet koalicjanci i on sam też nie próbuje się bronić. Zostały tylko stolki, ministrowie, których nikt nie pamięta i kurs na jak najdłuższe utrzymanie się przy korycie. Tak naprawdę nikt już nami nie rządzi, nikt tam nie przejmuje się Polską, wielu na potęgę pozoruje działania i łże bez opamiętania. Donald Tusk, zapatrzonny w siebie, potknął się najpierw na Murańskim, potem na Giertychu (najwyższym kłauie w tej części świata), potem na Nawrockim,

a na koniec na granicy polsko-niemieckiej. Wdepnął w bagno, z którego już się nie wychodzi. Nie jestem pewien, czy do chwili ukazania się tego felietonu będzie jeszcze premierem. W koalicji, poza fanatycznymi wyznawcami, wszyscy mają go dosyć.

Pewną osobliwością jest bezobjawowy wicepremier i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz.

Poszedł do rządu i stał się przezroczysty. Człowiek bez właściwości. W kręgu moich znajomych występuje jako „pipuś”. Kosiniak-Kamysz jest absolutną odwrotnością charyzmy. Pozbawiony jakichkolwiek cech przywódczych pozostaje wygodny dla PSL, bo nic nie robi. Dzięki temu formacja ta utrzymuje się na powierzchni siłą bezwładu, a ja tylko marzę, aby w wyborach spadła poniżej 5 proc. i zniknęła z politycznego horyzontu. Wozenie się na koalicjach musi mieć jakiś kres. Nijakość, obślizgłość, asekuranctwo to ostatnie czego nam teraz trzeba.

W chwili, gdy to piszę, na granicy są przedstawiciele Ruchu Obrony Granic Roberta Bąkiewicza. Nie podoba się to nieporażającemu ilorazem inteligencji ministrowi Tomaszowi Siemoniakowi. Odgrza się on spontanicznym obrońcom granic i zdaje się, że to Bąkiewicz jest problemem, a nie migranci.

Jeszcze trochę czasu i zaczniemy wychodzić na prostą. Trzeba tylko wyrzucić ten rząd, wygrać wybory i iść w kierunku Wielkiej Polski. Rację ma Rafał Ziemkiewicz, że na dzień dobry musimy mieć nową konstytucję, a potem jej przestrzegać i budować, budować, budować. Oprócz tego potrzeba nam kilku sprawnych stolarzy, którzy skonstruują wystarczająco długą ławę oskarżonych, bo bez wyroków się nie obejdzie.

**Michał Korsun prezentuje:
Sławosz Uznański-Wiśniewski:
„Podróż za jeden uśmiech”. I jedynie 65 mln euro**



Wycinki z przeszłości

Jan Tomaszewski – nasza sympatia” – ogłaszała „Przyjaciółka” latem 1974 r. Nic dziwnego, polska reprezentacja poszła właśnie jak burza na mistrzostwach świata w piłce nożnej, które odbywały się w RFN. W samej gazecie czuć było nastrój lata. Starsza młodzież szkolna szykowała się do pomocy przy żniwach, a zatroškane matki siedmiolatków pytały redakcję, jak zredukować obawy dziecka przed szkołą. Telewizja nadawała angielski serial dla dzieci „Wakacje w domu”, drukowano porady dotyczące zbierania grzybów i przyrządzania z nich smacznych potraw. Majsterkowicze zaś mogli sami wykonać „hamak dla dziecka” z „cienkiego mocnego sznurka oraz drążków bambusowych”.

Swoją drogą, komu by się dzisiaj chciało? Dobrze to czy źle?

(mk)



Z WOLEJA

Polskie szachy i mistrz z Inflant



**Ryszard
Czarnecki**

Szachy pojawiły się w Polsce już w XII w., za panowania króla Bolesława Krzywoustego. Gra powstała w Indiach, potem zaimportowali ją Persowie i Arabowie. Do Europy trafiła przez Półwysep Iberyjski i Sycylię. Początkowo była to gra arystokracji, duchownych i uczonych. Jej obecne reguły z grubsza wywodzą się z końca XV w. U nas pasjonatem szachów był świetny także na polach bitewnych król Władysław Jagiełło (wspomina o tym Jan Długosz). W polskiej literaturze szachy pojawiają się w XV w., a w XVII w. powstaje pierwsza książka o tej dyscyplinie. W XIX w., podczas zaborów, stolicami polskich szachów były Lwów i Kraków.

Jeden z najlepszych szachistów świata na początku XX w. wywodził się z Polski. Był to Akiba Rubinstein. Za rok będziemy obchodzić stulecie powstania Polskiego Związku Szachowego, a za pięć lat minie równo wiek od pierwszego złotego medalu Polski na olimpiadzie szachowej.

Ocenia się, że obecnie w Polsce 5 mln ludzi zna reguły gry w szachy, a niemal 100 tys. jest zarejestrowanych w federacji i uczestniczy w turniejach.

Najlepszym polskim szachistą jest Jan-Krzysztof Duda, który tytuł arcymistrza zdobył w wieku zaledwie 15 lat. Był mistrzem świata 10-latków. Mając 12 lat, pokonał pierwszego arcymistrza. Był brązowym medalistą mistrzostw globu 12-latków. Zdobył też złoto i srebro mistrzostw Europy 14-latków, a z reprezentacją Polski ME Juniorów do lat 18. To mistrz Europy w szachach szybkich i wicemistrz kontynentu w szachach błyskawicznych. Był także dwukrotnym wicemistrzem świata seniorów w tejże coraz popularniejszej dyscyplinie. Potrafił wygrać z mistrzem globu Norwegiem Magnusem Carlsenem, przerywając serię jego 125 zwycięstw!

Ja jednak wspomnę przedwcześnie zmarłego – w wieku zaledwie 43 lat – najlepszego polskiego szachistę przełomu lat 80. i 90. ub.w., urodzonego na dawnych polskich Inflantach, Aleksandra Wojtkiewicza. Mając 25 lat, wyjechał z ZSRR do Polski i natychmiast został mistrzem naszego kraju. W drużynowych mistrzostwach Europy już jako reprezentant Polski zdobył srebrny medal na drugiej szachownicy. Bardzo szybko osiwał. Wygrał wiele turniejów międzynarodowych, także internetowych. Przegrał z... chorobą wrzodową. Gdy ten numer „Sieci” trafia do państwa rąk, mija 19. rocznica jego śmierci.

Sam gram w szachy od dziecka. Ale w ostatnim czasie zacząłem regularnie przegrywać z moim nastoletnim synem...



OD A DO ZYBERTOWICZ

Mamy korzenie. Tyle

„Strona demokratyczna” – sformułowanie, choć pozornie niewinne, jest używane w sposób głęboko nieuczciwy

Ostatnio zaczęło mnie wkurzać określenie „strona demokratyczna”. Często używane w różnych wypowiedziach antypisowskich polityków i komentatorów. Stroną demokratyczną ma być rządząca koalicja, w opozycji do... PiS, Konfederacji... Słowem – do obecnej opozycji.

ZAKLINACZE

Niektórzy zwolennicy obecnej władzy posługują się tym określeniem tak często, że nasuwa się wrażenie, iż robią to, by uśmierzyć swój niepokój co do kierunku, w którym podąża ekipa premiera Tuska. Koalicja rządząca, składająca się z partii o zróżnicowanych poglądach, potrzebuje spoiwa (quasi)ideologicznego, a rzekoma „obrona” demokracji pasuje tu jak ulał.

„Strona demokratyczna” – sformułowanie, choć pozornie niewinne, jest używane w sposób głęboko nieuczciwy. Bo jeśli jedna strona polityczna jest demokratyczna, to co z drugą stroną? Autorytarna? Nielegalna? Gorsza? Trzeba ją wykluczyć?

Wrażenie obserwacji takiego zaklinania miałam podczas lektury zamieszczonego w tygodniku „Polityka” (17–24 czerwca 2025 r.) wywiadu z jed-

nym z członków zarządu Fundacji Batorego, Krzysztofem Izdebskim, specjalistą m.in. od nowych technologii.

Główne przesłanie całej rozmowy jest takie, że „demokraci” przegrali wybory prezydenckie, bo nie umieli skutecznie wykorzystywać mediów społecznościowych do budowania narracji i emocjonalnego przekazu. Rzeczywiście, coś w tym jest. Każdy, kto przypomni sobie rozdygotanego premiera Tuska występującego w programie Bogdana Rymanowskiego przed drugą turą wyborów, nie ma chyba wątpliwości, że akurat ten emocjonalny występ przyniósł odwrotne skutki. Naród, zamiast wystraszyć się Karola Nawrockiego, zaniepokoił się o zdrowie premiera.

Tymczasem spec z Fundacji Batorego w żargonie internetowym głosi, że rządzący po prostu „nie potrafią w narrację” (frazą „nie potrafić w coś” ostatnio stała się modna). Na to prowadząca rozmowę raczej odruchowo wypała: „Czy żeby się przebić, demokraci powinni zaostrzyć przekaz, zwulgaryzować go, upodobnić się do drugiej strony?”.

ZNACZNIE WIECEJ NIŻ SAMA NARRACJA

Ale „potrafienie w narrację” – wbrew wyobrażeniom rozmówców – wcale nie polega tylko na podkreśnianiu czy wulgaryzowaniu przekazu. Przecięć i tu koalicja rządząca nie ma sobie równych. Brutalizacja języka (normalizacja przez liderów KO hasła zapisanego osmioma gwiazdkami), nadużycia prawne (siłowe przejęcie mediów publicznych, stosowanie dualizmu prawnego przez obecną prokuraturę) czy wreszcie odczłowieczanie przeciwnika politycznego (przypomnę tu paskudną postawę posłanki Aleksandry Leo wobec urzędniczki Anny Wójcik – zob. mój felieton

z maja br.) to domena obecnej władzy. To narracja, która nie buduje wspólnoty, lecz ją rozsadza.

Prawo i Sprawiedliwość nigdy nie deklarowało – jak zrobił to Grzegorz Schemtyna z Platformy Obywatelskiej – że będzie opozycją totalną. A być opozycją totalną to przecież właśnie odmówić szacunku do zasad demokracji.

Dzisiejsza opozycja jest demokratyczna, złożona z partii wybranych w wolnych wyborach. Nie tylko działa w ramach porządku konstytucyjnego, lecz także potrafiła zjednoczyć się wokół obywatelskiego kandydata na prezydenta, prowadząc kampanię wbrew stronnictwości mediów publicznych i bez należnych państwowych pieniędzy. To właśnie ta strona pokazała, że demokracja to nie tylko instytucje, lecz także oddolna mobilizacja i wiara w sens obywatelskiego działania.

DZIEJE NARODU

Tak, dzisiejsza opozycja „potrafi w narrację”, choć samo to sformułowanie upraszcza złożoność społecznych zjawisk, zbyt łatwo przypisując sukces prawicy wyłączanie sprawności medialnej. A idzie o coś znacznie głębszego. Prawica umie w narrację, bo jest częścią historii o nazwie „dzieje narodu polskiego”, bo prawicowe narracje są zakorzenione w żywiole polskości. Bo prawica chce państwa, które liczy się w świecie. Nic dziwnego, że tak naturalnie wpisuje się w ciągłość opowieści o Polsce.

Demokracja nie ma konkretnych barw partyjnych. I nie powinna być używana jako etykieta, którą przypina się tylko „swoim”. Jeśli naprawdę zależy nam na wspólnym państwie, musimy zacząć od uczciwego języka.

Katarzyna Zybortowicz

Subskrypcja **wPolityce.pl Premium+** i **SIECI**

CAŁE LATO czytasz

za 9,90 zł
/ 3 miesiące

Cena 9,90 zł za pierwsze 3 miesiące,
następnie 44,90 zł co 3 miesiące
i możesz zrezygnować, kiedy chcesz

Oferta ograniczona czasowo



Przez całe wakacje czytaj:

- mocne komentarze publicystów, aktualne informacje z Polski i ze świata, wywiady z najważniejszymi ludźmi polityki
- **wszystkie zamknięte artykuły na wPolityce.pl Premium+**
- pełne **e-wydanie tygodnika SIECI** wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 18:00
- w prezencie świetne ebooki **Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na

www.siec.wpolityce.pl/oferta



ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

wPolsce 24



***„Zbudujemy razem studio z widokiem na Polskę.
Bo niezależne media to nasza wspólna sprawa”.***

ZBIERAMY NA NOWE STUDIO TELEWIZYJNE

numer konta:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

CEL: 1 000 000 zł

WESPRZYJ patriotyczne media

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52
telewizja
naziemna

62
CANAL+

192
netia

32
orange

825
vectra

196
polsat box

65
PLAY
dawniej upc

459
inea

631
TOYA

43
evio

eprasa.pl 84fdbca4dd